

WYDANIE SPECJALNE  
NA ŚWIĘTA

MACIEJEWSKI  
JAK WALCZĄ  
OPERATORZY DRONÓW

KOŁODZIEJSKI  
PUTIN: GANGSTER  
Z PETERSBURGA

BUDZISZ  
CUDZOZIEMCY  
DOBRCZE  
O POLSCE

SKWARCZYŃSKI  
IDEALNE GRUBASY,  
CZYLI SUMO

SIECI

Aż 124  
strony

W TYM MAGAZYN

# SIECI

NAJWIĘKSZY  
KONSERWATYWNY  
TYGODNIK OPINII  
W POLSCE

Nr 14 (540) 2023  
3-10 kwietnia 2023

CENA: 9,90 zł  
(w tym 8% VAT)



ŚLEDZTWO GRZEGORZA GÓRNEGO

## TAJEMNICA NIEZNANEJ RELIKWII

CZY DEKORACYJNE PŁÓTNO PRZECHOWYWANE W ESTREMADURZE  
JEST **ŚWIĘTYM OBRUSEM Z WIECZERZY PAŃSKIEJ**? CO ŁĄCZY JE Z CAŁUNEM TURYNŚKIM?  
AMERYKAŃSCY I HISZPAŃSCY NAUKOWCY UWAŻAJĄ, ŻE HISTORIA OBU TKANIN  
JEST ŚCIŚLEJ Z SOBĄ ZWIĄZANA, NIŻ UWAŻANO DO TEJ PORY







# *e-book* *na Wielkanoc* *w prezencie*

-  zwyczaje
-  przysmaki
-  tajemnice wiary



Jak otrzymać e-book „Rodzinna Wielkanoc” w prezencie?

Zamów e-prenumeratę tygodnika Sieci na:

[www.siecprzyjaciol.pl](http://www.siecprzyjaciol.pl)

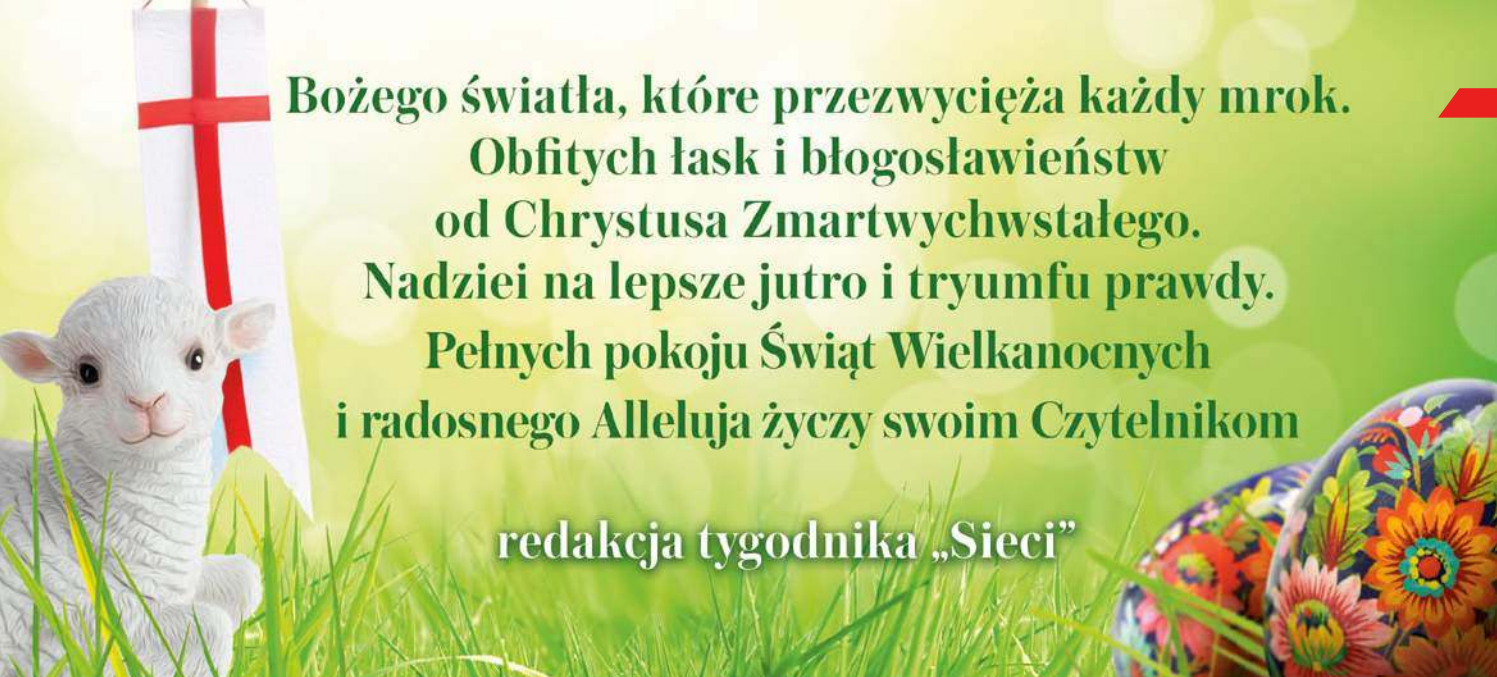
To zaledwie 2,90 zł za pierwszy miesiąc

(następnie 11,90 zł i możesz zrezygnować, kiedy zechcesz).

Jeśli jesteś e-prenumeratorem Sieci, e-book znajdziesz w zakładce  
Moje wydania od 5 kwietnia.



ZESKANUJ KOD  
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



**Bożego światła, które przewycięża każdy mrok.  
Obfitych łask i błogosławieństw  
od Chrystusa Zmartwychwstałego.  
Nadziei na lepsze jutro i tryumfu prawdy.  
Pełnych pokoju Świąt Wielkanocnych  
i radosnego Alleluja życzy swoim Czytelnikom**

**redakcja tygodnika „Sieci”**

## **Zawsze po stronie Polski**

**J**akie mamy media? Jest lepiej, niż było, ale też bądźmy szczerzy: w chwilach krytycznych, w chwilach, gdy atak jest najbrutalniejszy, najbardziej obrzydliwy, gdy próbuje się wywołać panikę moralną, niektórzy się chwieją. Wielu skretyniało, poszli na absurdalne wojny ze szczepionkami, inni zdradzili jak Judasze, nawet św. Jana Pawła II. Za to na środowisko publicystów tygodnika „Sieci” i portalu wPolityce.pl zawsze możecie Państwo liczyć. I Polska może liczyć. I nasz Kościół.

Musimy wszyscy w nadchodzących miesiącach pracować jeszcze ciężiej. Bo jesteśmy jako naród o krok od wielkości. Ale też wszystko to można zniszczyć, rozwalić, cofnąć i zahamować. Już raz Tuskowa gromadka z pomocą Niemców ukradła Polsce kilka lat, za co kraj zapłacił straszliwą cenę. Panu Bogu musimy codziennie dziękować za to, że w 2015 r. Polacy się obudzili. Co by z nami dzisiaj było w tych trudnych latach, gdyby wtedy nie zmieniono kursu państwa?

Rozstrzyga się polska wielkość lub małość, wolność lub spętanie, niepodległość lub rola niemieckiego landu. Stawka dawno nie była tak wysoka, wybór tak zasadniczy.

Możemy Państwu obiecać, że będziemy w najbliższych miesiącach z jeszcze większą determinacją strzec naszych wspólnych wartości, walczyć ze złem.

W tym krytycznym roku Polska szczególnie potrzebuje silnych propolskich mediów. Dlatego zwracamy się do Państwa z prośbą o wsparcie, o ten gest pomocy, o zaprenume-

rowanie tygodnika „Sieci” – w formie tradycyjnej (u listonosza, na poczcie lub na stronie [www.sieciprawdy.pl/prenumerata](http://www.sieciprawdy.pl/prenumerata)) lub elektronicznej (na stronie [sieciprzyjaciol.pl](http://sieciprzyjaciol.pl)). Dla siebie lub kogoś bliskiego. To dla nas wielka pomoc.

Problemów nie brakuje, wzrost kosztów wywołany putinacją też nas dotknął, kurczy się sieć dystrybucji prasy, system III RP blokuje nas, gdzie tylko może, sądy wydają drażące – w sposób oczywisty polityczne – wyroki, nakazują płacenie gigantycznych kar pod byle pretekstem. O wielu represjach, spadających także na rodziny wielu z nas, nie mówimy, bo nie my tu jesteśmy najważniejsi, bo nasza misja musi uwzględniać i takie czynniki. Ale wiedźcie Państwo, że one są.

Liczą, że nas zmęczą, przestraszą. Odpędzą, byśmy zostawili pole kohortom kłamców. Błądzą. Nas się nie da zmęczyć czy zastraszyć. Nie działają na nas ich presje środowiskowe czy pseudo-autorytety. Nie tam jest nasz punkt odniesienia.

Wszystko to pod jednym warunkiem: że Państwo będą z nami. Tylko w tej formule wspólnego działania ma to sens, tylko wtedy mamy konieczną siłę.

Stąd prośba o pomoc, co – jak Państwo wiedzą – czynimy rzadko.

**Michał Karnowski**







26

**Z Ryszardem Terleckim**  
*rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy*



38

**Zanim przyjadą nasze Abramsy**  
*Andrzej Rafał Potocki*



41-99

**Na Wielkanoc**  
*magazyn świąteczny*

## NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**  
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 MAŁOWANE JAJA CHRZĄSZCZA**  
Krzysztof Feusette
- 9 CZARY-MARY**  
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**  
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 POSTĘPOWE RATUSZE W NATARCIU**  
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**  
Dominik Zdort
- 13 MIĘSOŻERNI WEGETARIANIE**  
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA TOMASZA JASIŃSKIEGO**  
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**  
Andrzej Rafał Potocki
- 17 CZYSTY WĘGIEL**  
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 URBAN PRZEWRACA SIĘ W GROBIE**  
Samuel Pereira

## TEMAT TYGODNIA

- 20 ŚWIĘTY OBRUS I OSTATNIA WIECZERZA**  
Grzegorz Górny

## KRAJ

- 26 Z RYSZARDEM TERLECKIM**  
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 30 OPERACJA KONFEDERACJA**  
Stanisław Janecki
- 32 KLĘSKA URODZAJU**  
Konrad Kołodziejski
- 34 RODZIC MUSI ZROBIĆ AFERĘ**  
Z dr Sabiną Zalewską rozmawia Kamil Kwiatek
- 38 ZANIM PRZYJADĄ NASZE ABRAMS**  
Andrzej Rafał Potocki

## NA WIELKANOC

- 42 WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO RZESZOWA**  
Jaromir Kwiatkowski
- 46 GANGSTER Z PETERSBURGA**  
Konrad Kołodziejski
- 50 OCZY UKRAIŃSKIEJ ARMII**  
Jakub Augustyn Maciejewski
- 54 BÓG NIE OPUŚCIŁ UKRAINY**  
Milena Kindziuk
- 56 POLSKA: KRAJ WIELKIEGO ZDZIWIENIA**  
Marek Budzisz

- 60 Z PRZEMYSŁAWEM STIPPA**  
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 64 TEATRALNE JAJO FABERGÉ**  
Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 Z NORBERTEM „SMOŁĄ” SMOLIŃSKIM**  
rozmawia Marek Pyza
- 70 PŁOTKI, PIENIACZE I ŻARŁACZE W ZLP**  
Rozmowa Macieja Walaszczyka
- 74 PANCERNY GENERAL**  
Wojciech Łada
- 80 GENIALNE 20-LECIE**  
Stanisław Janecki
- 84 SUMO, CZYLI IDEALNE GRUBASY**  
Andrzej Skwarczyński
- 88 WIOSNA W KAMPANII RZYMSKIEJ**  
Jan Rokita
- 91 JEDEN OBRAZ, WIELE SMACZNYCH HISTORII**  
Przemysław Barszcz
- 94 PRAWDZIWY CHLEB NA ZUPĘ**  
Anna Monicka
- 97 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**  
Piotr Zaremba
- 98 CICHĄ APOSTAZJĄ CELEBRYTÓW**  
Robert Tekieli
- 99 WOJNA CYWILIZACJI**  
Robert Tekieli

## ŚWIAT

- 100 WSZYSTKO POD KLUCZEM**  
Aleksandra Rybińska

## KUCHNIA

- 114 MOJE SMAKI: RODZINA WINNYCH**  
Jolanta Gajda-Zadworna
- 115 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**  
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

## NA KONIEC

- 116 ALLELUJA!**  
Alina Czerniakowska
- 117 TURLANIE JAJ**  
Piotr Cywiński
- 118 ZDRAJCY WPŁYWU**  
Wiktor Świetlik
- 118 SAM PRZECIW WSZYSTKIM**  
Lech Makowiecki
- 120 WIELKANOC Z CZASÓW...**  
Leszek Długosz
- 122 ZJEDNOCZONY NARÓD**  
Katarzyna Zybortowicz





Najserdeczniejsze życzenia  
zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych.  
Niech ten czas przepęlni radość, troska i jedność.

Wszystkiego, co najlepsze!





# Sygnalista nadaaje

🔊 Kampania rusza na całego, co wi-  
dać także w TVP. Jeden z redakto-  
rów – jak słyszmy – postanowił przecze-  
kać wybory z dala od niebezpiecznego  
frontu i kilka razy celowo palnął rzeczy,  
które zdjęły go z anteny. Za to redaktor  
Miłosz Kłeczek, który dzielnie nie pod-  
daje się w Sejmie różnym presjom, do  
swoich treningów w ramach sportu  
walki krav maga dołożył kettlebell, czyli  
(jeśli dobrze zrozumieliśmy) ćwiczenia  
z kulami, które uruchamiają nawet mało  
używane mięśnie. Nic dziwnego, że sama  
obecność redaktora-wojownika działa  
uspokajająco na gości.

🔊 Z kolei obecność redaktora  
**Tomasza Lisa** jako prowadzą-  
cego ekscentryczne programiki w in-  
ternecie działa na gości tak rozluźnia-  
jąco, że pozwalają sobie na najbardziej  
szalone teorie. W pogawędce z Roma-  
nem Giertychem panowie sugerowali,  
iż „PiS zorganizował atak na Jana  
Pawła II, żeby chwilę później wziąć go  
w obronę”. Naprawdę nie ma tam wokół  
Tomka nikogo, kto by mu powiedział,  
że to wszystko razem wygląda coraz  
bardziej żenująco?

🔊 W ten sam ton w programie Lisa  
uderzył Kazimierz Marcinkie-  
wicz. „Ja nie wiem, czy oni tego nie wy-  
wołali” – stwierdził. Pewnie scenariusz  
paszkwilu podrzucił na wycieraczkę  
platformerskiej stacji osobiście rzecznik  
PiS Rafał Bochenek. A poważnie:  
na pewno PiS podrzucił opozycji Mar-  
cinkiewicza. Skąd wziął się Lis – wiadomo.  
Obaj dzielnie pracują na ośmie-  
szenie tej naszej najbardziej  
demokratycznej z demokratycznych  
opozycji.

🔊 Sprawa z atakiem na św. Jana  
Pawła II ma oczywiście swoje  
skutki polityczne, ale przez nikogo nie-  
zaplanowane. Potwierdziło się stare  
przysłowie, że kto pod kim dołki kopie,  
ten sam w nie wpada. Opozycja wpadła  
też w drugi taki dołek – konfederacki.  
Promowano, także w sondażach, ugru-  
powanie **Krzysztofa Bosaka**, Roberta  
Winnickiego i Sławomira Mentzena  
jako sposób na podmycie obozu Jaro-  
sława Kaczyńskiego. Okazało się jed-  
nak, że ta zaczyna zabierać wyborców  
opozycji. Pięknie było patrzeć, jak waj-  
cha medialna w ciągu 24 godzin została  
przetworzona i Konfederaci znów zo-  
stali faszystami.

🔊 W rzeczywistości problem z czę-  
ścią Konfederacji jest bardziej  
wschodni. Oto we współtworzonym  
przez Janusza Korwin-Mikkego piśmie  
„Najwyższy Czas!” naczelny Grzegorz  
Sommer narzeka na „nasłanych bez-  
prawnie przez Mateusza Morawiec-  
kiego cenzorów z ABW” (strona pisma  
została zablokowana przez służby pań-  
stwowe, najprawdopodobniej ze  
względu na możliwe linki do Rosji).  
A kilka stron dalej redakcja pryncypial-  
nie stawia pytanie: „Czy rozbicie siatki  
domniemanych agentów rosyjskich to  
ważny sukces w walce o bezpieczeń-  
stwo Polski, czy wstęp do rozpętania  
szpiegomanii w celach politycznych?”.  
Straszną ta ABW! Gania ruskich szpie-  
gów, co obserwują linie kolejowe i lot-  
nisko w Rzeszowie, zamiast zapewnić  
im obiad, wódkę i podwózkę.

🔊 Może za dużo już o tej Konfede-  
racji, ale za bardzo nas ubawiły  
występy posła Artura Dziambora, by-

My tu śmichy-  
-chichy,  
a czasy są  
poważne, trwa  
wojna, rosyjski  
satrapa wciąż  
nie ma dość  
krwi. Tymczasem  
MKOl przywraca  
pod jakimiś  
fikcyjnymi warunkami  
możliwość startów  
Rosjan i Białorusinów  
w sportach  
indywidualnych  
pod neutralną flagą.  
„Rosjanie na igrzyskach  
olimpijskich? Po tym, co się  
stało w ostatnim roku? Po  
zbrodniach w Buczy i Irpieniu?  
Na igrzyskach, gdzie symbolem  
jest biały gołąbek pokoju? To nie  
jest nadużycie, to pomieszanie  
wartości porównywalne  
z hitlerowskimi igrzyskami w Berlinie  
w 1936 r.” – ocenił wicepremier Jacek  
Sasin. Zgoda: trzeba zrobić wszystko,  
by tej hańby uniknąć.

śmy zostawili je tylko dla siebie. Poseł nie wychodzi ostatnio z mediów, bo próbuje poinformować wyborców, że wyszedł z dawnej formacji. „Wielu nadal jednak kojarzy nas z Konfederacją!” – narzeka w wywiadach. Przypomniła nam się bieda posłów PJN, którzy po próbie rozbicia PiS jeździli po Polsce z ofertą. Sale zapelniali jednak wyborcy PiS, którzy pomstowali na tych zdrajców, którzy właśnie w tak trudnym momencie porzucili obóz.

Było, minęło. Większość PJN dzisiaj karnie w szeregu u Tuska – tak bardzo chcieli reformować patriotyczną polską prawicę, że wylądowali w partii niemieckiej. Ale KO to dziś za mało, trwa zaganianie mniejszych partii opozycyjnych na wspólną listę. Przybiera to kuriozalne formy. Oto w piśmie Adama Michnika list otwarty zatytułowany „Jedna wspólna lista opozycji, do ciężkiej cholery!”. Jeszcze lepsze wrażenie od tytułu robi zestaw argumentów. „Od tego zależy istnienie kraju, jaki budowaliśmy po 1989 r.! Trzecia kadencja Kaczyńskiego oznaczać będzie skrajną nędzę, opuszczenie Unii, wojnę domową i powrót do przeszłości dysydentów politycznych PRL masowo internowanych. Wejdziemy w orbitę wpływów Chin i Rosji. Walki i odwagi! To jest Wojna!” – pisze autor. Czyli kto? Anonim. List podpisano: „Czytelnik”. Czy więcej fakt publikacji tego strumienia szaleństwa mówi nam o redakcji, czy o czytelnikach?

W ogóle stan emocjonalny środowisk opozycyjnych budzi duży niepokój. Prof. Radosław Markowski, socjolog z SWPS, na antenie RMF FM wyjawiał, że Polacy rzekomo biją w Warszawie jego kolegów, którzy mówią po niemiecku. „Jak moi koledzy z zagranicy przyjeżdżają do Polski i mówią po niemiecku w autobusie, to dostają po pysku tutaj w Warszawie. To jest wstyd!” – mówił Markowski. Pozwolimy sobie wątpić w ten opis. Choć kto wie, może nie mówili, lecz krzyczeli, np.: „Hände hoch!”? W stolicy Polski, gdzie pod każdym kamieniem jest krew Polaka zamordowanego z ręki Niemców, mogłoby to kogoś zdenerwować.

Dlaczego celowo denerwuje ludzi Tomasz Terlikowski? Jest kilka teorii. Swego czasu Kazimierz Kaźmierczak z Warsaw Enterprise Institute poprosił go nawet na Twitterze, by mrugnąć dwa razy, jeśli został porwany i działa pod przymusem. Tomek nie mrugnął, za to rozpędza się coraz mocniej. „Każdy z nas zna kogoś, kto był skrzywdzony, w każdej parafii, w każdej wspólnocie, w każdym zakonie i zgromadzeniu, w każdym seminarium są skrzywdzeni seksualnie” – oświadczył w mediach społecznościowych. Tego nawet Urban

nie twierdził. Czekamy z nadzieją, że może jeszcze mrugnie.

Senator PSL-KP Jan Filip Libicki, komentując sprawę, napisał: „Żarliwość, z jaką [...] Terlikowski stawia w centrum każdą ofiarę pedofilii w Kościele, rodzi we mnie – przyznaję, że złą – pokusę, by przestać się nimi aż tak przejmować”. Potem Libicki stwierdził, że popełnił błąd i przeprosił. Najciekawsza była tu jednak reakcja Szymona Hołowni. Zapytany, czy wyobraża sobie, że mógłby znaleźć się na jednej liście z osobą wypowiadającą takie sądy, odpowiedział: „Będę miał bardzo poważne obiekcje co do obecności senatora Libickiego”. Ciekawie się ta koalicja wiejsko-miejsko, kielbasiano-humusowa zaczyna. Prognozujemy, że wyjdzie coś bardzo niesmacznego.

Do grona samozwańczych biskupów dołączył też **Donald Tusk**. „Jakby to powiedzieć tak od serca, jeśli ktoś poważnie traktuje Dekalog, jeśli ktoś naprawdę wierzy w to, że opatrzność Boża jest po to, by wspierać dobro, no to nie może głosować na PiS, wydaje mi się to tak oczywiste” – ogłosił lider PO. Zrobił to równo 27 miesięcy po swoim medialnie fetowanym spotkaniu z panią Martą Lempart, która w tamtym czasie nawoływała, by „powiedzieć waszym księżom, biskupom i pastorzom, aby wypier...”, a jej komanda sugerowała podpalanie kościołów. Jakby to powiedzieć tak od serca? Wstydu facet nie ma.

Dobrze podsumował to na antenie telewizji wPolsce.pl minister Michał Wójcik. „Donald Tusk jest w formie, szczególnie jeśli chodzi o jego kłamstwa. Na Śląsku przekonywał, że Polska potrzebuje węgla, ale już w rejonie zagłębiowskim opowiadał o zielonym ładzie. Człowiek, który dziś mówi o »babciowym« kazał kobietom pracować o siedem lat dłużej. Wiem, że polityka jest trudną sztuką, ale nie wolno aż tak manipulować” – ocenił. Postaramy się mimo wszystko zrozumieć Tuska. Presja z Berlina, by wreszcie zaciągnął Polskę hamulec, musi być potężna.

Tusk się spala politycznie w ogniu własnych kłamstw, a **Rafał Trzaskowski** tylko czeka, by zastąpić go na ostatniej prostej? To teoria popularna w politycznych kłuiach. Prezydent stolicy też jednak czyścioszkiem nie jest, bo coraz mocniej padają pytania o jego wiedzę na temat afery śmieciowej w Warszawie. Dlaczego aż dwa miesiące zajęło mu odwołanie z funkcji sekretarza miasta Włodzimierza K., któremu prokuratura postawiła zarzut wzięcia 5 mln zł łapówki i wobec którego sąd zastosował areszt?



# Malowane jaja chrząszcza



**KRZYSZTOF FEUSETTE**

**Szymon:** Dzień dobry, witam serdecznie. Lajf na żywo w ten wielkanocny poranek... Och, co ja mówię „wielkanocny”, skoro obchodzimy dziś, co ja mówię „obchodzimy” – bawimy się z okazji święta, co ja mówię „święta”, po prostu – dnia Wielkiej mocy. Wielkamoc, przypomnę, to dzień, gdy czujemy wielką moc, bo nareszcie możemy czuć się sobą. Czucie się sobą jest najważniejsze, o czym opowie nasz reportaż z zakładu karnego, gdzie porozmawiamy z osadzonymi o tym, co czuli, gdy byli sobą, czy dziś nadal to czują i kim zostaną, gdy tak czuć się przestaną. Ale na początek coś na wrzątek, czyli przepisy kulinarne na dzień Wielkiej mocy, a w kuchni już nasi eksperci: Sylwia, europosłanka, i Rafał, prezydent stolicy. Co, kochani, polecacie?

**Rafał:** Hełoł, wszystkim. A więc robaczki, wy, moje, kochane, jeśli wolno mi tak powiedzieć do bohaterów naszego przepisu, chodźcie tutaj, do wujaszka...

**Sylwia:** Ostrożnie, to je boli.

**Rafał:** To jak mam ugotować?

**Sylwia:** Chcesz je gotować?

**Rafał:** A jak?

**Sylwia:** Nie lepiej uprzyżyć? Może pokażę. Tutaj mamy w miseczce świeższe, chrząszcze... Na marginesie, jeśli chcemy, żeby Europa jadła nasze owady, musimy zmienić ich nazwy, bo tego żaden Europejczyk nie wymówi. No i pasikoniki, bo one także są już w Unii wskazane.

**Rafał:** Potwierdzam, my jesteśmy jako Warszawa członkiem wielkiego projektu „Planeta bez człowieka”, takie tam, żeby nie latać częściej niż raz na trzy lata, nie kupować więcej niż osiem sztuk odzieży rocznie. No i nie za dużo mięska.

**Sylwia:** Bo mięso czuje. A potem się psuje. Przypomnę, że czują także jajka, mleko, miód, a nawet sery. Nie czują tylko francuskie, ponieważ tam jest taka tradycja, która obejmuje również żaby, bo one kompletnie nic nie czują. No, chyba że pocałowane, hi, hi. To zresztą ciekawe, że ja postuluję zakaz miodu, gdyż pszczoły cierpią, a mielenie chrząszczy na mąkę mi nie przeszkadza. To jest chyba ta słynna europejska tolerancja, prawda?

**Rafał:** Oczywiście. Ja już nawet, jak patrzę na mięso, to widzę robaki. Ale my tu gadu-gadu, a pasztecik gotowy. Przypomnijmy, co jest w środku?

**Sylwia:** Pół kilo szerszenia, nie musi być żywy, bo wiadomo, jak trudno dostać, szczypta mrówek, a jak ktoś nie ma, może być piasek, chodzi o to, żeby to fajnie chrupało. Do tego dwie łyżki oleju, koniecznie półsyntetycznego, żeby rozpuścił żądła.

**Szymon:** A jak udekorować wielkamocny stół, gdy czasem musimy, chcąc nie chcąc, spotkać się z rodziną, ale chcemy być sobą, bo to jest najważniejsze?

**Sylwia:** Mnie się wydaje, że najlepiej, jak każdy przyniesie to, co lubi. Babcia kocha puzle, niech układa, dziadek robi na drutach, niech robi. Jeśli każdy zajmie się sobą, unikniemy konwersacji, która może prowadzić do kłótni.

**Rafał:** A sam stół, no cóż, na pewno warto okleić taśmą, najlepiej z jakimś wielkamocnym symbolem, typu piorun wbity w mózg albo półmózg w kształcie megafonu...

**Sylwia:** Na pewno nie możemy położyć niczego, co mogłoby kogoś urazić. Intelktualnie, rasowo, ze względu na płeć albo jej brak, a także estetycznie. Żadnych obrusów, cerat, serwetek, nic. Najlepiej,

jeśli podamy wszystkie potrawy w jednym garnku, bez sztućców i będziemy jak nasi niewegańskonormatywni przodkowie jeść rękami. Dzięki temu zaoszczędzimy wodę, która pozwoli nam je umyć.

**Szymon:** A z czego stół?

**Sylwia:** Na pewno nie drewniany, gdyż drewno czuje tak samo jak mięso. Ile razy mówimy sobie: „Ale przywaliłem, przywaliłam głową w szafkę”. Boli, prawda? A to jest nic w porównaniu z tym, co czuje wtedy ona. O ile

oczywiście jest drewniana. Bo nawet nie mogła się poruszyć, żeby się zasłonić. To teraz zastanówmy się, kto ją tam powiesił...

**Rafał:** My, człowiek.

**Szymon:** Strasznie to wszystko straszne. Ale musimy już biec szukać prezentów od zająca, co ja mówię „zająca”, od zajęczycy! Powiedźcie mi na koniec, czego sobie życzyć w taki dzień? Oprócz oczywiście wielkiej mocy?

**Rafał:** Jamyślę, że bycia sobą, bo bycie sobą jest najważniejsze.

**Sylwia:** A ja życzyłabym sobie, żebyśmy się obudzili z tego koszmarnego snu. Żeby zwierzęta mogły normalnie głosować, a przynajmniej wołowina. I precz z programem „Szkłanka mleka dla ucznia”. Ja pilam i co?

**Rafał:** Bądź sobą, Sylwia.

**Sylwia:** A ty?

**Rafał:** Ja też kiedyś będę. Teraz pokażemy, jak przyrządzić wielkamocny żur. Nie żurek, przez szacunek dla pana sędziego, który żeby zjadł na politycznej walce, tylko żur, jak „bążur” po francusku.

**Sylwia:** Żur robimy z czegokolwiek. Warzywa, owoce, tofu, karma dla kanarków, co kto lubi, byle byśmy nigdy, ale to przynigdy, nie wrzucali tam białej kielbasy. To jest rasistowskie dzielenie kielbas na lepsze i gorsze, podczas gdy kielbasa jako taka jest zła.

**Rafał:** Chyba że z owadów.

**Szymon:** Ale kto tyle nałapie? Może latem, jak komary wrócą. To co, stukniemy się, tradycyjnie, jajami?

**Rafał:** Wolalbym nie. Jadłem niedawno.

**Sylwia:** A ja chętnie. Rozmiar nie ma znaczenia. Poproszę chrząszcza. I możemy kolędować.

**P**odgórkę ma opozycja z nie-subordynowanymi Polakami. Nie dość, że poparcie sondażowe dla partii opozycyjnych jest dalekie od tego, czego życzyliby sobie liderzy tych partii, to jeszcze większość rodaków jest przekonana, że to Prawo i Sprawiedliwość wygra trzecią kadencję. Pewnie dlatego Sławomirowi Nitrasowi, wiceprzewodniczącemu klubu Koalicji Obywatelskiej, sen z powiek spędza fakt, że Polacy nie wierzą w porozumienie opozycji i współpracę partii po wyborach. Jednak Nitras ma plan, jak to zmienić.

„Nie tylko brakuje wspólnej listy, ale atmosfery współpracy. Wielu wyborców może mieć dziś poczucie, że partie opozycyjne nie tylko nie są zdolne pójść razem, ale mogą mieć elementarny problem ze współpracą po wyborach” – mówi Nitras w RMF FM.

Być może jednym z powodów braku atmosfery współpracy jest to, że tę współpracę Donald Tusk próbuje na partnerach wymusić siłą, a za narzędzie szantażu obrał sobie sondaż „Gazety Wyborczej”, który podobno miał dowodzić, że tylko na jednej liście opozycja wygra wybory, choć finalnie dowodził, że nie wygrywa w żadnym układzie. Nie przeszkodziło to jednak Tuskowi straszyć liderów opozycji ogniem piekielnym, smażeniem się w kotle i innymi takimi przyjemnościami.

W przekonaniu o braku w Polakach wiary we współpracę partii opozycyjnych mogły utwierdzić pana Nitrasa sondaże z ostatnich tygodni. Np. dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM przeprowadzonego przez United Surveys. Z badania wynika, że większość Polaków, bo aż 52 proc., spodziewa się, że to PiS wygra nadchodzące wybory parlamentarne. Podobne badanie na początku marca przygotowała dla portalu wPolityce.pl pracownia Social Changes. Respondentów zapytano: „Kto według Pani/Pana wygra najbliższe wybory jesienią tego roku i będzie rządził w Polsce?”. I w tym sondażu największa grupa badanych – 52 proc. – wskazała na PiS i sojuszników tego ugrupowania.

„Planem minimum jest wytworzenie powszechnego przekonania, dotarcie do opinii publicznej z komunikatem, że partie opozycyjne są zdolne do wypracowania wspólnego modelu rządzenia, że to jest to elementarne minimum. Może się okazać, że wypra-

# Czary-mary

*W przekonaniu o braku w Polakach wiary we współpracę partii opozycyjnych mogły utwierdzić pana Nitrasa sondaże z ostatnich tygodni*

ić do wyborów?”, było parę mniejszych, jak ten dotyczący głosowania nad nowelą ustawy o Sądzie Najwyższym, przejmowania przez Tuska hasła wyborczych innych partii czy tematu referendum w sprawie aborcji, którego chcą Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz. Partie opozycji podzielił też medialny atak na Jana Pawła II. W tej sprawie jedni byli za uchwałą parlamentu, inni przeciw, a jeszcze inni się wstrzymali. Właściwie trudno się dziwić, że Polacy odnoszą wrażenie – czy

też mają powszechne przekonanie, jak mówi Nitras – że opozycję wszystko dzieli, a łączy tylko chęć odsunięcia PiS od władzy. A to zdecydowanie za mało.

Kilka dni temu swój pomysł na to, jak skleić pokłóconą opozycję, przedstawiła podczas jednego ze spotkań z wyborcami eurodeputowana Magdalena Adamowicz. Otóż trzeba po prostu używać zaklęć – jak nie idzie, to trzeba zaczarować rzeczywistość. „Ja też uważam, że tylko wspólna lista pomoże nam wygrać, ale rzeczywiście jest duże zmęczenie, te różne fochy, jak się mówi o jednej wspólnej liście. Ja tak sobie pomyślałam, że tę wspólną listę może tak jakoś oddolnie pchać, może właśnie promując takie hasło, jak »wspólna opozycja«, jak »opozycja silna razem«. I jak będziemy mówić o tym, że opozycja jest silna razem, czy silna opozycja, czy opozycja razem, to się zacznie przebijać. A skoro opozycja silna razem, to się dogadajmy! Stwórzmy taki #opozycjasilnarazem” – zachęcała Adamowicz.

Najprostsze byłoby określenie „zjednoczona”, ale to – po pierwsze – już jest zajęte przez prawicę, a po drugie, opozycja do zjednoczenia ma lata świetlne. Być może faktycznie tylko czarna magia i zaklinalanie rzeczywistości są w stanie pomóc totalnie podzielonej opozycji. Ale czy to mój problem?

**Dorota Łosiewicz**





## Cenzurują Agathę Christie

**W**ydawnictwo HarperCollins postanowiło zbliżyć czytelników do rzeczywistości opisanej przez Orwella w „1984”. Za zgodą spadkobierców klasyczne kryminały Agathy Christie poddano tzw. retuszowi poprawnościowemu, czyli politycznej cenzurze. Obejmuje ona na razie cyfrowe wersje nowych wydań, które przeredagowano „pod kątem współczesnej wrażliwości”.

Cenzorska ingerencja objęła wiele fragmentów zawierających opisy i stereotypowe sądy odnoszące się do pochodzenia etnicznego bohaterów. Wycięto nawet takie sformułowanie jak „orientalny”, a określenie „tubylcy” zastąpiono „miejscowymi”. Zmianie poddano głównie narrację autorki lub fragmenty wewnętrznych monologów wykreowanych przez nią postaci: panny Jane Marple i Hercule’a Poirota.

I tak w nowym wydaniu „Karaibskiej tajemnicy” detektyw nie dostrzega już u uśmiechającego się do niego pracow-



Wielka Brytania

nika hotelu z Indii Zachodnich „pięknych białych zębów”, ale jedynie „piękne zęby”. Zniknął cały fragment, w którym jedna z postaci z oczywistych względów nie dostrzega w nocy czarnej kobiety. W „Tajemniczej historii w Styles” Poirot nie może pomyśleć, że jedna z postaci jest „oczywiście Żydem”. W powieści „Śmierć na Nilu” cenzorzy nie pozwalają pani Allerton skarżyć się na dzieci ze względu na ich wygląd. Fragment: „Wracają i patrzą, i patrzą, a ich oczy są po prostu obrzydliwe, podobnie jak ich nosy, i nie wierzę, że naprawdę lubię dzieci” został skrócony do zdań: „Wracają i patrzą, i gapią się. I nie wierzę, że naprawdę lubię dzieci”. W wielu przypadkach z książki usunięto odniesienia

do Nubijczyków, np. „nubijski wioślarz”, po ingerencji cenzury stał się po prostu „wioślarzem”. Wydana po śmierci pisarki „Śmiertelna klątwa” z 1979 r. zawiera postać indyjskiego sędziego, który ze „swoim indyjskim temperamentem” wpada w złość, domagając się śniadania. Nowa wersja zawiera tylko jego niedookreślony „temperament”. Kobieta w „typie Cyganki” jest teraz „młoda kobietą”. Z tekstu wypreparowano zresztą wszystkie odniesienia do Cyganów.

Sprawa nie jest nowa, bo już 20 lat temu tytuł znanej powieści Christie „Dziesięciu Murzynków” zamieniono na „I nie było już nikogo”, usuwając lub przerabiając wszystkie fragmenty, które miały jakoby obrażać osoby czarnoskóre. Takie manipulacje mają miejsce także poza medialnym zgiełkiem. Stanisław Barańczak w swoim przekładzie „Makbeta” zdecydował, że jednym ze składników diabelskiego wywaru szykowanego przez wiedźmy będzie „płat wątroby bezbożnika”. Sam Szekspir użył jednak do jego przyrządzenia „wątroby błuźniącego Żyda”. Jak widać, nie miał racji.

**Maciej Walaszczyk**

## Misja pojednawcza

**M**a Ying-jeou, były prezydent Tajwanu i lider nacjonalistycznej opozycyjnej partii Kuomintang, udał się z wizytą do Chin, co stało się sensacją polityczną i wywołało falę spekulacji na temat polityki Tajpej po zaplanowanych na styczeń przyszłego roku wyborach prezydenckich.

Ma uchodzić za polityka opowiadającego się za zbliżeniem z Chinami. Jego podróż ma charakter prywatny, formalnie wyjazd organizowała założona przez Ma Ying-jeou fundacja edukacyjna, ale okoliczności wizyty nadają jej oczywisty kontekst polityczny. Wyprawa budzi tym większe emocje, że ma miejsce równolegle z podróżą prezydent kraju Tsai Ing-wen do Stanów Zjednoczonych i państw Ameryki Środkowej ciągle utrzymujących z Tajwanem oficjalne relacje.

Ma jako lider opozycji krytykuje politykę urzędującej prezydent, która jego zdaniem doprowadziła do zaostrzenia relacji z Chinami kontynentalnymi, co postawiło Tajwan na progu wojny i spowodowało utratę kolejnych sojuszników. Temu ostatniemu argumentowi trudno zaprzeczyć zwłaszcza po tym, jak rząd Hondurasu podjął w ostatnich dniach decyzję o formalnym uznaniu Chin, co spowodowało

zerwanie dyplomatycznych relacji z Tajwanem. Po objęciu władzy na wyspie przez Tsai Ing-wen i jej Partię Demokratyczno-Postępową to już dziewiąty taki przypadek.

Ma Ying-jeou, który jako pierwszy oficjalny przedstawiciel Tajwanu spotkał się z Xi Jinpingem w Singapurze w 2015 r., opowiada się za odbudową relacji z Pekinem i za odsunięciem ryzyka wojny. Podczas obecnej podróży lider Kuomintangu nie odwiedzi Pekinu, by uniknąć oskarżeń o kontakty z przedstawicielami władz komunistycznych, ale na lotnisku w Szanghaju, gdzie wylądował jego samolot, widziano zastępcę szefa pekińskiego Biura ds. Tajwanu, co może oznaczać, że doszło do jakichś rozmów.

Emocje związane z wizytą tajwańskiego polityka w Chinach są tym większe, że ostatnio mamy do czynienia z dyplomatyczną ofensywą Pekinu i osobiście Xi Jinpinga. Po tym jak Chinom udało się doprowadzić do pojednania irańsko-saudyjskiego i po wizycie chińskiego prezydenta w Moskwie, obserwatorzy spekulują, że kolejne posunięcie Pekinu może być związane z Tajwanem i oznaczać sformułowanie pokojowego planu reintegracji tej uznawanej za zbuntowaną prowincję wyspy z państwem chińskim.

**Marek Budzisz**



Tajwan





## Media w służbie władzy

**M**oderowanie debat, pisanie i redagowanie tekstów, szkolenia, wykłady – to zlecenia, za które ok. 200 niemieckich dziennikarzy otrzymało w ciągu ostatnich pięciu lat ponad 1,5 mln euro wynagrodzenia od rządu RFN.

W odpowiedzi na interpelację frakcji AfD w Bundestagu niemiecki rząd ujawnił listę dziennikarzy, którym płacił honoraria za różne usługi. Ponad połowa honorariów (875 tys. euro) trafiła do dziennikarzy mediów publicznych oraz międzynarodowego nadawcy Deutsche Welle. Jeden dziennikarz drugiego kanału telewizji publicznej (ZDF) zarobił 32 tys. euro za tworzenie „treści wideo” dla Federalnego Urzędu Prasowego.

Informacje te wywołały oburzenie za Odrą, ponieważ dziennikarze mediów publicznych są zobowiązani do zachowywania dystansu wobec władzy. Na liście znaleźli się oczywiście także pracownicy mediów prywatnych, np. tygodników „Der Spiegel”, „Die Zeit” i dziennika „Tagesspiegel”. Politycy koalicyjnej partii FDP oraz opozycyjnej CDU uznali, że takie praktyki mogą budzić wątpliwości co do niezależności dziennikarzy.

Od lat w Niemczech przedstawiciele medialnego mainstreamu są oskarżani o uprawianie „dziennikarstwa dworskiego” (Hofberichterstattung), które miało się szczególnie rozwinąć w czasie rządów Angeli Merkel. Nieformalne rozmowy z politykami, organizowane w hermetycznie zamkniętych kręgach, mają za Odrą długą tradycję. Kanclerz Konrad Adenauer nazwał je jednym z najważniejszych instrumentów sterowania państwem. Krytycy widzą w nich miejsce tajnej zмовy między przedstawicielami władzy a mediami. Hans Leyendecker z „Süddeutsche Zeitung” mówił w związku z tym wręcz o „kleistej bliskości”, która miała się wytworzyć między uczestnikami tych spotkań. Dziennikarze serwują w swoich domach wyszukane potrawy, a „politycy poznają przy tej okazji ich rodziny”. A trudno krytycznie pisać o kimś, kogo się zna i lubi.

Na tym jednak nie koniec kontrowersji. Rząd federalny ujawnił bowiem tylko listę tych dziennikarzy, którzy otrzymywali honoraria od ministerstw. Nie zmieścili się na niej ci, którzy mają być opłacani przez Federalną Służbę Wywiadowczą (BND). Służby argumentują, że przedstawiciele mediów, szczególnie zagranicznych, mogą być atrakcyjnymi źródłami informacji, z których nie należy rezygnować.

Reporterzy bez Granic oraz Towarzystwo na rzecz Praw Wolności zamierzają złożyć skargę w Trybunale Konstytucyjnym. BND niszczy ich zdaniem wolność prasy. A niemieckie prawo prasowe, jak przypomniał przewodniczący Niemieckiego Związku Dziennikarzy (DJV) Frank Überall, wyraźnie zabrania dziennikarzom współpracy ze służbami.

**Aleksandra Rybińska**



## Równouprawnienie i przemoc

**F**inlandia szczyci się tym, że jest pierwszym krajem na świecie, w którym udało się osiągnąć równość kobiet i mężczyzn w życiu rodzinnym i zawodowym. Według rankingu Global Gender Gap Report 2022 Finowie ustępują pod tym względem jedynie Islandczykom. W obecnym rządzie, na którego czele stoi Sanna Marin, aż 11 ministerstw na 19 kierowanych jest przez przedstawicielki płci pięknej. Poza tym kobiety stanowią 47 proc. wszystkich parlamentarzystów, 39 proc. urzędników samorządowych, 48 proc. ambasadorów, 68 proc. pracowników MSZ, 40 proc. członków zarządów spółek państwowych i 30 proc. zarządów firm prywatnych.

Wspomnianą równość udało się osiągnąć dzięki polityce tzw. pozytywnej dyskryminacji w organach państwowych i administracji publicznej, rozbudowanej sieci niedrogich żłobków i przedszkoli, a także promowaniu urlopów rodzicielskich dla mężczyzn. Wydawać by się więc mogło, że Finlandia jest idealnym krajem do życia dla kobiet, gdyby nie jeden fakt. Otóż znajduje się ona również w światowej czołówce niechlubnego rankingu przemocy domowej wobec kobiet.

Według danych pochodzących z telefonu zaufania dla ofiar przemocy aż 43,5 proc. mieszkańców Finlandii doświadczyło w ciągu ostatnich 10 lat przemocy domowej, co daje odsetek dwa razy wyższy niż średnia w Unii Europejskiej. Mimo prowadzonej przez władze polityki równouprawnienia wskaźniki agresji wobec kobiet – jak pokazują dane statystyczne – wcale nie maleją. Jak podaje fiński Narodowy Instytut Badań nad Polityką Prawną, aż 20 proc. wszystkich morderstw w kraju jest popełnianych przez obecnego lub byłego partnera.

Czy istnieje korelacja między wzrostem równouprawnienia kobiet a stosowaną wobec nich przemocą? Na to pytanie próbują odpowiedzieć naukowcy, lecz w swoich badaniach dochodzą do odmiennych wniosków. Jedni twierdzą, że tak, inni, że nie. Zagadka zatem pozostaje. Jedno jest pewne: to, co działa w skali społecznej, nie musi wcale funkcjonować w relacjach między dwoma osobami.

**Grzegorz Górny**



**I ŚMIESZNO, I STRASZNO**

## Postępowe ratusze w natarciu



**Jan  
Pietrzak**

**Z** ciekawym przypadkiem samorządności mamy do czynienia w Elblągu. Otóż obecne władze nie życzą sobie portu, zależnego od państwa polskiego. One chcą mieć swój port. Gdy chodziło o uzależnienie Elbląga od Rosjan z Królewca, nie miały żadnych zastrzeżeń. Jak najszerze otwarcie granic, ulgi hotelowe, przywileje parkingowe... Co do Niemców również są traktowani z wielką estymą ze względu na niemieckie stowarzyszenia, fundujące wybranym elblążanom europejskie samopoczucie. Z kolei władze państwa polskiego są traktowane niechętnie. To efekt strukturalnego antagonizmu, występującego w wielu miejscowościach. A przecież samorządy nie miały się zajmować polityką, lecz administracją, o ile pamiętam dyskusję z okresu kształtowania ustroju III RP.

Od tamtych zamierzonych czasów pojawili się samorządowcy o tak niepohamowanej ambicji, że najprostsze sprawy, jak np. wywóz śmieci, stają się problemem ideologicznym. Dlaczego mają wywozić śmieci z miasta, kiedy właśnie w śmietnikach rodzą się pożyteczne stworzenia, dające szansę na poprawę ekosystemu? Postępowe ratusze znalazły sposób na poprawę jakości miejskiego

klimatu. Wystarczy nie jeść mięsa. Odpowiednią ilość białka, witamin i kalorii czerpać z domowej fermy smakowitych robaczków. Blisko mieszkania, na klatce schodowej, w piwnicy, przydomowym śmietniku da się wyhodować mnóstwo węglowodanów niewydzielających metanu ani CO<sub>2</sub>. Komisarz Timmermans będzie zachwycony, posłanka Spurek urządzi pokaz. Soros dosypie kasy. Wysuszone i przemielone na mączkę karaluchy dadzą się łatwo zastosować do chrupiących bułeczek lub pożywnej pizzy. Pokaz zaszczyca osobistości C40 na hulajnogach. Zatwierdzą jedynie słuszny plan limitowania ubrań, racji żywnościowych i samochodów. Co prawda towarzysze Stalin i Mao przeciwiczyli już ten wariant współżycia społecznego na milionach ofiar, ale było to tak dawno, że ludzkość zapomniała.

Wielu samorządowców uważa, że ich misja polega na inżynierii społecznej. Jeżeli państwo im przeszkadza, tym gorzej dla państwa. Trzeba je opilować na rzecz Brukseli, w której mieści się Komitet Centralny ekopostępu i euroklimatu. 

**PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**

## Tożsamość eksperta

**N**iby żyjemy w czasach, gdy wiemy o wszystkich wszystkim, ale okazuje się, że są takie ministerstwa prawdy, które twierdzą, iż da się wymazać, że Oceania już nie jest w sojuszu z Eurazją. Że ludzie zapomną, jeśli im się nie będzie tego przypominać.

Weźmy np. eksperta, który ostatnio bryluje na łamach najbardziej wpływowej gazety w Polsce. To on jest głównym analitykiem tzw. sondażu obywatelskiego, który został zorganizowany po to, by skłonić Szymona Hołownię do podporządkowania się Donaldowi Tuskowi. Ów ekspert, przedstawiany jako „doktor psychologii w zakresie psychometrii, analityk badań sondażowych związany z Fundacją Forum Długiego Stołu”, w swoich wywiadach i tekstach stawia tezę, że niezbędna jest jedna lista opozycji. I czyni to jako bezstronny znawca tematu rzecz jasna.

Problem w tym, że gazeta nie wspomina drobnego faktu: otóż ów psychometra ma przeszłość bogatszą, niż mówią o tym notki biograficzne. Przez wiele lat był aktywnym politykiem, i to nie szeregowym aktywistą, ale posłem i sekretarzem generalnym m.in. Unii Demokratycznej, doradcą prezydentów Warszawy, burmistrzem jednej ze stołecznych dzielnic. Był też członkiem Platformy Obywatelskiej, a nawet kandydował na jej szefa.



**Dominik  
Zdort**

Nie wyciągam z tego wniosku, że namawiając dziś opozycję do realizacji politycznego planu, ów byłby polityk kłamie. Na pewno mówi i pisze to, w co szczerze wierzy. Ale uczciwie by było, gdyby przy każdej takiej analizie przypominać jego karierę, bo to dla czytelnika może mieć znaczenie.

Ktoś kiedyś powiedział, że z polityką jest trochę tak jak ze służbami specjalnymi, z nich się nigdy tak na prawdę nie odchodzi. Agent pozostaje agentem, nawet jeśli zostanie uśpiony czy odstawiony na boczny tor. Ale w każdej chwili może być powołany do służby, skierowany do nowych zadań, tam gdzie będzie potrzebny.

Różnica jest taka, że o przeszłości większości agentów nie wiemy, i dobrze, bo na tym polega natura służb. Polityka zaś powinna być transparentna, musi być jasne, kto i gdzie kiedyś działał, jeśli dziś angażuje się – jako bezstronny ekspert – w międzypartyjne spory.

Ja od lat nie piszę o politycznych rozgrywkach. Ale chcąc być uczciwym, w swoich tekstach od czasu do czasu przypominam, że za młodu, jako dziennikarz działu miejskiego „Życia Warszawy”, także byłem przez krótko właścicielem legitymacji partii Donalda Tuska. KLD. 

*Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl*

BRONISŁAW WILDSTEIN

# Mięsożerni wegetarianie

**K**lasyczną metodą opisu postaw ludzkich jest wskazanie fundamentalnych opozycji, które je warunkują i wyznaczają bieguny ludzkiego myślenia. Być może najbardziej znacząca rozstrzyga pytanie: czy natura ludzka jest dobra? Jeśli najgłębszym imperatywem człowieka jest czynienie dobra, po prostu należy mu to umożliwić, a więc wyemancypować go i zlikwidować cywilizacyjne restrykcje, które to utrudniają. Dopiero wyswobodzeni od wszelkich ograniczeń ludzie rozkwitną i stworzą nowy, wspaniały świat. Oto fundament myślenia współczesnej lewicy z liberałami włącznie.

Problem w tym, że pojęcie dobra obejmuje rozmaite i niełatwo przystające do siebie jakości. Dla uproszczenia przyjmijmy więc, że chodzi o życzliwość. Człowiek z natury rzeczy jest dobrze nastawiony do innych i chciałby dla nich jak najlepiej.

Co jednak znaczy owo „najlepiej”? Przecież dobrostan człowieka postrzegamy rozmaicie. Jeśli nawet pogodzilibyśmy się co do niego, pozostaje sposób jego osiągnięcia. Dobroć należy uzupełnić zatem o mądrość. Bez niej mimo najlepszych chęci zamiast stanu pozytywnego człowiek mógłby osiągnąć coś odwrotnego. Musi być więc na tyle mądry, by rozumieć, jak działa świat, i potrafić nad nim panować. Wynika z tego, że rzeczywistość jest w całości i bez reszty przeźroczysta i rozpoznawalna dla ludzi, którzy potrafią dowolnie ją kształtować, co budzi wątpliwości, biorąc pod uwagę choćby poznawcze ograniczenia człowieka.

Prosta na pozór idea dobroci ludzkiej pociąga za sobą spore komplikacje, dodatkowe założenia i rodzi kolejne pytania. Jedno z nich brzmi: dlaczego dobry człowiek stworzył tak nieodpowiedni dla swojej szlachetności świat?

„Człowiek urodził się wolny, a wszędzie jest w okowach”. Tak zaczyna się „Umowa społeczna” Rousseau, wyznawcy dobroci ludzkiej. „Owce są mięsożerne, a wszędzie jedzą trawę” – tak sparafrazował to ujęcie Joseph de Maistre.

Wielki nurt kultury zachodniej zajmuje się odpowiedzią na pytanie: dlaczego dobry człowiek stworzył tak nieodpowiadającą mu cywilizację? To transformacja tradycyjnego dylematu: dlaczego dobry i wszechmocny Bóg dopuścił istnienie zła? Ewolucja tej refleksji wskazuje, jak ku ucieście jednych i przerażeniu drugich w wyobraźni oraz kulturze Zachodu człowiek zastępuje Boga.

Na granicy między metafizycznym i antropologicznym wyjaśnieniem zagadki zła sytuuje się niezwykle przemyślny system Hegla. Opisuje on dzieje ducha, a więc i uosabiającego go człowieka, które zdaniem ich kronikarza rozwijają się w jedyny możliwy sposób, by doprowadzić do samowiedzy i wolności.

System ten stał się inspiracją i punktem wyjścia dla rewolucyjnych ideologii, w tym najbardziej znaczącej, jaką jest marksizm.

Współcześni rzecznicy emancypacji nie kłopotzą się dochodzeniem relacji między obowiązującym wyobrażeniem człowieka a jego realną historią. Bardziej refleksyjni przyjmują, że tradycyjna cywilizacja to rodzaj drabiny, pozwalającej mu wspiąć się do pozycji, jaką cieszy się na Zachodzie, i teraz powinien ją odrzucić jako zawadzącą, aktywiści uznają ją za źródło wszystkiego, co złe – opresji, zniewolenia, patriarchy – i skazują na jednoznaczne potępienie. Z tradycyjnej, czyli jedynej, jaką znamy, kultury mamy się wyemancypować, zatem definitywnie się wykorzenić.

Sceptycznie nastawieni do wizji dobroci człowieka nie są zwykle – choć i tacy się zdarzają – przekonani do jego radykalnego zła. W chrześcijańskiej antropologii ludzka natura jest zepsuta przez grzech, co nie znaczy, że człowiek jest kierowany wyłącznie złymi pragnieniami. Cywilizacja jako taka stanowi proces edukacyjny, promuje skłonności pozytywne, a kielzna destrukcyjne i usiłuje wykorzystać ich energię do działań konstruktywnych, nakłada ograniczenia na ludzkie popędy i podporządkowuje je normom obowiązującego ładu. Anioły nie potrzebują prawa w przeciwieństwie do ludzi i diabłów.

Można jednak odnieść wrażenie, że dominujące dziś prawo służy rozmontowaniu znanego nam porządku w imię... wyzwolenia człowieka. Jak miałby wyglądać człowiek wyemancypowany i powołana przez niego do życia kontrkultura, jak nazywali ją swojego czasu kontestatorzy, dziś liderzy zachodniego establishmentu – nie wiemy. Wiemy za to, że działanie w tym kierunku ma dać pełnię władzy w ich ręce. Po to oczywiście, by jak najlepiej

urządzić życie wszystkim. Zdanie tych, którzy nie osiągnęli jeszcze stadium emancypacji, a więc są uwięzieni w przesądach tradycji, nie będzie przy tym – co zrozumiałe – brane pod uwagę.

Obawiający się tego wskazują na ograniczenie ludzkich, zwłaszcza indywidualnych zdolności i na to, że kultura, czyli rozwijany przez pokolenia proces, aktualizuje nasze pozytywne potencje. Wstrząsy historii pokazują, jak łatwo rozmontować cywilizacyjny ład. Nie dobroć ludzka występuje wówczas na plan pierwszy. Rzecznicy emancypacji się tym nie przejmują. Wierzą przecież w człowieka.





# Walizka

## prof. dr. hab. Tomasza Jasińskiego

dyrektora Biblioteki  
Kórnickiej PAN, mediewisty



**M**oją specjalnością są rękopisy, zwłaszcza kroniki, roczniki, dokumenty, średniowieczne wiersze. Pracuję w Bibliotece Kórnickiej PAN w Kórniku, w której tych zabytków jest pod dostatkiem: kilkanaście tysięcy rękopisów, wiele inkunabułów, dziesiątki tysięcy starodruków, starych rycin, a także setki obrazów, historycznych mebli, talerzy, no i cały Zamek w Kórniku. W podróży wakacyjnych, gdy wszyscy idą na plażę lub zwiedzać miasto, ja wyprawiam się do bibliotek, archiwów itd. Tam wypoczywam, studiując np. w Bibliotece Narodowej Francji w Paryżu Kodeks Wilhelma, syna Ottona I, którego to zapiski dały początek najstarszym polskim Rocznikom kapituły krakowskiej. W nich zanotowano datę chrztu Polski. W podróży „ścigam” Galla Anonima, nie tylko przetrząsam przez wiele tygodni archiwa w Wenecji w klasztorze franciszkańskim, lecz także archiwum w Zadarze. Tam studiuję stylistykę i rytmikę średniowiecznych kronik i dokumentów. W Niemczech, a także w Londynie i południowych Włoszech przeczesuję biblioteki bogate w książki o średniowiecznej poezji. Jest ona piękniejsza (!) niż poezja starożytna i nowożytna. W Niemczech „ścigam” Złotą Bullę (1235) i setki innych dokumentów Krzyżaków i ich kroniki, a także poematy. Gdy nie podróżuję, z pomocą informatyków układam programy komputerowe do badania łacińskich tekstów średniowiecznych, a niekiedy też starożytnych.

### MARIA MAGDALENA

Mój ideał kobiety. Obraz z kolekcji założycieli Biblioteki Kórnickiej – Tytusa i Jana Działyńskich. Malarz nieznan, szkoła niemiecka lub holenderska, około połowy XVI w. Towarzyszy mi w pracy, gdy siedzę przy biurku w swoim gabinecie.



### XVII-WIECZNY INSTAGRAM

Cykl portretów osobistości polskich i szwedzkich ze świata kultury i polityki. Autorem jest malarz Marceli Krajewski.



Fot. Andrzej Wiktor





## DOKUMENTY CESARZA FRYDERYKA II

Biały kruk. Współczesne, znakomite niemieckie wydawnictwo zawierające dokumenty z pierwszej połowy XIII w. Traktuje m.in. o Fryderyku II, który wystawił Złotą Bullę dla zakonu krzyżackiego, rzekomo w 1226 r.



## „KRUSCHWITZ, RIMINI...”

...a według moich badań z 1235 r. Wydana po niemiecku książka, w której udowadniam moje odkrycie. Początkowo historycy zza Odry nie wierzyli, że jestem w stanie poprzeć swojej tezy. Potem stali się jej entuzjastami do tego stopnia, że moja książka jest wykładana na niemieckich uczelniach.

## GALL ANONIM

Na temat Galla Anonima napisałem dwie książki i ok. 20 artykułów. Pierwsza jest poświęcona zagadce, kim był Gall, a druga – jak pisał na tle twórczości swoich poprzedników. Bez dwóch zdań był wybitnym stylistą i poetą... chorwackim! Gall

Anonim był Słowianinem wykształconym przez nauczycieli pozostających w oddziaływaniu kultury włoskiej i Bizancjum.



## ILUSTRACJE NA MICE

Ze zbiorów Biblioteki Kórnickiej. Przywiezione z Indii prawdopodobnie przez Władysława Zamoyskiego. Te XIX-wieczne ilustracje przedstawiają, jak żyli Hindusi.



## GRADUAŁ

Waży zaledwie 25 kg. Księga na pergaminie, pięknie zdobiona miniaturami, służąca do śpiewu, zapisana na czteroletni cykl. Przepisana przez Grzegorza z Wronek w 1627 r. Ten graduał doskonale ilustruje powiedzenie „Przeczytać książkę od deski do deski”, ma bowiem drewnianą okładkę.

## JALMUŻNICZKA

Jedna czwarta... królowej Francji Marii Leszczyńskiej. To wyszywana srebrną nicią ozdobna sakiewka przeznaczona na drobne monety do obdarowywania ubogich.



## BIAŁA DAMA

Portret z 1754 r. Teofili z Działyńskich *primo voto* Szoldrskiej, *secundo voto* Potulickiej – właścicielki Zamku w Kórniku wraz z okolicznymi dobrami, w kulturze popularnej znanej jako Biała Dama – duch Kórnickiego Zamku.



## KOMPLETNA HUSARSKA ZBROJA

Sprezentowana Tytusowi Działyńskiemu przez Adama Sapiechę. W kolekcji muzeum znajdują się też oryginalne husarskie kopie, których metoda wytwarzania była najpilniej strzeżoną tajemnicą Rzeczypospolitej.



## ŻONA JOLANTA

Niedawno obchodziliśmy 50-lecie naszego związku małżeńskiego. Jola uwielbia podróżować bardziej niż ja. Przy okazji jest niesamowitym logistyką, może dlatego, że ma 157 IQ. Bezproblemowo wynajduje

wszystkie połączenia lotnicze i autobusowe, rezerwacje hotelowe i specjalne wejścia do muzeów. Tam gdzie ja się gubię, ona porusza się swobodnie. Od kilkunastu lat prowadzi parafialnemu Caritasowi.



## TERMOS

Przywieziony z samej Szwajcarii, prezent od filologa klasycznego. Jako herbaciarz nie mogłem dostać lepszego prezentu.



*Wysłuchał i zapisał* **Michał Korsun**



OGNIEM NA WPROST

# Syndrom czarnobajewski



**P**atriarcha ekumeniczny Konstantynopola Bartłomiej I potępił patriarchat moskiewski za wzywanie do wojny. Kolejnym posunięciem już realizowanym przez Kościół Prawosławny Ukrainy będzie wykluczenie Cyryla I (Światiejszy Patriarch Moskiewski i Wsiewja Rusi) z listy wspominanych w modlitwie i wykreślenie z tzw. dyptychu, czyli wykazu autokefalicznych (samodzielnych) Cerkwi prawosławnych, wspominanych podczas modlitwy. W momencie, kiedy patriarchat moskiewski wypadnie z dyptychu, reszta Cerkwi autokefalicznych uznaje go za strukturę heretycką. Latem Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) zaczęła śledztwo i przeszukiwanie w obiektach należących do patriarchatu moskiewskiego, ujawniając, że moskiewska cerkiew na Ukrainie stanowi *de facto* piątą kolumnę i jawnie działającą agenturę Kremla. Tymczasem biskupi Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (PAKP) nie tylko nie godzą się z decyzją patriarchy Bartłomieja I o rozpoczęciu procesu nadania autokefalii (przyznania niezależności) Cerkwi na Ukrainie, ale nawet zabraniają polskim duchownym prawosławnym kontaktów z ich odpowiednikami z ukraińskich Cerkwi. Zdaniem ks. prof. Henryka Paprockiego, rzecznika PAKP: „Sytuacja na Ukrainie jest ciągle niejasna”. Prawosławny duchowny zapewnia też, że PAKP nie przeciwstawił się decyzji patriarchy Konstantynopola, lecz „przyjął pozycję wyczekującą”. Niczym Pilat rozpatrujący sprawę Chrystusa.

**P**ropagandysta Kremla Władimir Sołowjow znowu dał ognia na antenie Rossija 1. Tym razem zaczął

łagodnie, twierdząc, że Federacja Moskiewska jest jedynym krajem, w którym są ściśle przestrzegane prawa człowieka. Po czym na jednym wydechu dodał, że zostaną zniszczone wszystkie polskie miasta. Jego zdaniem nie będzie potrzebne nawet wprowadzanie moskiewskich wojsk. „Zniszczymy polskie miasta rakietami. Tym razem nie odpuścimy Europy” – bredził. Stwierdził również, że Ukrainy szkoda, a „z Polską będziemy walczyć jak Amerykanie w Iraku”. „Nie będziemy się dwa razy zastanawiać. Polska będzie następna” – mówił. Sołowjow oświadczył, że Rosja nie będzie „traktowała Polaków jak braci, tak jak to robi na Ukrainie”. Jak mam być potraktowany po „bratersku” jak ci ludzie w Buczy i Irpieniu oraz w wielu innych miejscach, to wolę już wrogie podejście. Żadna różnica. A od siebie dodam: martw się o siebie, Kacapie, bo już niedługo zobaczysz, co się będzie działo.

**N**iejaki Krzysztof Jackowski, uchodzący w kręgach zafascynowanych rewelacjami Pudelka za jasnowidza, już jakiś czas temu zabrał się za przepowiednie dotyczące przyszłości Polski. Jego zdaniem nasz kraj zostanie podzielony na „strefy z różnymi stopniami bezpieczeństwa”. Na ulicach miast pojawiają się policjanci i wojskowi, którzy będą utrzymywali porządek. W niektórych miejscach Polski funkcjonariusze otrzymają znacznie szersze uprawnienia, mowa nawet o przejmowaniu samochodów obywateli. Ale to nie koniec. Najgorsze ma nadejść w czerwcu br. W dwóch polskich miastach mają się pojawić grupki żołnierzy, mowa m.in. o Przemyślu. „Tam będzie jakiś ważny punkt, ogniwo. Kojarzy mi się czerwiec i grupki wojsk na ulicach” – twierdzi lokalna Kasandra. Jackowski swoim stra-

szeniem Polaków zaczyna przypominać wspomnianego Władimira Sołowjowa. Nie ma żadnego znaczenia, że jego przepowiednie do tej pory były zlepkiem bredni, niemających wiele wspólnego z rzeczywistością. Ale z czegoś trzeba żyć.

**T**ymczasem nie pomna przepowiedni Sołowjowa i Jackowskiego ukraińska artyleria pracuje jak w lecie, tłukąc równo po rosyjskich pozycjach. Ostatnio w Swatowem na północy frontu dobrze przycelowali. Trafili akurat na koncert Chóru Aleksandrowa – Dwukrotnie Odznaczonego Orderem Czerwonego Sztandaru Akademickiego Zespołu Pieśni i Tańca Armii Moskiewskiej. Odtworzonego, bo ten pierwszy w 2016 r. uległ katastrofie rosyjskiego samolotu Tu-154, na którego pokładzie znajdowało się 64 artystów oraz jego dyrektor i kierownik artystyczny. Lecieli na występ do Latakii w Syrii. Nikt nie przeżył wypadku. W sumie do Syrii poleciały dwa samoloty z zespołem. W pierwszym (który doleciał do celu) znajdowała się orkiestra, dwóch dyrygentów i kilku solistów. W drugim (który się rozbił) leciał balet, członkowie chóru i również kilku solistów. Teraz na przyfrontowym występie stawili się cały rosyjski punkt dowodzenia. Z budynku, w którym odbywało się przedstawienie, pozostały jedynie gruzy. Liczba ofiar jak do tej pory nie jest znana. Jak pech, to pech. Nawet artyści nie mają lekko na współczesnym polu walki. Tymczasem ukraińska psychiatria analizuje przypadki „syndromu czarnobajewskiego” (lotnisko pod Chersoniem permanentnie ostrzeliwane przez ukraińską artylerię), który objawia się uporczywym wystawianiem się na strzał tam, gdzie wiadomo, że się dostanie.

**Andrzej Rafał Potocki**

# Czysty węgiel



**Marta  
Kaczyńska-  
Zielińska**

**P**remier Japonii Fumio Kishida, który w połowie marca br. odwiedził Warszawę, poinformował o przyznaniu Polsce specjalnego statusu w związku z udzielaniem oficjalnej pomocy rozwojowej. Japonia to trzecia gospodarka świata, a wzmacnianie partnerstwa strategicznego między naszymi krajami to dobra wiadomość dla rodzimej gospodarki i bezpieczeństwa.

Polskie relacje z Japonią dotyczą wielu dziedzin, w tym bezpieczeństwa w obszarze osprzętowania, cyberprzestrzeni, przestrzeni kosmicznej i telekomunikacji w oparciu o podpisane w lutym 2022 r. memorandum o współpracy obronnej. Trzeba odnotować, że obecnie na terenie Polski działa ponad 350 japońskich firm.

Sektorem, który obecnie uznaje się za wymagający innowacyjności, jest energetyka węglowa. Polskie zasoby węgla kamiennego stanowią ponad połowę zasobów stałych paliw kopalnych Europy. Polska węglem stoi, ale jego wykorzystanie staje się coraz bardziej utrudnione przede wszystkim przez ograniczenia emisji nakładane przez Unię oraz windujący koszty system handlu emisjami CO<sub>2</sub> UE. Japonia nie podlega pod system emisji, a więc nie jest obciążona dodatkowymi podatkami. Kraj ten nie podpisał układu o odejściu od energetyki węglowej. Pierwsze Polsko-Japońskie Seminarium Czystego Węgla odbyło się w 2013 r. w Katowicach, kolejne w 2016 i 2017 r. W 2019 r. przy okazji IV seminarium podpisano memorandum o współpracy w obszarze czystych technologii węglowych. W trakcie ostatniej wizyty premier Kishida zadeklarował wolę współdziałania w dziedzinie technologii wysokotemperaturowych reaktorów chłodzonych gazem oraz czystych technologii węglowych i wodorowych.

Czyste technologie węglowe służą poprawie skuteczności wydobycia, przeróbki, przetwarzania i utylizacji węgla oraz zwiększenia neutralności wpływu tych procesów na środowisko naturalne. Czyste technologie węglowe mogą być wykorzystywane do produkcji energii elektrycznej, ciepła oraz wielu produktów przetwarzania paliw, mogących mieć zastosowanie w przemyśle, np. chemicznym czy spożywczym. Japonia jest jednym z liderów opracowywania mechanizmów ograniczenia emisyjności przy spalaniu węgla, który stanowi jedną trzecią surowców energetycznych wykorzystywanych w tym kraju. Projekt Osaki Cool-Gen w Hiroszimie przewiduje użycie technologii wykorzystującej część wychwyconej emisji gazów ze spalania do dodatkowego wyprodukowania energii elektrycznej. W trakcie badań odkryto, że produktem ubocznym gazyfikacji węgla jest wodór. Wymieniony pierwiastek jest zaś przyjazny środowisku, a jego wykorzystanie może ułatwić osiągnięcie wyznaczonych przez normy unijne celów klimatycznych. Odpadowe ciepło jest wykorzystywane w Japonii do dodatkowego pozyskiwania energii, co o 30 proc. zmniejsza emisję gazów cieplarnianych.

Technologią pozwalającą nie uwalniać spalin do atmosfery jest m.in. magazynowanie dwutlenku węgla. Na wyspie Hokkaido do składowania CO<sub>2</sub> wykorzystano chodniki nieczynnej kopalni. Wlano do nich mieszaninę wody, dwutlenku węgla i substancji podobnej do błota. Okazało się, że ze składowanego dwutlenku węgla można produkować wodór. Potencjalnym źródłem czystej ener-

gii może być gaz powstający w bateriach koksowniczych, który w połowie składa się z wodoru. Technologią pozwalającą na obniżenie emisji szkodliwych substancji jest także zmieszenie wysokokalorycznego węgla na cząsteczki i zmieszanie go z wodą celem uzyskania paliwa wodno-węglowego do elektrociepłowni. Opisana mieszanka jest używana m.in. w Chinach i we Włoszech. Pilotażowy zakład produkcji wodoru z węgla brunatnego powstał w 2021 r. w Australii. Killkanaście lat temu w Wielkiej Brytanii przeprowadzono badania, z których wynika, że cena energii pozyskanej z węgla, uwzględniająca koszty obniżenia emisji szkodliwych substancji do atmosfery, może być niższa niż energii pozyskiwanej z elektrowni wiatrowych.

Polskie Konsorcjum Przedsiębiorstw Robót Górniczych i Budowy Szybów przez kilka lat pracowało nad technologią produkcji paliw płynnych z węgla. Nie udało się jednak pozyskać środków unijnych na dalsze prace i projekt zawieszono. W 2022 r. kilka polskich uczelni, instytutów i przedsiębiorstw energetycznych powołało spółkę, której zadaniem będzie prowadzenie badań i działań w obszarze czystych technologii węglowych.

REKLAMA



**BOGDANKA**

Niech świąteczny czas wprowadzi  
do Państwa życia spokój,  
harmonię i radość, a w Waszych domach  
niech zagości prawdziwie rodzinna  
atmosfera, pełna ciepła i miłości.  
Radosnego, wiosennego nastroju,  
serdecznych spotkań w gronie rodziny  
i przyjaciół oraz wesołego Alleluja!

życzy  
Zarząd Lubelskiego Węgla Bogdanka S.A.

46/023/F



# Urban przewraca się w grobie

**P**rzestawiają wajchę, szczują na ludzi – sami pozostając w cieniu. Nieznani szerzej Katarzyna Kieli i Michał Samul w TVN rozdają karty i razy. Pierwsi, żeby promować partyjne hasła typu „Trybunał Przylębskiej”, „granica Kamińskiego”, „bank Głapińskiego”, ale sami siedzą w ukryciu. Dzień w dzień wskazują, kogo należy promować i komu urządzić piekło, a cała armia reporterów, redaktorów i prezenterów ślepo wykonuje polecenia. Gen. Andrzej Błasik, kard. Adam Sapieha, Jan Paweł II, a może Lech Kaczyński? Jeśli kogoś trzeba akurat zgnoić, to w TVN nikomu nie przeszkadza, czy żyje, czy nie albo czy użyte naboje mają jakikolwiek związek z prawdą. Siedzą i pilnują politycznej linii.

Jeśli lewica zbacza z jedynie słusznego kursu i zamiast robić, jak Borys Budka i Platforma Obywatelska przykazali – popierają Fundusz Odbudowy – to zaczyna się grillowanie tych, którzy jeszcze wczoraj byli głaskani w TVN. Gdy trzeba znaleźć kolejne skrzypce do grania anty-PiS-owskiej orkiestry, to politycy Konfederacji brylują w programach publicystycznych i są cytowani z aprobatą w serwisach infor-



**Samuel Pereira**

macyjnych TVN. Wystarczy jednak, że zaczynają przyciągać część wyborców PO albo pojawia się plotka, że rozważają w przyszłości koalicję z PiS, i od razu wajcha przedstawiona – z wczorajszych liberalów stają się faszystami.

W lutym 2022 r., jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny na Ukrainie, ale gdy Amerykanie już ostrzegali przed rosyjską agresją, Michał Kołodziejczak ogłosił blokadę dróg w całej Polsce. Gdy już wojna wybuchła, to zaczął rozkręcać panikę, strasząc paliwem za 10 zł. Czy to przeszkadza TVN w promowaniu go w swoim politycznym przekazie? Skądże. Im większe zagrożenie na Wschodzie, tym silniejsze emocje w kraju władcy marionetek rozkręcają. Pokój w polskim narodzie był i już go nie ma, Jan Paweł II jednoczył i był autorytetem, ale już dzięki esbeckim kłamstwom dla części nie jest. Można powiedzieć, że zarządcy z TVN odnieśli sukces. Na Kremlu z pewnością strzelają korki od szampana, a pochowany na Powązkach Wojskowych Jerzy Urban przewraca się w grobie. Z radości.

*Autor jest szefem portalu tvp.info*

# Spokoju i pogody ducha

**Z Sławomirem Grzymkowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

*W najlepszym czasie antenowym, w niedzielę wielkanocną, TVP 1 pokaże film z panem w roli głównej.*

**Sławomir Grzymkowski:** Bardzo ucieszyła nas ta wiadomość, mnie i Michała Kondrata, reżysera filmu. Czas świąt to dobry moment na „Proroka”. Mimo że nie jest to film religijny, lecz historyczny, to jednak kontekst świąt i postać kard. Wyszyńskiego dobrze się z sobą łączą.

**Jaki przekaz niesie film o Prymasie Tysiąclecia?**

Zaakcentowałbym tu temat siły dialogu, tak bardzo potrzebnego w dzisiejszych czasach. Mimo różnic powinniśmy z sobą rozmawiać. Powtórzę tu słowa prymasa Wyszyńskiego: „Łączyć, nie dzielić”.

**Możemy też pana zobaczyć w najnowszej premierze Teatru Telewizji. Dlaczego warto obejrzeć „Sen nocy letniej”?**

Bo to przede wszystkim Shakespeare! Wspomniała, baśniowa opowieść o namietności i młodości miłości, czarach i zabawnych pomyłkach. To, co lubimy oglądać. A także Wojciech Adamczyk, którego reżyseria gwarantuje wysoki poziom artystyczny.

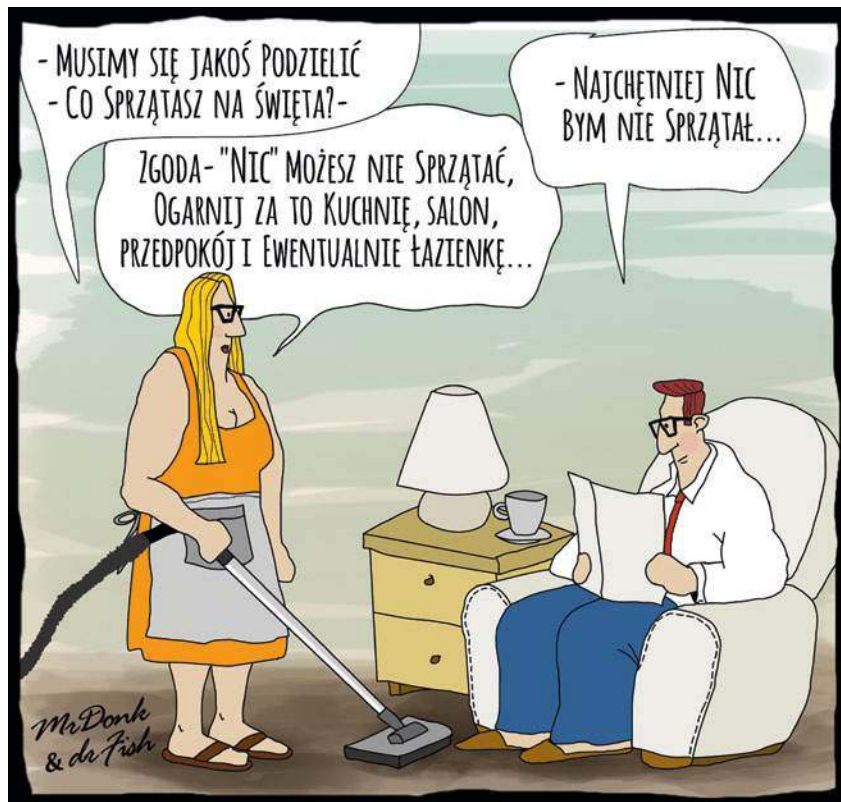
**W jakich projektach bierze pan jeszcze udział?**

Kilka dni temu otrzymałem wiadomość o bardzo ważnym dla mnie wyróżnieniu na Festiwalu Sztuki Aktorskiej „Teatropolis” w Łodzi za monodram „Prime Time” Wiesławy Sujkowskiej, w reżyserii Anny Sroki-Hryń. W kwietniu rozpoczynam próby do operetki „Kraina uśmiechu” w Teatrze Muzycznym w Warszawie. Kolejne premiery to „Rozmowy z katem” w Teatrze im. Jaracza w Łodzi i „Wszystko płynie” w Teatrze Polskim. Przede mną pracowity czas.

A z okazji nadchodzących świąt życzę wszystkim spokoju i pogody ducha.



Fot. ARPA

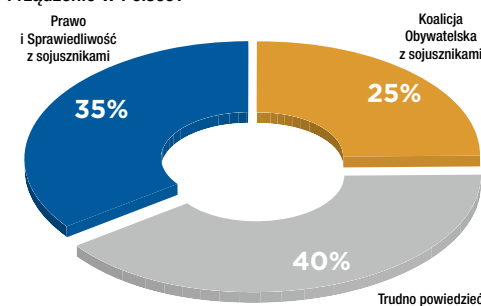


## pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

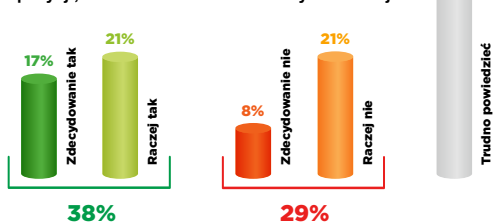
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



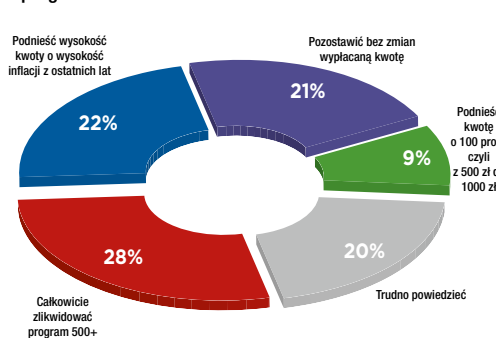
Kto według Pani/Pana ma obecnie większe szanse na wygranie najbliższych wyborów parlamentarnych i rządu w Polsce?



Jak Pani/Pan ocenia, czy niedawne ataki medialne na Jana Pawła II zaszkodziły polskiej opozycji, a zwłaszcza Platformie Obywatelskiej?



Co według Pani/Pana powinien zrobić polski rząd z programem 500+?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1047. Zakres czasowy badania 24-27 marca 2023 r.

**SIECI**

ISSN 2544-2694  
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

**AUTORY:** ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

**WYDAWCA:** FRATRIA SP. Z O.O.  
**PREZES:** ROMUALD ORZEŁ  
UL. LEGIONÓW 126-128,  
81-472 GDYNIA  
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



**DYREKTOR WYDAWNICZY:** MACIEJ WOŚKO  
**PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA:** MARIOLA BARCOWSKA,  
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:**  
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

**STUDIO GRAFICZNE:** ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),  
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,  
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA  
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN  
**FOTOEDYCJA:** ANNA LABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,  
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

**PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:**  
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32  
PRENUMERATA@FRATRIA.PL  
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE  
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:**  
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,  
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO  
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

**PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:**  
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA  
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE  
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

**REDAKTOR NACZELNY:** JACEK KARNOWSKI  
**ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:** DOROTA ŁOSIEWICZ,  
TOMASZ OZIŃCOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:  
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ  
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:  
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE  
W GODZINACH 7<sup>00</sup> – 17<sup>00</sup>.

**WYDZIAŁ PRAW:** JACEK KARNOWSKI  
**WYDZIAŁ PRASOWY:** JACEK KARNOWSKI  
**WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** JACEK KARNOWSKI  
**WYDZIAŁ GRAFICZNY:** JACEK KARNOWSKI  
**WYDZIAŁ REDAKCYJNY:** JACEK KARNOWSKI  
**WYDZIAŁ ADMINISTRACYJNY:** JACEK KARNOWSKI

**DRUK:** WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

**DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:**  
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

**BIURO REKLAMY:**  
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93  
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL  
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

**KOLPORTAŻ:** KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.  
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE  
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).  
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.  
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU  
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.  
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH  
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĄ JEST  
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



**FOT. NA OKŁADCE:** H. ARMSTRONG ROBERTS/CLASSICSTOCK/GETTY IMAGES,  
JANUSZ ROSKON/ROSKON PRESS, SHUTTERSTOCK





# Święty Obrus i ostatnia wieczerza

*Amerykańscy i hiszpańscy naukowcy uważają, że istnieje związek między relikwią z Turynu a płótnem czczonym jako Święty Obrus z wieczerzy paschalnej odprawionej w Jerozolimie przez Jezusa z Nazaretu*



**GRZEGORZ GÓRNY**

**I**nicjatorem najważniejszych badań Całunu Turyńskiego w historii był dr John Jackson, wykładowca fizyki teoretycznej w Akademii Sił Powietrznych USA w Kolorado. W 1976 r.

przyniósł czarno-białą fotografię tej relikwii do laboratorium Sandia, pracującego na potrzeby sektora zbrojeniowego. Tam włożył zdjęcie do analizatora obrazów VP-8. Było to urządzenie zamieniające gęstość obrazu na wypukłą płaskorzeźbę, która ukazywała się na zielonym monitorze podobnym do oscyloskopu. Aparaturę wykorzystywano m.in. do budowania trójwymiarowych modeli Marsa na podstawie fotografii powierzchni tej planety.

Ku swojemu zaskoczeniu Jackson i dwaj obecni z nim naukowcy, Erik

Jumper i Bill Mothorn, ujrzeli trójwymiarowy obraz ludzkiego ciała. Ich zdziwienie wynikało z faktu, że takiego efektu nie można było uzyskać w przypadku żadnego innego zdjęcia czy malowidła. Fotografia całunu zawierała więc informację przestrzenną w postaci zmiennej gęstości obrazu. Był to naukowy dowód, że istnieje zależność między układem światła i cienia na obrazie a odległością tkaniny od ciała, przy czym intensywność obrazu zależała od odległości między płótnem a powierzchnią zwłok. Tam,





gdzie tkanina dotykała ciała, wizerunek był ciemniejszy, np. na wysokości czoła, koniuszka nosa czy wierzchu dłoni, a tam, gdzie odległość była większa niż 4 cm, obraz stawał się słabo wyraźny, jak choćby w przypadku oczodołów. Badacze, widząc efekt charakterystyczny dla płaskorzeźby, nie mogli wyjść ze zdumienia, ponieważ żadna fotografia ani malunek nie posiadały takich właściwości.

**Amerykański naukowiec wysunął śmiałą hipotezę. Otóż według niego zarówno Sgrado Mantel z Corii, jak i Całun Turyński mogły być dwoma obrusami, których użyto podczas ostatniej wieczerzy**

### AMERYKANIE W TURYNIE

Dane przestrzenne zakodowane w obrazie były nieublagane: wizerunek mężczyzny na płótnie nie został wykonany ludzką ręką – nie był namalowany ani nie

powstał na skutek osmalenia czy wtarcia jakiejś substancji. Wiadomo było, że pojawił się jako efekt nieznannej interakcji między tkaniną a ciałem. Jackson, Jumper i Mothern doszli do wniosku, że skoro fotografia Całunu Turyńskiego posiada właściwości trójwymiarowe, to takie same właściwości musi mieć także sama relikwia. Postanowili przekonać się o tym osobiście. Tak narodził się pomysł powołania do życia grupy badawczej o nazwie STURP (The Shroud of Turin Research Project).

Zespół 24 amerykańskich uczonych, wśród których znajdowali się m.in. naukowcy pracujący na co dzień dla Laboratorium Kosmicznego NASA czy Laboratorium Narodowego Los Alamos (tam gdzie skonstruowano pierwszą na świecie bombę atomową), zjawił się w Turynie w październiku 1978 r. Przywieźli oni z sobą z USA aż 80 skrzyń wypełnionych różnymi urządzeniami technicznymi niezbędnymi do przeprowadzenia najdokładniejszych i najbardziej wszechstronnych badań Całunu Turyńskiego w historii. Od ówczesnego właściciela relikwii, przebywającego na wygnaniu króla Włoch Humberta II, dostali płótno do swojej dyspozycji na 96 godzin. W rzeczywistości spędzili z nią 120 godzin.

Następne trzy lata zajęła im analiza wszystkich zebranych wówczas danych. W efekcie powstały 24 prace naukowe opublikowane w renomowanych międzynarodowych czasopismach specjalistycznych z różnych dziedzin, m.in. chemii, fizyki, medycyny. Każdy z artykułów dotyczył konkretnego wycinka badań, np. spektrografii czy hematologii. Wszystkie one wzięte razem potwierdzały tezę, iż Całun Turyński jest płótnem pogrzebowym Jezusa z Nazaretu.

Mimo że amerykańscy uczeni zgromadzili największą na świecie bazę danych naukowych na temat wspomnianej relikwii, nie byli w stanie udzielić odpowiedzi na zasadnicze pytanie: w jaki sposób utrwalał się na płótnie wizerunek mężczyzny? Na pewno wiedzieli, czym on nie jest, nie mogli zaś stwierdzić, jaki mechanizm spowodował powstanie obrazu. W późniejszych latach próbowano w różnych laboratoriach stworzyć kopię Całunu Turyńskiego, która zachowywałaby takie same właściwości fizyczne i chemiczne jak oryginał, jednak





Wierna kopia Obrusu z Corii  
w miejscowym muzeum katedralnym

nikomu się to nie udało. Podstawowa trudność polegała na tym, że nie potrafiono poradzić sobie z odpowiedzią na pytanie o rodzaj reakcji stojącej za pojawieniem się wizerunku. Obraz został bowiem utrwalony w skali mikroskopijnej o grubości kilku mikronów na powierzchni pojedynczych włókien. A ludzkość nie dysponuje techniką, która byłaby w stanie uzyskać taki efekt. John Jackson mógł stwierdzić jedynie, iż wizerunek powstał na skutek wyzwolenia w ułamku sekundy olbrzymiej energii o niepotykanej mocy.

## RELIKWIA Z ESTREMADURY

Najważniejsze w historii badania turyńskiej relikwii zaczęły się więc od zdarzenia, które można nazwać przypadkowym – od wykorzystania urządzenia skonstruowanego w zupełnie innym celu. Jackson zawsze nosił z sobą fotografię Jezusa z całunu, którą podarowała mu matka, gdy miał 12 lat.

Nie wiadomo, kiedy i w jakich okolicznościach Święty Obrus (Sagrado Mantel) trafił do Hiszpanii. Najstarsze dokumenty kościelne w Corii spłonęły bowiem w drugiej połowie XIII w. Pierwsze zachowane źródła pisemne na jego temat pochodzą dopiero z XV w.

Pewnego dnia wewnętrzny impuls kazał mu po prostu włożyć zdjęcie do analizatora VP-8. Podobny wewnętrzny impuls odczuł w 2001 r., gdy rozmawiał ze znajomym arcybiskupem w USA i w pewnym momencie usłyszał od hierarchy,

iż w Hiszpanii jest przechowywana tkanina, czczona od wieków jako obrus z ostatniej wieczerzy. Wkrótce potem naukowiec wraz ze swoją żoną Rebeccą wyruszyli na Półwysep Iberyjski, gdzie udali się do miasteczka Coria w prowincji Estremadura, by w tamtejszej katedrze pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny zobaczyć niezwykle relikwię.

Nie wiadomo, kiedy i w jakich okolicznościach Święty Obrus (Sagrado Mantel) trafił w to miejsce. Najstarsze dokumenty kościelne w Corii spłonęły bowiem w drugiej połowie XIII w. Pierwsze zachowane źródła pisemne na jego temat pochodzą dopiero z XV w. Wspomina o niej m.in. bulla papieża Benedykta XIII z 1404 r., nadająca

przywileje odpustowe tamtejszemu kościołowi w związku z posiadaniem owej relikwii. Tkanina była otaczana w Hiszpanii wielkim kultem. Wystawiano ją na widok publiczny co roku 3 maja ze



specjalnego balkonu na ścianie świątyni. Kroniki podają, że w XVII w. na tego typu uroczystości przybywało ok. 20 tys. pielgrzymów, w tym wielu z sąsiedniej Portugalii. Poza dniami odpustowymi relikwia była okazywana wiernym z powodu nagłych nieszczęść, takich jak zaraza, susza, plaga szarańczy czy choroba monarchy.

Coraz częściej wierni wyrażali jednak swoje niezadowolenie, że mogą oglądać płótno jedynie z daleka spod balkonu. W XVIII w. zdecydowano więc wyeksponować płótno na ołtarzu kościoła. Skończyło się to jednak fatalnie, ponieważ pewnego razu ludzie wdarli się do prezbiterium i porwali obrus, by wy-

rwać sobie z niego  
na pamiątkę  
choćby  
nitkę.

Lniana tkanina  
w Corii przez  
wieki przyciągała  
tłumy pielgrzymów

Relikwie udało się uratować, jednak została ona w kilku miejscach rozdarta. By ochronić tkaninę przed zniszczeniem, w 1791 r. bp Juan Alvarez de Castro y Muñoz postanowił nie wystawiać jej więcej na widok publiczny. W XIX w. cenny przedmiot zaczął popadać w zapomnienie, aż przestano o nim pamiętać.

## GŁOS ZABIERAJĄ NAUKOWCY

Johna Jacksona zastanowił szczególnie fakt, że tkanina z Corii była jedyną relikwią na całym świecie czczoną jako obrus z ostatniej wieczerzy. Poza nią demonstrowano jedynie w kilku kościołach, m.in. w Wiedniu czy w Madrycie, małe fragmenty płótna, które miały być oderwane od większej całości.

W Estremadurze amerykański fizyk dowiedział się o badaniach, które w 1960 r. przeprowadzili w Muzeum Nauk Ścisłych w Madrycie profesorowie Francisco Hernández Pacheco i Alfredo Carrato Ibañez. Stwierdzili

oni, że tkanina została wykonana z lnu. Nie znaleźli na niej żadnych jedwabnych nitek. Jest to istotne, ponieważ wiele fałszywych relikwii było sporządzanych z jedwabiu, co wykluczało ich pochodzenie z pierwszych wieków po Chrystusie, gdyż był to materiał, który trafił do Europy z Chin dopiero w średniowieczu.

Płótno było koloru białego, jednak pożółkło z upływem czasu. Gdzieś tam miało ubytki i przedarcia. Widoczne były na nim zostawione przez pątniczki ślady pocałunków ze szminką czy plamy od wina, co świadczyło o tym, że tkanina musiała być wykorzystywana jako obrus ołtarzowy. Dwa krótsze brzoje płótna były ozdobione motywem dekoracyjnym składającym się z ciemnobłękitnych pasków zabarwionych indygiem. Był to barwnik powszechnie używany w starożytności, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, który do Europy trafił dopiero w XVI w., a więc 100 lat po pierwszych wzmiankach o relikwii w Corii.

Hiszpańscy naukowcy zrezygnowali z ustalenia daty powstania obrusu za pomocą metody węgla radioaktywnego C-14. Jak stwierdził prof. Francisco Hernández Pacheco, badanie takie siłą rzeczy musiałoby przynieść wynik negatywny, ponieważ poprawny rezultat można osiągnąć tylko wówczas, gdy użyte próbki są idealnie reprezentatywne dla materiału, którego wiek ma być określany.

Święty Obrus  
czczony jako tkanina  
z Wieczerz  
przechowywany jest  
w srebrnej szkatule  
ufundowanej w 1678 r.





Chodzi o to, że węgiel C-14 zawarty w danej próbce musi pochodzić z tego samego okresu co tkanina. Jeśli jednak na przestrzeni wieków do tkaniny przedostał się starszy lub młodszy węgiel C-14, wówczas pomiary muszą być błędne. W przypadku tkanin metoda ta jest szczególnie zawodna, gdyż łatwo wchłaniają one ciecze zawierające substancje, w których znajduje się węgiel, np. węglany wapnia czy materiały organiczne. Obecność tych cząstek, które głęboko wnikają w materiał, wpływa później na zmianę wyników badań. Tymczasem wiadomo, że Sagrado Mantel był przez stulecia wystawiany na działanie czynników zewnętrznych, dotykany przez tysiące pielgrzymów, a nawet całowany, o czym świadczyły odciski na nim ślady szminki.

Relikwia z Corii została również przebadana przez najbardziej znanego eksperta w dziedzinie archeologii tkanin na Półwyspie Iberyjskim, prof. Manuela Gómeza-Moreno, prezesa Instytutu Sztuki i Archeologii im. Diego Velázqueza. Stwierdził on, że struktura i technika wykonania płótna są niespotykane na Zachodzie i wskazują na pochodzenie bliskowschodnie – z Arabii lub Palestyny.

W późniejszym okresie dr Pilar Benito García, która pracowała m.in. jako konserwator tekstyliów dla Pałacu Królewskiego w Madrycie, stwierdziła, że ten rodzaj dekoracyjnej tkaniny był wzorem, na którym oparły się tzw. tkaniny perugiańskie, czyli używane w średniowieczu w okolicach Perugii we Włoszech kościelne obrusy ołtarzowe, serwetki czy ręczniki do zakrystii. Co ciekawe, takie właśnie wyobrażenie obrusa z podobnym motywem dekoracyjnym można zobaczyć na słynnym fresku Leonarda da Vinci „Ostatnia wieczerza”, a także na malowidłach takich mistrzów, jak Giotto, Fra Angelico, Simone Martini czy Ghirlandaio, którzy również przedstawiali to wydarzenie.

Oscar García Ballester, historyk sztuki, kustosz relikwii i dyrektor Muzeum Świętego Obrusu w Corii, podsumowując stan wiedzy na temat lnianej tkaniny,

stwierdził, że może ona pochodzić ze stołu Pańskiego w Jerozolimie. Możliwości takiej nie wykluczyły żadne badania naukowe. Przemawiają za tym również miejsce i czas wykonania obrusu: Bliski Wschód w okresie starożytnym. Zastanawiający jest również brak jakiegokolwiek konkurencyjnej relikwii tego rodzaju. W związku z tym – jak podkreśla Oscar García Ballester – można mówić o dużym prawdopodobieństwie, ale nie o pewności, że Święty Obrus jest autentyczną relikwią z ostatniej wieczerzy.

## CAŁUN, OBRUS, WIECZERZA

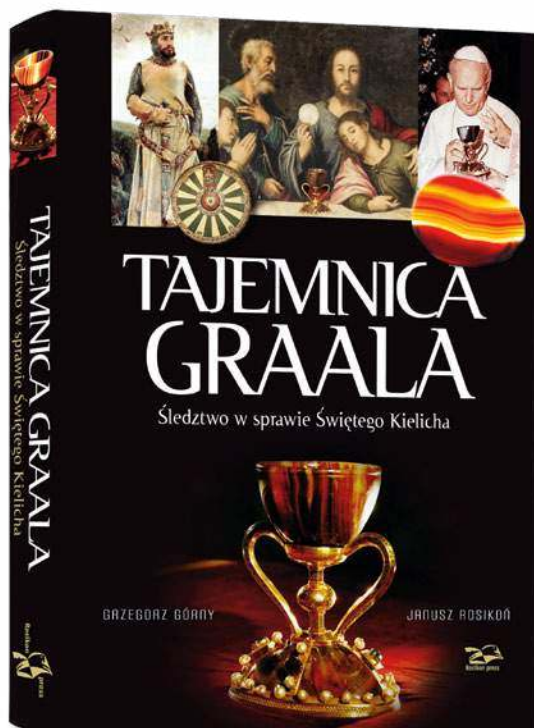
John Jackson, gdy analizował wyniki badań, zwrócił uwagę na szczególnie jeden fakt. Otóż Sagrado Mantel z Corii miał wymiary 442 cm na 92 cm, podczas gdy Całun Turyński – 437 cm na 113 cm. Poza podobnymi rozmiarami obie lniane tkaniny łączyło jeszcze jedno – był to tworzący literę Z splot włókien, charakterystyczny dla starożytnych tkanin z Bliskiego Wschodu. Płótno pogrzebowe o takim splocie przedży odnaleziono m.in. w żydowskich grobowcach na Masadzie, pochodzących z I w. n.e.

W listopadzie 2006 r. i w kwietniu 2007 r. Jackson przeprowadził w Corii za pomocą różnych urządzeń wiele badań Świętego Obrusu. Wszystkie one potwierdzały wcześniejsze ustalenia

naukowców, choć za pomocą doskonałych narzędzi badawczych, np. fotografii mikroskopowej czy promieniowania ultrafioletowego i podczerwonego. W związku z tym amerykański naukowiec wysunął śmiałą hipotezę. Otóż według niego zarówno Sagrado Mantel z Corii, jak i Całun Turyński mogły być dwoma obrusami, których użyto podczas ostatniej wieczerzy. Amerykański naukowiec zauważał, iż w trakcie żydowskiej Paschy, którą Jezus obchodził ze swoimi uczniami, używano w sposób rytualny zazwyczaj dwóch obrusów. Pierwszy z nich, bardziej dekoracyjny, był umieszczany na stole, na którym kładziono jedzenie, a drugim, znacznie prostszym, przykrywano potrawy, by chronić je przed piaskiem czy zanieczyszczeniem przez owady.

Hiszpański sydonolog Ignacio Dols Juste uważa, że „intuicja Jacksona może mieć sens ze względu na pośpiech, z jakim pochowano Chrystusa. Zmarł około trzeciej po południu w piątek i miał być pochowany około szóstej tego samego dnia, kiedy to rozpoczynał się szabat (żydowskie święto, podczas którego nie można było wykonywać żadnych prac fizycznych). W ciągu zaledwie trzech godzin Józef z Arymatei musiał więc odebrać ciało od Piłata, uzyskać pozwolenie na pochowanie go, przenieść je do grobowca, przygotować do pochówku, owinąć całunem i zapieczętować grób. Rozsądek podpowiada, że użył wszystkich elementów, które miał pod ręką, a taki obrus nadawał się idealnie do owinięcia ciała”.

Oczywiście nie jest to naukowy pewnik, lecz zdaniem wspomnianych naukowców dość prawdopodobna hipoteza. Jej przyjęcie nadaje nowy symboliczny sens wydarzeniom związanym z męką i ze zmartwychwstaniem Jezusa. Obrus, którym były nakryte paschalne potrawy, w tym wino i chleb, stałyby się później płótnem pogrzebowym okrywającym ciało Chrystusa i wchłaniającym Jego krew. W ten sposób Całun Turyński byłby jedynym przedmiotem ściśle związanym zarówno z ostatnią wieczerzą, jak i z Męką Pańską, a więc znajdowałby się w samym centrum misterium Eucharystii.





## Radosnych Świąt Wielkiej Nocy!

Z okazji nadchodzących Świąt życzymy Państwu dużo radości, wytchnienia od zgiełku i trosk codzienności oraz spokojnego świętowania w gronie najbliższych.

Niech ten wyjątkowy czas odradzania się życia da nam dużo dobrej energii do tego, by z nadzieją spojrzeć w przyszłość. Życzymy zdrowia, spokoju i bezpieczeństwa na co dzień. My zaś dołożymy wszelkich starań, by mogli Państwo bez stresu pokonywać najdalsze nawet odległości i bezpiecznie wracać do domu.

Wesołego Alleluja życzy







# Błąd Tuska polega na tym, że jest Tuskiem

Niechęć do wspólnej listy opozycji ma i inne tło. We wszystkich partiach opozycyjnych są ludzie, którzy nie wykluczają współpracy z nami w przyszłym Sejmie. Może najmniej jest ich w Platformie Obywatelskiej, ale też są

**Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z *Ryszardem Terleckim*, wicemarszałkiem Sejmu, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości**

***Dlaczego Donald Tusk tak często i tak grubo, nawet ordynarnie, kłamie? Co ważne, nie chodzi o jakieś naciąganie rzeczywistości, nadinterpretacje, ale o oczywiste fakty. Twierdzi, że nie mówił, że muru nie będzie, a mówił. Z czego to wynika?***

**Ryszard Terlecki:** Na pewno z desperacji. On i jego ekipa mają poczucie zbliżającej się klęski. To pierwszy powód. Drugi jest chyba banalny: on codziennie musi powiedzieć coś takiego, co zostanie uznane za interesujące, ciekawe, nośne. I w końcu doszedł do momentu, w którym rano już nie bardzo pamięta, co mówił wieczorem, a co dopiero miesiąc, sześć miesięcy, rok temu.

***Nie panuje nad tym?***

Taksądzę, przynajmniej chwilami. Chłapie, co mu ślina na język przyniesie, żeby tych, których zwieziono na te spotkania, którzy siedzą wokół niego, czymś zainteresować. Pobudzić do jakiejś reakcji, do oklasków.

***Te sztuczki jednak nie pomagają. Donald Tusk wciąż nie przebił swojego szklanego sufitu. Jego partia ma takie samo poparcie, jakie miała w chwili jego powrotu. Nie zaskoczyło pana, że Polacy tak dobrze pamiętają, czym były jego rządy?***

Staramy się przypominać, jak to wyglądało i jak wówczas się żyło. Na pewno ta

pamięć jest żywa wśród ludzi, którzy choć trochę interesują się polityką. Ale czy większość rzeczywiście pamięta? Chyba nie. I to jest pewien problem.

***Czy zgodzi się pan z opinią, że Donald Tusk wyraźnie próbuje powtórzyć lata 2005–2007? To samo kreowanie paniki moralnej, ta sama totalność w ocenie wszystkich działań rządu, także szukanie emocjonalnych punktów zwrotnych, wreszcie mieszanie słów o miłości z niebывалą agresją i epitetami.***

To umie dobrze robić. Nakręcanie agresji wychodzi mu naprawdę dobrze, on to lubi, dobrze się w tym czuje. Nie zna-

czy to oczywiście, że osiąga swoje cele polityczne.

### **No właśnie, idzie mu dobrze czy źle?**

Idzie mu źle. Popelnia błędy. Pierwszy błąd polega na tym, że Tusk jest Tuskiem. Ostatni rok jasno pokazał, że Tusk służy naszej sprawie, pomaga bardziej nam niż opozycji, rzecz jasna nieintencjonalnie. Jednocześnie upiera się, by trwać, nie chce zgodzić się na scenariusz podmianki – manewr, który PO już kiedyś przeprowadziła w wyborach prezydenckich, wycofując Kidawę-Błońską i wprowadzając Trzaskowskiego. I brnie w tę agresję, bo też nic innego już mu nie zostało. Nie ma paliwa merytorycznego, więc zostaje mu tylko awantura.

**Przyzwyczailiśmy się wszyscy, że PO nie ma programu, ale to jednak szokuje. Tak duża partia nie zdołała przygotować żadnej spójnej wizji. Nie położyła na stole niczego poważniejszego niż punkty napisane na kolanach tuż przed kolejnymi konwencjami. Dlaczego?**

Bo skupiali się na czym innym. Ich programem było hasło „ulica i zagranica”. Chcieli obejść wynik wyborów przez jakieś wielkie zamieszanie, milionowe marsze, zewnętrzne presje.

### **Ciągle mieli nadzieję, że coś ich zwolni z obowiązku walki merytorycznej?**

Tak, ale to się jednak nie bardzo udało, jak widzimy. Tam właściwie nikt nie ma pomysłów na przyszłość, ale już najbardziej zadziwia fakt, że wszyscy razem nie mają żadnego pomysłu. Ten czas, który mieli od chwili powrotu Tuska, zmarnowali w dużej mierze na spory wewnętrzne. Nie rozmawiali o koalicji, wspólnej liście, programie. Teraz, gdy przed nami ostatnia prosta, bardzo trudno coś zbudować.

### **Donald Tusk próbuje przelicytować Prawo i Sprawiedliwość w sferze społecznej. Czy to mu się uda? To dla was groźne?**

Trudno powiedzieć. To się okaże w dniu wyborów. Będzie jasne, czy takie obietnice się przebiły, czy zostały uznane za wiarygodne. Ale znów – to pokazuje

i brak pomysłu, i brak strategii. Najpierw mówili, że są to plany niemożliwe do zrealizowania, potem, że niepotrzebne, a teraz sami chcą na tym zbudować kampanię.

### **Wspólna lista opozycji to już na pewno martwy pomysł?**

Tego nie jestem pewien. Jeśli spadną notowania Polski 2050, jeśli PSL zacznie gubić punkty, których przecież ma niewiele, to Hołownia i Kosiniak-Kamysz nie będą mieli wyjścia i skapitulują.

Ostatni rok jasno pokazał, że Tusk służy naszej sprawie, pomaga bardziej nam niż opozycji, rzecz jasna nieintencjonalnie

### **Hołownia słabnie?**

Ruszył za wcześniej o dwa lata i teraz płaci za to cenę. Gdyby powołał swoją partię jesienią, dziś byłby w lepszej sytuacji. Nie przedstawił też programu, sądząc, że to niepotrzebne i szkodliwe, że wystarczy być. Po powrocie Tuska myśli już jedynie, jak przetrwać, przeżyć, wprowadzić paru posłów. Nie ma żadnych znanych nazwisk. To kolejny Petru, bez przyszłości.

### **Dlaczego dziś nie chcą iść z Tuskiem?**

Boją się, że ich polknie, zdominuje, przejmie aparat i zmiażdży, zżuje. Oni to wiedzą, a przecież chcą być liderami, a nie podwładnymi Tuska.

### **Zjednoczona opozycja byłaby dla PiS groźnym przeciwnikiem? Groźniejszym niż 3–4 komitety idące osobno, na co się zanosi? Według mediów opozycji PiS drży na myśl o wspólnej liście.**

Moim zdaniem to bez znaczenia, czy się dogadają, czy też nie. PiS się tego nie boi. Uważamy nawet, że byłoby nam łatwiej. Z pewnością znaczna część elektoratów, które dziś są jakoś przywiązane do tych szyldów, rozczarowałaby się i albo

nie poszła, albo wrzuciła puste kartki. Co zrobi wyborca Lewicy, gdy dowie się, że ma wspierać Hołownię? Co zrobią rolnicy, gdy każe im się głosować na PO?

### **Już są badania, z których wynika, że wyborcy PSL szczególnie źle odbierają Hołownię. Na papierze to wszystko wygląda ładnie, ale gdy projektowany był ożyje, zobaczymy wszystkie jego wady?**

Tak będzie. Ale niechęć do wspólnej listy ma i inne tło. We wszystkich partiach opozycyjnych są ludzie, którzy nie wykluczają współpracy z nami w przyszłym Sejmie. Może najmniej jest ich w PO, ale też są.

### **Kim są ci ludzie? Czym się kierują?**

Nie mogę powiedzieć, co to za ludzie. Ale motywacje są jasne: widzą jałowość opozycji, słyszą też od swoich wyborców, że PiS ma w wielu sprawach rację, że nasza polityka służy ludziom. To częsta postawa w elektoracie Lewicy i PSL. Dziś jednak ci posłowie nie mogą liczyć na dobre miejsca na naszych listach, bo tam zawsze jest gęsto, to chcą wejść do Sejmu i później podjąć z nami współpracę.

### **To grupa, która może przeważać szalę?**

Na pewno jest co najmniej paręnaście osób, która tak deklaruje, a pewnie takich posłów jest więcej.

### **Rzeczywiście, według jednej z nieoficjalnych hipotez, jeśli PiS zdobędzie 210–215 mandatów, to bez problemu uzbiera brakujące do większości głosy. Tak będzie?**

Też tak mi się wydaje.

### **W Senacie jednak nie udało się dobrać nawet dwóch głosów.**

To jednak inna sytuacja. Liderzy opozycji włączyli z Senatem wielkie nadzieje, sądząc, że to będzie wielce użyteczne narzędzie do walki politycznej z naszym obozem. To miał być taran. Okazało się, że to pomyłka, że to mizerne narzędzie. Co ciekawe, ważni politycy opozycji w tych wyborach już nie będą kandydowali do izby wyższej, wracają do Sejmu. Bo Sejm jest najważniejszy.



## **Mówiliśmy o kłopotach Tuska. Czy dotrwa do wyborów?**

Pogłoski o możliwości zastąpienia Tuska innym liderem, dziś pewnie Trzaskowski, słyhać od chwili jego powrotu, teraz jednak są one szczególnie intensywne. Mówią o tym również posłowie PO. Wielu już rozumie, że jałowość i agresja nie doprowadzą tej partii do władzy. Nie tym razem.

## **Rafał Trzaskowski byłby groźniejszy?**

On też ma swoje „osiągnięcia”. Jest kojarzony z planem radykalnego ograniczenia konsumpcji, wymuszonej rezygnacji z samochodów i z jedzenia mięsa. Ma też kłopoty w swoim magistracie. Aresztowano jego bliskiego współpracownika, a zarzuty mają charakter korupcyjny. To nie poprawia jego szans, w przypadku gdyby znalazł się w centrum ostrej kampanii wyborczej.

## **Ile jest prawdy w twierdzeniach, że obecny prezydent Warszawy mógłby być kandydatem bardziej akceptowalnym dla Amerykanów niż związany z Niemcami Tusk?**

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Na pewno Tusk jest podpięty pod Niemcy. Nie jest jasne, czego chcieliby Amerykanie. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że woleliby rząd bardziej lewicowy światopoglądowo, ale z drugiej wiedzą, że nie byłoby wówczas ani takich zbrojeń, ani też takiego poziomu wsparcia dla Ukrainy.

## **To, co dzieje się na opozycji, może mieć nieoczekiwane skutki. „Gazeta Wyborcza” tak bardzo chciała przestraszyć liderów opozycji, że nakręciła fałę poparcia dla Konfederacji. Powstało wrażenie, że partia Bosaka, Winnickiego i Brauna jest trzecią siłą polityczną. Ale co ciekawe, raczej kosztem opozycji, PO i Hołowni, niż PiS. Pana zdaniem to prawda?**

Tak, choć Konfederacja i nam trochę podkrada. Solidarna Polska mówi, że to ona tamuje odpływ naszych wyborców w tę stronę, ale to nie działa. Choć to prawda, że od kiedy PO zaczęła udawać, że jest partią prosocjalną, traci wybor-

ców wolnorynkowych. Konfederacja atakuje dziś i rząd, i opozycję i na tym korzysta.

## **Czym jest dziś Konfederacja? Z kim zawiąże koalicję, jeśli będzie języczkiem u wagi?**

Trudno powiedzieć. Odszedł od nich Artur Dziambor i jego środowisko, są i inne pęknięcia. Konfederacja to dziś przede wszystkim sztyld. A z kim się dogada? Szybciej z PO niż z nami.

Myślmy o jakimś mocnym prospołecznym i prorodzinnym elemencie naszego programu, który ogłosimy na początku lata. Pytanie, czy dalej rozwijać 500+, czy też pójść w zupełnie nowym kierunku. Ale decyzji jeszcze nie ma

## **Długofalowo to będzie dla niej równoznaczne z samobójstwem.**

Ale to będzie mile samobójstwo.

## **Słysząc, że w nowym Sejmie PiS szybciej porozumie się z PSL niż z Konfederacją. To prawda?**

Na razie wygramy wybory. Wierzę, że będziemy mieli samodzielną większość.

## **Na tyle dużą, by nie trzeba było tolerować ludzi, którzy w normalnych warunkach dawno by wylecieli z obozu?**

Najlepiej taką. To ważny argument tych, którzy uważają, że nie ma sensu brać wszystkich na listy, bo później są z tego poważne kłopoty, a zyski w kampanii i tak niewielkie.

## **Ma pan na myśli również Solidarną Polskę?**

Moim zdaniem, gdybyśmy poszli do wyborów bez tej partii, przybyłoby nam głosów. Z pokorą przyjmuję jednak decyzję większości kierownictwa, które uważa, że jednak trzeba iść razem. Na

pewno takie decyzje trzeba podejmować odpowiednio wcześniej. Jeśli robi się to na ostatnią chwilę, to pojawia się chaos, ludzie nie wiedzą, gdzie kto jest, i to szkodzi.

## **Czy pana zdaniem PiS powinien zaproponować waloryzację 500+? Z jednej strony z badania pracowni Social Changes, zrealizowanego dla portalu wPolityce.pl, wynika, że poparcie dla tego ruchu jest dość niskie. Z drugiej**

**– wielu rodzinom żyje się naprawdę ciężko, koszty wojny oraz związanych z nią inflacji i drożyzny są wysokie.**

Myślmy o jakimś mocnym prospołecznym i prorodzinnym elemencie naszego programu, który ogłosimy na początku lata. Pytanie, czy dalej rozwijać 500+, czy też pójść w zupełnie nowym kierunku. Ale decyzji jeszcze nie ma.

## **Nowy etap kampanii otworzył atak mediów opozycji wymierzony w św. Jana Pawła II. W wymiarze narodowym, społecznym to zdarzenie bardzo smutne i groźne, ale nawet po stronie opozycji pojawiają się głosy, że to – świadomy bądź nie – prezent dla PiS, „złoty deszcz”. Jak pan ocenia wpływ tej sprawy na scenę polityczną?**

My tego języka nie możemy przyjąć. Atak na św. Jana Pawła II, niezależnie od skutków politycznych, to zdarzenie wyjątkowo okropne. To jest część szerszej strategii, wpisująca się w postulaty usuwania religii ze szkół, ograniczenia udziału Kościoła w życiu publicznym, te wszystkie pomysły „opiólowania” praw katolików – to jednak stanowi pewną całość. Uderzenie w papieża Polaka miało być dociśnięciem, przewróceniem najważniejszej figury.

## **Ale to jednak nie wyszło. Dlaczego?**

Część wiernych dała się przekonać, że Kościół wymaga jednak jakiejś naprawy czy wzmocnienia, ale jednak reżyserzy tej nagonki przestrzelili. Nie docenili przywiązania milionów Polaków do tradycji, także do wiary rozumianej jako część tożsamości, a nie tylko droga do zbawienia.

**Jak pan jako historyk patrzy na stawiane dziś papieżowi zarzuty? Wydają się ahistoryczne. Kościół za komuny walczył o przetrwanie i miał na głowie inne problemy niż te, którymi dziś żyją „Gazeta Wyborcza” czy TVN.**

Merytorycznie te zarzuty zostały już obalone przez fachowców. Nie ma do czego wracać. Oskarżyciele popadają też w wyrażną sprzeczność. Środowiska te twierdziły przez lata, że dokumenty UB czy SB są nic niewarte, a dziś próbują nadać im ogromną rangę.

**Zapewne celem jest młode pokolenie.**

Przed wszystkim. Oni sądzą, że młodzież łatwo zbuntować, oszukać, zmanipulować.

**Czy te wybory będą także decyzją w sprawie św. Jana Pawła II? Nie można wykluczyć, że będziemy głosowali 15 października, czyli tuż przed Dniem Papieskim, upamiętniającym wybór Karola Wojtyły na Tron Piotrowy.**

Te wybory będą dotyczyły tej sprawy, czy tego chcemy, czy też nie. A co do daty głosowania. Są cztery możliwe terminy, z czego dwa wypadają w pobliżu Wszystkich Świętych, czyli właściwie odpadają. Wybór moim zdaniem zawęży się więc do dwóch możliwości: 8 lub 15 października. Ale zdecyduje o tym prezydent, to jego kompetencja.

**Paweł Kowal zarzucił PiS, że chce wciągnąć św. Jana Pawła II na swoje listy.**

To bzdura. My po prostu jesteśmy tą częścią narodu, która jest przywiązana do tradycji i dla której autorytet św. Jana Pawła II ma wielkie znaczenie, zarówno wspólnotowe, jak i osobiste.

**Czy relacje polsko-ukraińskie są dla PiS problemem? Czy widzi pan jakąś falę zmęczenia, irytacji w związku ze skalą pomocy dla naszego sąsiada?**

Na razie nie. Jeżdżę w różne miejsca, spotykam się z różnymi grupami społecznymi i tego nie słychać. Jest raczej duma z tego, co zrobiła Polska, i mocne wsparcie zarówno dla pomocy militarnej dla Ukrainy, jak i dla naszego programu zbrojeń.

**Wspominał pan o prezydencie Andrzej Dudzie. Jak dziś wyglądają relacje PiS z głową państwa? Nie brakowało decyzji, które nie były po myśli partii rządzącej. Wystarczy wskazać na decyzję o odesłaniu ustawy o Sądzie Najwyższym do Trybunału Konstytucyjnego czy weto wobec ustawy ministra Czarnka.**

Są takie chwile, które wiążą się z naszej strony z pewnym rozczarowaniem, ale też doceniamy chęć pana prezydenta do wzniesienia się ponad podziały polityczne.

Moim zdaniem szansę na zwycięstwo w wyborach prezydenckich miałby tylko premier Mateusz Morawiecki. Ale lista jest dłuższa i będzie w czym wybierać

**A kto będzie kandydatem PiS w kolejnych wyborach prezydenckich? Wśród potencjalnych kandydatów na kandydatów są politycy z samej czołówki PiS: marszałek Elżbieta Witek, była premier Beata Szydło, wicepremier Mariusz Błaszczak i także premier Mateusz Morawiecki.**

Pomysły są różne i rzeczywiście wymienienia się różne nazwiska. Moim zdaniem szansę na zwycięstwo miałby tylko premier Mateusz Morawiecki. Ale lista jest dłuższa i będzie w czym wybierać. Ale to jeszcze dwa lata, na razie to luźne przymiarki. Nie można też wykluczyć, że będzie jakaś niespodzianka tak jak w 2015 r.

**A pieniądze z Unii Europejskiej będą?** Premier wciąż jest optymistą. Ja należę raczej do pesymistów, ale też sądzę, że poradzimy sobie bez tych pieniędzy.

**To rzeczywiście jest coś, co chyba zaskoczyło Brukselę i Berlin: wpływ tej sztucznej blokady na scenę polityczną jest właściwie żaden.**

Tak, nie ma żadnej katastrofy, pieniądze są, gospodarka jest w dobrym stanie. Zima nie przyniosła klęski, wszyscy widzą, że sobie radzimy. Jesienna histeria opozycji okazała się chybiona. Także dlatego Polacy patrzą dziś spokojniej na różne pogrożki i czarne prognozy.

**Jeśli wstrzymanie KPO nie zabiło rządu, to może wstrzymają główne fundusze?**

Ale te fundusze już płyną. Nawet jeśli przyhamują część, to przecież już jesienią wygramy wybory, Europa będzie musiała się stuknąć w czoło i w końcu zaakceptować, że tak nie można działać.

**Blokada KPO to wsparcie dla Tuska?**

Tak, a także próba wymuszenia na nas rewolucji – obyczajowej, ekologicznej, społecznej. To już zaczyna być szaleństwo. Słyszymy, że mamy nie jeść mięsa i zrezygnować z samochodów.

**A końca naszej męki nie widać, oni wciąż się rozpędzają. Może – tak jak zaproponował Bronisław Wildstein – trzeba pójść do wyborów z otwartą przyłbicą i powiedzieć Polakom, że chcą nam zabrać suwerenność, że to przemoc, że nie można już się cofać?**

Może najbliższe wybory do europarlamentu zmienią nieco kształt Unii. A co do otwartego postawienia sprawy to na razie nie ma jeszcze takiej potrzeby. W wielu sprawach nie zapadły jeszcze ostateczne decyzje, np. decyzja w sprawie rezygnacji z samochodów spalinywych jest warunkowa, będzie jeszcze analizowana.

**Ale jednak powoli obsuwamy się w stronę europejskiego superpaństwa, którego powstanie będzie oznaczało koniec niepodległej Polski. Presje są ogromne, stawiamy opór, ale oni żądają coraz więcej. Może trzeba wydać walną bitwę, do czego namawia Solidarna Polska?**

I my, i oni jesteśmy przywiązani do suwerenności, więc jej nie oddamy. Gdy dojdziemy do jakiejś ściany naprawdę nie do przejścia, to bitwę oczywiście wydamy. I ją wygramy.





# Operacja Konfederacja

*To Donald Tusk i „Gazeta Wyborcza” wypromowali Konfederację. A zaraz potem wpadli w histerię, bo zrozumieli, że strzelili sobie w stopę*



**S**ondaż obywatelski „Gazety Wyborczej” i Platformy Obywatelskiej (Donalda Tuska) miał być szantażem wobec pozostałych partii opozycyjnych i pokazać, że tylko wspólna lista może zapewnić im zwycięstwo. Ale też formą postraszania wyborców, że jeżeli nie dojdzie do zjednoczenia opozycji, to zwycięzcą wyborów będzie koalicja Prawa i Sprawiedliwości oraz Konfederacji. Tę drugą partię starano się za wszelką cenę powiązać z PiS i przerazić wyborców, bo to miało oznaczać sukces ekstremistów czy wręcz faszystów.

Ale początkowo wcale tak Konfederacji nie przedstawiano, a wręcz próbowano z nią flirtować. Żeby osiągnąć główny cel, w „sondażu obywatelskim” (szybko nazwanym „szantażem obywatelskim”) podpompowano wynik Konfederacji (13,4 proc. poparcia). W wariancie A badania (osobne listy KO, Lewicy, Polski 2050 i PSL) PiS (180) i Konfederacja (55) zdobywałyby łącznie 235 mandatów. W wariancie B (dwa bloki opozycji: KO i Lewica oraz Polska 2050 i PSL) miałyby 252 miejsca w Sejmie. W wariancie C (dwie listy opozycji: blok KO, Polska 2050 i PSL oraz idąca osobno Lewica) – 245 mandatów. Tylko w wariancie D (wspólna lista KO, Lewicy, Polski 2050 i PSL) opozycja miałaby 245 mandatów, a PiS i Konfederacja tylko 215.

Operacja „GW” i Tuska miała sprawić, żeby Konfederacja poczuła się na tyle silna, by stawiać warunki, co miało ją skłócić wewnętrznie także w kwestii tego, z kim mogłaby się sprzymierzyć. Nie zakładano, że faktycznie dojdzie do stworzenia koalicji PiS-Konfederacja, ale podpompowana Konfederacja miała realnie rosnąć i odbierać głosy PiS. Tak, żeby nawet teoretycznie PiS i Konfederacja nie miały szans na większość w Sejmie, skoro Konfederacja podgryzałaby partię Jarosława Kaczyńskiego.

Kreując atrakcyjność Konfederacji, nie przewidziano, iż taki zabieg w połączeniu ze zmianą lidera na Sławomira



STANISŁAW JANECKI

Mentzena oraz schowaniem Janusza Korwin-Mikkego i Grzegorza Brauna, spowoduje, że stanie się ona atrakcyjna przede wszystkim dla liberalnych i libertariańskich zwolenników PO oraz Polski 2050. Cały ten misterny plan poszedł więc tam, gdzie spoczął również misterny plan związany z José Arcadio Moralem w filmie Juliusza Machulskiego „Kiler-ów 2-óch”.

## KONFEDERACJA OBYWATELSKA?

26 marca 2020 r. na sali sejmowej poseł PO Sławomir Nitras mówił: „Kiedy będziemy rządili z Konfederacją, to my będziemy rządili, a Konfederacja zajmie się wami”. „Wy” to była Lewica głosząca niezgodnie z oczekiwaniami PO. Gdy słowa Nitrasa ujawniła posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska, polityk PO oskarżył ją o „obrzydlive kłamstwo”. Tyle że słowa Nitrasa zostały nagrane przez sejmowe urządzenia rejestrujące obrady i każdy mógł się przekonać, że to Nitras kłamie. Lider Lewicy Razem, Adrian Zandberg, stwierdził: „I po co kłamać, Sławomir Nitras? Skoro pasuje wam rząd ze skrajną prawicą – a to przecież nie pierwszy raz, jak to pada – to powiedzcie to otwarcie wyborcom. Ciekawe, jak im się spodoba projekt Konfederacja Obywatelska”.

Wtedy nie wolno było mówić o ewentualnej koalicji PO z Konfederacją, choć w wewnętrznym kręgu można było to całkiem serio rozważać. Z tamtych doświadczeń wziął się zapewne pomysł napompowania Konfederacji przy okazji szantażowania opozycji „sondażem obywatelskim”. Miało to służyć osłabieniu PiS.

Operacja Konfederacja zamiast sukcesem okazała się samobójczym strzałem w opozycję, a przede wszystkim w Koalicję Obywatelską i Polskę 2050, bo to ich kosztem Konfederacja zaczęła rosnąć. Lansowanie tej formacji zaczęło przynosić

owoce w momencie potraktowania jej jako alternatywy przez część zwolenników PO i Polski 2050. Wystąpienia Donalda Tuska, a głównie jego licytacja na programy socjalne, zaalarmowały liberalistów w jego partii oraz w całej opozycji, bo uznano, że przewodniczący PO chce być inną (w zamyśle lepszą) wersją Jarosława Kaczyńskiego, gdy chodzi o kwestie socjalne. Młodych, nie tylko o liberalnych poglądach, wystraszyło to, że wszystko, co Tusk proponuje, będzie się działo ich kosztem, będzie kradzieżą ich przyszłości. Nie dziwi więc, że w grupie wyborców w wieku 18–39 lat na Konfederację miałoby głosować aż 27 proc. badanych.

„GW” i Tusk wpadli w pułapkę, bowiem po zauważeniu, że Konfederacja zyskuje, uznali, iż wygodnie byłoby mieć ją w odwodzie jako sojusznika, mimo że nie brali tego pod uwagę przy realizacji pierwotnego planu. Teraz Tusk i gazeta Michnika obawiają się, że wskutek uruchomionych przez nich procesów Konfederacja tak się wzmocni, że nawet w wariantcie jednej listy opozycja nie byłaby w stanie zdobyć większości.

## HISTERYCZNA REAKCJA

Po kilku dniach od opublikowania „sondażu obywatelskiego” Donald Tusk zorientował się, że popełnił błąd, więc zaczął ostro atakować Konfederację. Ale uznano to raczej za tworzenie pozorów, podejrzewając, że Tusk ma wobec tego ugrupowania ukryte zamiary.

Nowy lider Konfederacji Sławomir Mentzen (formalnie szef partii Nowa Nadzieja) był wyraźnie poirytowany końskimi zalotami Platformy, dlatego na Twitterze napisał: „Idziemy po dwucyfrowy wynik, a Tusk mi może skoczyć tam, gdzie Morawiecki mnie może pocałować”.

Lider PO do krucjaty przeciw Konfederacji próbował namówić Lewicę, Polskę 2050 i PSL. Liderzy tych partii twierdzą wprawdzie, że sami zdecydowali się dać odpór, ale mało kto w to wierzy. W ramach dawania odporu zaczęto przygotować Konfederacji oraz samemu Sławomirowi Mentzenowi paskudną gębę. Przypomniano mu, że gdy w 2019 r. starał się o miejsce w Sejmie, przedstawił (w Krakowie) tzw. piątkę Konfederacji: „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej. To najlepiej trafia do naszych wyborców, dlatego nasi wyborcy chcą nas słuchać i z tego powodu wyborcy chcą na nas głosować”. Mentzena trzeba było zaatakować, bo jego kanał na YouTube ma ponad 300 tys. subskrypcji, a jego krótkie komentarze mają nawet ponad 1 mln odsłon.

Michał Kobosko, wiceprzewodniczący Polski 2050, ujawnił, dlaczego jego partia zajęła się Konfederacją, choć to raczej wersja zmyślikowana, bo główną przyczyną było odbieranie głosów jego partii. „Nie można milczeć, gdy w Polsce rośnie nowa, groźna, brunatna siła, partia, która ubrała się w atrakcyjne szatki” – oburzał się Kobosko. I te-

atralnie pytał: „Gdzie szaleńcy typu Korwin-Mikkego czy Brauna? Poznikali? Nie, po prostu partia wcisnęła im guzik »wycisz«. Bo te poglądy nie są specjalnie atrakcyjne. Ale ci politycy byli, są i będą, bo to jest trzon Konfederacji”. Jakby tego było mało, dorzucił jeszcze do pieca, że „Konfederacja to partia, która programowo nienawidzi kobiet i ich praw, nie cierpi mniejszości, LGBT+, Żydów, wszystkich obcych. Gromadzi eurosceptyków, którzy chcą wyprowadzenia Polski poza Unię. To wszystko sprawia, że Konfederacja jest niezwykle groźna dla polskiej racji stanu”.

W PO było mniej nerwowo, bo notuje ona mniejsze straty. Ale politycy tej partii dostrzegają, że pomysły Tuska, jak mieszkanie z kredytem 0 proc. czy „babciowe” (1,5 tys. zł miesięcznie dla matek, które wrócą do pracy po urlopie macierzyńskim), to wyraźne przegięcie. I musi ono skutkować przestrachem wśród liberalnych wyborców Platformy. Zapewne pytają oni, jakie jeszcze „socjalistyczne” pomysły przed wyborami Tusk przedstawi. Dla nich Konfederacja z twarzą Mentzena jest realną alternatywą.

Dlatego „Gazeta Wyborcza” też wpadła w histerię. Podobnie jak Donald Tusk, tylko że on – jak to ma w zwyczaju – odwrócił kota ogonem, pakując do jednego worka PiS i Konfederację: „Chcę Polską rządzić ludzie, którzy chcą nas wtrącić w otchłań izolacji i samotności w czasach trudnych, niestabilnych. [...] Jeśli za siedem miesięcy wygra PiS i Konfederacja, to usłyszymy, że nie mamy pieniędzy europejskich, Zachód to jest siedlisko »tęczowej zarazy« i nie ma „żadnego powodu, dla którego mieliby się zatrzymać w wyjściu z UE”. A szczytem hysterii było zdanie: „Jeśli ktoś jest patriotą i katolikiem, to nie może głosować na PiS i Konfederację”.

## KATASTROFA TUSKA

Wprawdzie polskiej scenie politycznej nie grozi takie rozdrobnienie jak w przypadku Izraela czy Belgii, ale przez fiasco jednej listy i niemożność stworzenia rządzącej większości szybko mogłoby dojść do ponownych wyborów. Wtedy przez jakiś czas mógłby funkcjonować rząd mniejszościowy PiS, bo prezydent zapewne tej partii powierzyłby misję jego tworzenia. Mniejszościowy rząd mógłby znaleźć optymalny moment do przeprowadzenia nowych wyborów, w których głównie KO (PO) zapłaciłaby za fiasco swojego własnego projektu i za konieczność organizowania kolejnej elekcji. I wtedy zwycięstwo PiS byłoby właściwie pewne, a Konfederacja mogłaby nawet stać się drugą siłą – kosztem KO i Polski 2050. Efekt byłby katastrofą dla tych, którzy przeprowadzili operację Konfederacja. Ona zresztą pokazuje, jak mało Donald Tusk i jego ekipa rozumieją z polityki, jak fatalnymi są strategiami i jak łatwo sami są w stanie wsadzić się na minę.

Kreując atrakcyjność Konfederacji, nie przewidziano, że może stać się ona alternatywą dla liberalnych i libertariańskich zwolenników PO i Polski 2050



# Co z tym zbożem

*Ceny gwałtownie spadły, co naraziło wielu rolników na straty.*

*To rezultat bardzo dobrych zbiorów oraz bezcłowego importu ziarna z Ukrainy. Opozycja wykorzystuje temat i obwinia rząd. Jednak problem jest znacznie szerszy*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

**T**rzeba zacząć od pytania: czy zboże w Polsce rzeczywiście jest rekordowo tanie? Odpowiedź zależy od punktu odniesienia. Jeżeli przyrównamy obecne ceny do tych z pandemicznej wiosny 2021 r., to niekoniecznie, ale jeżeli zestawimy je z cenami oferowanymi rok temu, gdy wybuchła wojna na Ukrainie, to rzeczywiście możemy mówić o dużym spadku.

23 marca cena pszenicy oscylowała wokół 900 zł za tonę ziarna, tymczasem rok wcześniej za tę samą ilość płacono 1659 zł. W przypadku kukurydzy cena spadła z 1400 zł za tonę w maju 2022 r. do blisko 900 zł dzisiaj. Z kolei jeśli chodzi o rzepak, to możemy mówić o prawdziwym zjeździe – z 4300 zł za tonę w kwietniu 2022 r. do średnio 1835 zł w br. Producenci tych zbóż mają więc powody do niepokoju.

Jednocześnie jednak należy pamiętać, że zeszłoroczne stawki były mocno zawyżone z powodu wojny na Ukrainie. Według danych GUS z maja 2022 r. ceny skupu podstawowych produktów rolnych wzrosły rok do roku o ponad 46 proc. Nikt wówczas nie wiedział, co się wydarzy i czy skutek wojny nie dojdzie do załamania na rynku żywnościowym – w końcu obie walczące strony należą do największych producentów rolnych i obawiano się, że może dojść do deficytu zboża. Nic więc dziwnego, że jego ceny poszybowały w ub.r. w górę.



Żeby uniknąć czarnego scenariusza, Unia Europejska zgodziła się w maju 2022 r. na bezcłowy import ukraińskiego zboża. Jednocześnie zeszłoroczne zbiory okazały się nadzwyczaj udane – nie tylko na Ukrainie i w Rosji, lecz także w Polsce i w wielu krajach świata. Co więcej, w ostatnim roku mocno spadło zapotrzebowanie na paszę dla zwierząt, co było spowodowane zmniejszeniem hodowli, zwłaszcza świń zagrożonych wirusem ASF. Największy spadek pogłowia zanotowano z tego powodu w Niemczech i właśnie w Polsce. W efekcie producenci pasz ograniczyli zakupy ziarna. Zboża więc nie tylko nie zabrakło, ale wręcz było go w nadmiarze. Wszystko to razem spowodowało, że wysokie ceny, do których przyzwyczaili się już producenci, zaczęły szybko spadać.

## SŁOWA MINISTRA

Być może problem z niskimi cenami zboża nie byłby tak ostry, gdyby nie dwie rzeczy. Pierwszą z nich była wypowiedź ministra rolnictwa Henryka

Kowalczyka z czerwca 2022 r., w której zasugerował rolnikom, by wstrzymali się ze sprzedażą ziarna, a drugą – uruchomiony w tym samym czasie bezcłowy import zboża z Ukrainy.

Te dwie okoliczności mocno wpłynęły na późniejszy spadek cen. Bo producenci zbóż, którzy chcieli jak najwięcej zarobić, wstrzymali się ze sprzedażą ziarna w oczekiwaniu na kolejne wzrosty. Jednak życie nie znosi próżni i miejsce krajowego zboża, z którego sprzedażą wstrzymywali się lokalni producenci, natychmiast zajęło zboże pochodzące z Ukrainy. W rezultacie rynek się nasycił, ceny spadły, a nasi rolnicy zostali ze swoim niesprzedanym zbożem w magazynach. Firmy skupujące zboże zachowały się zaś równie chytrze jak wcześniej rolnicy – przestały od nich kupować ziarno w oczekiwaniu na dalszy spadek cen.

Dziś opozycja atakuje ministra za to, że w okresie największejwyżki cen odradzał im sprzedaż zboża. PSL zapowiedziało złożenie wniosku o jego odwołanie, a grupy protestujących rolników twierdzą, że Kowalczyk ich oszukał.

18 marca w czasie swojej wizyty na kieleckich targach techniki rolniczej minister został nawet obrzucony jajkami.

Oczywiście minister popełnił błąd w ocenie sytuacji, bo – jak wynika z jego wypowiedzi – był przekonany, że ceny będą nadal rosnąć i polscy rolnicy nie stracą. W każdym razie na jego usprawiedliwienie przemawia fakt, że trudno było jeszcze wtedy ocenić, czy żniwa będą udane, a jeszcze trudniej – w jakim kierunku rozwine się sytuacja na pogrożonej wojną Ukrainie. Chuchał więc na zimne, choć teraz okazało się, że była to nadmierna ostrożność.

## IMPORT Z UKRAINY

Z ukraińskim zbożem też sprawa nie jest aż tak oczywista, jak mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać. Cła importowe na ziarno z Ukrainy zostały uchylone przez Komisję Europejską z dwóch głównych powodów. Po pierwsze dlatego, by zapobiec kryzysowi żywnościowemu, a po drugie – żeby wspomóc finansowo Ukrainę walczącą z Rosją.

Dotychczasowy szlak eksportu zboża z Ukrainy wiódł przez czarnomorskie porty, jednak był on bardzo utrudniony z powodu działań wojennych. Nic więc dziwnego, że część ukraińskiego zboża została przerzucona transportem lądowym przez rumuńską i polską granicę. W taki sposób w 2022 r. dotarło do Polski 2,45 mln ton ukraińskiego ziarna – to dużo, biorąc pod uwagę, że jeszcze rok wcześniej sprowadzono do Polski zaledwie 100 tys. ton. Zboże miało być reeksportowane dalej, m.in. przez nasze porty na Bałtyku, ale – jak się okazało – spora jego ilość pozostała w Polsce.

Przyczyny tego stanu rzeczy są nie do końca jasne. Z pewnością znalazło się u nas sporo chętnych na importowane zboże, zwłaszcza że – jak już wspomniałem – wielu krajowych producentów nie chciało zejść z ceny i wstrzymywało się ze sprzedażą. Jednak nie odpowiada to wy-czerpująco na pytanie, czemu ukraińskie zboże było na sporą skalę sprzedawane w Polsce, zamiast iść – tak jak planowano – do portów. Mówi się dzisiaj, że zgodnie z unijnym prawem wagony nie były

plombowane, co ułatwiło niekontrolowaną sprzedaż, że operatorzy w portach (zwykle są to prywatne firmy, niekiedy z obcym kapitałem) nie chcieli rezerwować miejsc pod wysyłkę ukraińskiego zboża. Wreszcie – że instytucje unijne, widząc, że zboża nie zabraknie, nie były już zainteresowane losami importu z Ukrainy, który stanowił przecież konkurencję dla europejskiego rolnictwa. Polacy mieli sobie z tym poradzić sami.

Które z tych czynników miały największe znaczenie (a to zapewne nie jest ich pełna lista), trudno dziś ocenić. Premier Morawiecki wskazuje, że duża część winy leży po stronie unijnej biurokracji: „To zboże miało zgodnie z obietnicą Komisji Europejskiej wyjeżdżać do Afryki i na Bliski Wschód. Tymczasem

**Rząd jest trochę między młotem a kowadłem, bo pochylając się nad problemami rolników, musi mieć także na uwadze dobro konsumenta i całą gospodarkę, mocno rozchwianej wojną na Ukrainie**

niedoskonałości proceduralne i opieszałość w pewnych obszarach doprowadziły do tego, że część tego zboża zostaje. I innych artykułów rolnych również, dołączając przez to ceny dla rolników” – stwierdził szef rządu, dodając, że będzie interweniował w tej sprawie w Brukseli, domagając się wprowadzenia instrumentów regulacyjnych, czyli np. ustalenia kontyngentów lub nawet – tak jak postulował minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro – przywrócenia przez Komisję Europejską ceł na ukraińskie zboże.

Jakaś interwencja jest oczywiście konieczna, choć nie należy też nadmiernie przeceniać roli czynnika ukraińskiego. Eksport zboża z Ukrainy przez Polskę nie był najbardziej preferowanym szlakiem przez tamtejszych producentów. Droga morska – z Odessy czy Mikola-

jowa – jest ponad dwukrotnie tańsza, co wpływa na bardziej konkurencyjną cenę ziarna. Ukraińcy wolą więc wyprawić zboże z własnych portów (w 2022 r. wyeksportowali w ten sposób ponad 21 mln ton), a z droższego korytarza polskiego korzystają z konieczności.

Nie wiadomo też, jak będą wyglądały tegoroczne żniwa na Ukrainie. Mówi się, że z powodu przeciągającej się wojny zbiory będą niższe o co najmniej jedną trzecią w stosunku do ub.r. Zatem zalewu zboża z Ukrainy nie powinniśmy się już chyba w tym roku spodziewać.

## MIEDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

W ostatnią środę minister Kowalczyk zwołał okrągły stół, na który zaprosił producentów rolnych oraz protestujących rolników, by zasięgnąć opinii w sprawie dalszych działań. Jak na razie przeznaczono 600 mln zł na dopłaty dla rolników poszkodowanych bezcłowym importem z Ukrainy. Mają być również ułatwienia dla eksportu zboża, tak by opróżnić polskie magazyny z zeszłorocznego ziarna, oraz dodatkowe rekompensaty pochodzące m.in. z rezerwy kryzysowej Unii.

Być może zresztą ceny, które do tej pory spadały, zaczną wkrótce z powrotem rosnać. Na taki scenariusz może wskazywać niedawne odbicie na paryskiej giełdzie MATIF, której notowania są podstawą do ustalania

rynkowych cen produktów rolnych.

Inna rzecz, że w kwestii cen interesy rolników są często sprzeczne z interesami przetwórców, handlowców i docelowych klientów. Wzrost cen zboża przy obecnych wysokich kosztach energii i transportu przekłada się bowiem na ceny produktów żywnościowych w sklepach i nakręca inflację. Rząd jest więc trochę między młotem a kowadłem, bo pochylając się nad problemami rolników, musi mieć także na uwadze dobro konsumenta i całą gospodarkę, która i tak została już mocno rozchwiejana – najpierw przez pandemię, a teraz przez wojnę na Ukrainie.

Na szczęście jednak żaden z czarnych scenariuszy, tak chętnie rysowanych przez opozycję, jak dotąd się nie sprawdził. Są więc podstawy ku temu, by sądzić, że i tym razem też tak będzie. 



# Rodzic musi zrobić aferę

Dorośli przestali określać dzieciom jasne ramy, w których mogą się poruszać. Co więcej, dorośli zaczęli sami przejmować ponoszenie konsekwencji działań swoich dzieci. I to zarówno tych dobrych, jak i złych

**Z dr Sabiną Zalewską,**  
*psycholog rodziny,  
pedagog, terapeutką  
i psychoedukatorką,  
rozmawia  
Kamil Kwiatek*

*Odnoszę wrażenie, że dzieci i młodzież opanowała jakaś epidemia przemocy. Praktycznie nie ma dnia, by media nie donosiły o kolejnych przypadkach agresji między młodymi ludźmi. Co się dzieje?*

**Sabina Zalewska:** Przemoc wśród dzieci i młodzieży zawsze była, jest i będzie. Czy dziś jest jej więcej? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Co prawda badania na temat przemocy są co jakiś czas robione w szkołach, ale nie oczekujmy, że w badaniach ankietowych dzieci czy młodzież będą się przyznawać do tego, że stosują taką przemoc bądź są jej ofiarą. Z pewnością jest ona jednak bardziej widoczna niż wcześniej.

*Media odgrywają w tym swoją rolę?*

Tak, proszę zauważyć, że nagrania, na których dochodzi do aktów przemocy, są coraz częściej i coraz chętniej umieszczane w sieci. Co więcej, w internecie zachęca się również do jej stosowania.

*Ci, którzy sięgają po przemoc, często robią to po to, by zaznaczyć swoje miejsce w hierarchii grupy czy klasy. Dziś wykorzystują do tego również media społecznościowe – to tam zamieszczają nagrania, na których widać, jak się nad kimś znęcają.*

Tak, ale – i zawsze będę to powtarzać – w pewnym stopniu jest to вина dorosłych.



### **Dlaczego?**

Ponieważ jest pewien rodzaj przyzwolenia na istnienie przemocy w przestrzeni medialnej czy mediów społecznościowych.

### **Jaki ma ona najczęściej charakter?**

Słowny i psychiczny – związany z manipulacją. Można to szczególnie zauważyć, czytając komentarze zamieszczane przez osoby dorosłe pod postami dotyczącymi kontrowersyjnych kwestii politycznych czy społecznych. Te komentarze są nasycone przemocą słowną i psychiczną. I dorośli wcale nie ukrywają się za nickami, ale piszą pod imieniem i nazwiskiem. A skoro oni tak postępują, to dlaczego dzieci miałyby inaczej?

### **Pozostaną na chwilę przy swoim politycznym poletku. Czy nasza rozgrzana do czerwoności debata publiczna sprzyja temu, że dzieci i młodzież po tę przemoc sięgają częściej, bardziej ochotczo? Czują, że dorośli dają im jakąś formę przyzwolenia?**

Z pewnością mamy do czynienia z jakimś rodzajem przyzwolenia. Młodzi ludzie patrzą na dorosłych i pytają się, dlaczego my nie możemy tak postępować, skoro oni mogą. W moim odczuciu bardzo często błędem popełnianym przez nas, dorosłych, jest to, że my dzieciom mówimy o ich prawach, ale zapominamy mówić o obowiązkach i konsekwencjach tych praw. I nagle, gdy dziecko musi ponieść konsekwencje – i to nie ze strony rodziców – to jest zdziwione, że np. stosowanie przemocy wiąże się z określonymi konsekwencjami. Dorośli przestali określać dzieciom jasne ramy, w których mogą się poruszać. Co więcej, dorośli zaczęli sami przejmować ponoszenie konsekwencji działań swoich dzieci. I to zarówno tych dobrych, jak i złych.

### **Może pani podać jakiś przykład?**

Wywiadówka w szkole. Zbliża się koniec roku szkolnego i uczeń ma do poprawy oceny z dwóch przedmiotów. Kto stoi w kolejce do nauczyciela, by prosić o dostanie jeszcze jednej szansy na poprawę?

### **Rodzic?**

Zgadza się. I im bardziej wymagający nauczyciel, tym dłuższa kolejka do niego tych rodziców. Nie chcę powiedzieć, że każde dziecko i każdy rodzic taki jest, ale po długości tych kolejek możemy zobaczyć, jak powszechne jest to zjawisko. W szkole średniej to się zmienia.

### **W jakim kierunku?**

Kiedy dziecko dostaje złe oceny lub uwagi, wtedy rodzic nie stoi już w kolejce do nauczyciela, ale pisze do niego wiadomości. I proszę mi wierzyć, ale nie są to grzeczne wiadomości. Jeżeli byśmy spytali nauczycieli szkół średnich, w jaki sposób komunikują się z nimi rodzice, to usłyszeliśmyby, że w sposób roszczeniowy, wręcz agre-

Dziewczeta zaczęły być mniej empatyczne, a chłopcy bardziej. Zaczęły określać jasno cele i uparcie dążyć do ich realizacji. Stały się dużo bardziej dosłowne w komentarzach. Najczęściej sięgają po agresję słowną, ale pojawia się też agresja fizyczna

sywny. A jeżeli rodzice w taki sposób zwracają się do nauczycieli, to dlaczego dzieci miałyby być inne, skoro przykład biorą od dorosłych?

**To, co jest pewną nowością, że coraz częściej po przemoc sięgają dziewczeta. I to nie tylko w Polsce, bo problemamy mają z tym również Niemcy. Widać więc, że skala tego problemu jest większa.**

Jeszcze w czasach gimnazjów powstały badania, których autorzy zauważyli, że cechy osobowościowe, które od zawsze były związane z chłopcami, coraz częściej przejmują dziewczynki. To one zaczęły coraz częściej posługiwać się

agresją. Na początku tą manipulacyjną, psychiczną, ale potem doszła przemoc słowna i fizyczna. Dziewczeta zaczęły być mniej empatyczne, a chłopcy bardziej. Zaczęły określać jasno cele i uparcie dążyć do ich realizacji. Dziewczeta stały się dużo bardziej dosłowne w komentarzach i obrażaniu innych. Najczęściej sięgają po agresję słowną, ale pojawia się również agresja fizyczna, w formie poszturchiwania czy łapania za włosy. Jeżeli wejdziemy na fora dla młodych matek i poczytamy, jakie pojawiają się tam komentarze, to wiadać, jaka jest tendencja agresji słownej wśród młodych kobiet.

### **Skąd wzięła się ta zmiana?**

Ona jest związana ze strukturą rodziny i jej zadaniami. Rodzina nie już pierwszym elementem zainteresowania kobiety. Wyprzedziła ją kariera. Dużo jest też kobiet, które deklarują, że w ogóle nie chcą zakładać rodziny, a jeżeli już mają zdecydować się na związek małżeński, to najlepiej bezdzietny.

### **Co się z tym wiąże?**

Gdy wybieram, że nie chcę mieć dziecka, to nie muszę być empatyczna, nie muszę się zmuszać do nabycia kompetencji miękkich. Ale to dotyczy również mężczyzn.

**Ale skoro dorośli ludzie nie mają tych kompetencji miękkich, to znaczy, że nie nauczyli się ich zarówno w domu, jak i w szkole.**

Tak, i agresja w szkole nasila się, bo dzieci i młodzież nie posiadają umiejętności związanych z kompetencjami miękkimi. Nie uczymy się porozumiewania bez przemocy, umiejętności rozwiązywania konfliktów, wzbudzania w sobie empatii, budowania prawidłowego obrazu siebie bez poniżania innych. I to jest jeden z ich większych braków. Tego się nie uczy ani w rodzinach, ani w szkołach. Pamiętajmy jednak, że trudno wymagać, by uczył tego nauczyciel od matematyki czy chemii. To nie jest ich zadanie.

**Jak w ogóle szkole idzie radzenie sobie z agresją wśród dzieci i młodzieży? Czytałem relacje rodziców**





**dzieci, które padły ofiarą przemocy, o tym, jak odbijali się od wychowawców, pedagogów, dyrektorów, słysząc, że to tylko „niewinne żarty”.**

Szkola radzi sobie coraz lepiej. W tym sensie, że nie bagatelizuje aktów przemocy. Ale szkoła bardziej nastawia się – mam na myśli psychologów i pedagogów – na umiejętność rozwiązywania problemu albo udzielenia wsparcia. Proszę jednak pamiętać, że szkoła nie ma takich zasobów, żeby to wsparcie było wystarczające. To często są działania doraźne, a to nie zawsze wystarcza.

**Dzieci, które padają ofiarą przemocy, często nie chcą o tym mówić, ukrywają to. Kiedy u rodzica powinna zapalić się czerwona lampka? Jakie są najczęstsze symptomy wskazujące na to, że z dzieckiem dzieje się coś złego?**

Pierwszym ważnym sygnałem jest diametralna zmiana w zachowaniu dziecka. Wesole dziecko nagle robi się smutne. Dziecko, które chętnie opowiadało o szkole, teraz po powrocie do domu mówi tylko, że „było OK”. Każdy rodzic jest w stanie taką zmianę zauważyć. Poza tym dzieci, które nie radzą sobie z agresją ze strony rówieśników, często sięgają po samoagresję, czyli np. samookaleczają się. Obja-

Agresja w szkole nasila się, bo dzieci i młodzież nie posiadają umiejętności związanych z kompetencjami miękkimi. Nie uczymy się porozumiewania bez przemocy, umiejętności rozwiązywania konfliktów, wzbudzania w sobie empatii. Tego się nie uczy ani w rodzinach, ani w szkołach

wów jest bardzo dużo, ale ważne jest, by rodzic zobaczył radykalną zmianę i wtedy zapytał dziecko wprost, czy dzieje mu się krzywda.

**Czy rodzic powinien posłuchać dziecka, które prosi, by nic w tej sprawie nie robić, bo będzie tylko gorzej?**

Nie, rodzic nie może odpuścić. Powinien stanąć bardzo mocno za swoim dzieckiem. Musi zrobić aferę. Unaocznic to, co się dzieje. Jeżeli do przemocy

dochodzi w sieci, to zrobić screeny z telefonu dziecka, by mieć dowód. Musi to zrobić właśnie dlatego, bo tego trzymają się agresorzy. I tak mocno zastrasza swoją ofiarę, by ta nikomu nic nie powiedziała. I najczęściej tak właśnie jest. Ofiara wszystko to znosi biernie.

**Wspomniała pani o zrobieniu screenów z telefonu dziecka. Cyberprzemoc to coś, czego kiedyś nie było.**

Tak, a dziś jest jedną z najczęściej stosowanych form przemocy. Dlaczego? Proszę zauważyć, że nasze podwórka przeniosły się do świata wirtualnego. Czy widzimy dzieci bawiące się razem na podwórku? Grające w piłkę? To się prawie już nie zdarza. Dzieci i młodzież mają dzisiaj wirtualne podwórka, którymi są fora czy grupy. To tam się spotykają i tam odbywają się wszystkie interakcje. Ale jeżeli dochodzi do nich tam, gdzie nie patrzymy w oczy drugiemu człowiekowi, nie musimy unieść jego emocji, nie widzimy jego lez, to bardzo łatwo jest nam sięgać po przemoc w stosunku do drugiej osoby. Gdy trzeba przenieść coś z tego wirtualnego podwórka do rzeczywistości, to – proszę mi wierzyć – dzieci nie radzą sobie z uniesieniem emocji drugiej osoby, z tym, że ją skrzywdziły, z tym, że muszą patrzeć na jej płacz, a czasem również płacz własnych rodziców, którzy nie mogą uwierzyć, że ich własne dziecko posunęło się tak daleko.

**Rodzice w tym wszystkim bywają zagubieni, nie wiedzą, jak reagować.**

Tak, dlatego Fundacja Mamy i Taty, z którą od lat jestem związana, dzięki m.in. moim namowom otwiera poradnię pomagającą rodzicom i dzieciom. Tutaj rodzice będą mogli się dowiedzieć, co mają robić, gdy widzą, że ich dziecko staje się ofiarą przemocy albo tę przemoc stosuje. My, współcześnie rodzice, naprawdę nie mamy kompetencji, umiejętności i pewności, co mamy zrobić, by pomóc naszemu dziecku. W tym miejscu będzie można taką pomoc otrzymać. 



Święta Wielkiej Nocy są triumfem życia i nadziei płynącej  
ze Zmartwychwstania Pańskiego.

Niechaj niezwykle czas zbliżającej się Wielkanocy pozwoli  
nam pogłębić więzi z najbliższymi, będzie wytchnieniem  
od codziennych trosk, a rodzinna atmosfera świątecznego  
stołu napełni nasze serca radością.

**Bądźmy razem w święta!**

Telewizja Polska S.A.





# Zanim przyjadą nasze Abramsy



**ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI**

**D**ziś w programie szkolenia zgrywanie głównego karabinu maszynowego dowódcy z armatą, czyli tzw. zerowanie i strzelanie do tarcz z odległości 400–900 m z CROWS-a (Common Remotely-Operated Weapons Station) – zdalnie sterowanej wieżyczki uzbrojonej w karabin maszynowy M2HB kalibru 12,7 mm. Trwa jeszcze odprawa załóg. Amerykańscy instruktorzy udzielają czołgistom ostatnich wyjaśnień. Po chwili wszyscy ruszają w stronę maszyn. Zaraz rozpocznie się strzelanie.

Zerowanie polega na wycelowaniu na odpowiednią odległość karabinu maszynowego z armatą. W lufie działa instaluje się specjalną wkładkę. W ten sposób zmniejsza się kaliber ze 120 mm na 12,7. Strzelając z pocisku karabinowego przez armatę Abramsa, oszczędzamy zarówno drogą amunicję czołgową, jak i zużycie działa. Najpierw działonowy naprowadza celownik na wybrany punkt w terenie. Potem ustawia przełącznik na main gun, czyli że będzie używał działa głównego. Obserwuje, w którym miejscu układa się pocisk względem krzyża na celowniku – to przez niego widzi główny punkt. Jeśli odbiega od normy, na swoim pulpicie naprowadza znak celowniczy w to



miejsce, w które uderzył pocisk. – Potem następuje kolejny strzał i patrzymy, czy punkt trafienia pokrywa się z punktem celowania. Teraz, żeby zgrać kaem z armatą, należy przełączyć system na karabin maszynowy i powtórzyć czynności. Komputer wprowadza dane balistyczne

do kaemu. Seria i patrzymy, jak nam się układają pociski. W tej całej zabawie chodzi o to, żeby karabin maszynowy został zgrany z celownikiem – wyjaśnia chor. Ignacy Witaszczyk.

Teraz to z lewej, to z prawej słychać głośnie szczekanie czołgowych kaemów.

*Kanciasta sylwetka i prawie 70 ton żywej wagi. Silnik o mocy 1500 KM z automatyczną skrzynią biegów. 10 takich stalowych potworów ustawiło się w linii na skraju strzelnicy dla czołgów na poligonie. To słynne amerykańskie Abramsy wypożyczone przez US Army Wojsku Polskiemu do szkolenia naszych pancerniaków. Pojechałem do podpoznańskiego Biedruska zobaczyć, jak im idzie*



Strzelają krótkimi seriami po 5–7 naboji. Co piąty pocisk jest smugowy i widać wyraźnie jego trajektorię lotu. Świeące kule z dużą prędkością szubują nad ziemią, zanim trafią w cel. Lepiej nie stać na ich drodze, bo 12,7 mm to już dla człowieka nawet w kamizelce kuloodpornej śmiertelny kaliber.

## UMOWA NA 366 CZOŁGÓW

Abramsy, na których szkolą się polscy czołgisi, należą do Amerykanów i zostały nam wypożyczone. To wersja M1A2 SEP v.2, która później zostanie zastąpiona nowszą SEP v.3. Skrót SEP oznacza System Enhancement Package i zawiera m.in. zmodernizowane elementy pancerza ze zubożonego uranu trzeciej generacji z dodaną powłoką grafitową, nową kamerę termowizyjną dla celownika działonowego i dowódcy, uaktualnienie pamięci komputera, a także kolorowy wyświetlacz mapy. W kwietniu 2022 r. szef MON Mariusz Błaszczak podpisał umowę na zakup 250 nowych czołgów M1A2 Abrams SEP v.3, a także sprzętu towarzyszącego, w tym 26 wozów zabezpieczenia technicznego M88A2 Hercules i 17 mostów towarzyszących M1074. Pierwsze Abramsy w starszej wersji SEP v.2, wypożyczone i przeznaczone do szkolenia, dotarły do Polski 18 lipca 2022 r. Dostawy wozów w docelowej konfiguracji mają rozpocząć się w 2025 r. i zakończyć w 2026 r.

Dodatkowo w styczniu 2023 r. minister obrony narodowej zatwierdził umowę na dostawę 116 czołgów M1A1 FEP Abrams, z których pierwsze mają dotrzeć do Polski nawet w kwietniu br. Wszystkie pojazdy będą po generalnych remontach, z zerowym przebiegiem. Polska zdecydowała się na zakup starszych czołgów M1A1 FEP Abrams z uwagi na chęć przyspieszonego zastąpienia wozów bojowych rodziny T-72 przekazanych Ukrainie. Docelowo Wojsko Polskie ma dysponować 366 Abramsami – partią 116 używanych wozów M1A1 FEP oraz 250 nowych M1A2 SEP v.3.

Produkcja tego pojazdu bojowego rozpoczęła się w 1980 r. Istniejące czołgi M1 są stale modernizowane, a starsze wersje pojazdu doprowadzane do nowoczesnych standardów. Czołg ochrzczono imieniem gen. Creightona Abramsa – dowódcy 37. Batalionu Pancernego Armii Stanów Zjednoczonych w czasie II wojny światowej, a następnie dowódcy wojsk amerykańskich biorących udział w wojnie



Fot. Stanisław Pivonikh

wietnamskiej. Abrams cieszy się opinią najlepszego czołgu podstawowego na świecie.

## ABRAMS KONTRA LEOPARD

Jaka jest różnica między produktem amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego (General Dynamics) a konstrukcją niemiecką koncernu Krauss-Maffei Wegmann? – pytam fachowca, ppor. Norberta Michalskiego, który w 1. Brygadzie Pancerniej jeździł na Leopardach 2A5, a teraz w Biedrusku szkoli się na Abramsach. – Oba czołgi mają podobne zawieszenie oparte na walkach skrętnych. Amerykańskie działo M256 kaliber 120 mm jest produkowane na licencji niemieckiej armaty RhM 120/L44 używanej w Leopardach 2 wersjach A4 i A5 – odpowiada. Niegdyś, jeszcze w latach 60. XX w., Niemcy i Amerykanie wspólnie pracowali nad prototypem nowego czołgu. Mimo początkowo bardzo obiecujących wyników nowej konstrukcji dla NATO i zbudowania kilku egzemplarzy (amerykański pojazd MBT-70 i niemiecki KPz 70) ostatecznie program zakończył się spektakularnym fiaskiem. Jednak to wtedy powstał bardzo nowoczesny zespół napędowy o mocy 1500 KM oraz układ hydropneumatycznego zawieszenia kadłuba wozu, który do dziś jest stosowany w Leopardach i Abramsach.

Zdaniem ppor. Michalskiego przedział amunicyjny w Abramsie daje większe bezpieczeństwo niż w Leopardzie. To istotna sprawa. W rosyjskich T-72 naboje znajdują się w karuzeli (automat do ładowania działa), a dodatkową amunicję trzyma się poupychaną w całym kadłubie czołgu. W przypadku skutecznego trafienia naboje stosunkowo często eksplodują, powodując śmierć załogi i wystrzał ważącej

kilka ton wieży na wysokość kilku pięter. Abramsy i Leopardy są ładowane ręcznie i posiadają magazyny amunicji z tyłu wieży oddzielone od przedziału załogi potężną, pancerną grodzią. Od góry są zabezpieczone stosunkowo cienką stalą, by w razie eksplozji siła wybuchu szła w niebo, a nie w kierunku przedziału załogi. Leopard posiada w wieży zapas 15 sztuk amunicji, a pozostałe 27 naboików znajduje się na opancerzonym stelażu, umieszczonym z przodu kadłuba czołgu na lewo od stanowiska kierowcy. Ponieważ trafienie w kadłubowy magazyn amunicyjny może być groźne dla załogi, instruktorzy nie zalecają używania go w prawdziwej walce. – W Abramsie prawie cała amunicja jest umiejscowiona z tyłu wieży – wyjaśnia ppor. Michalski. – 18 w zasadniczym magazynie, a drugie 18 w dodatkowym. Tylko 6 naboików znajduje się w środku kadłuba jako zapas i są dobrze zabezpieczone.

Za jedną z głównych zalet Abramsa ppor. Michalski uważa obsługiwany zdalnie przez dowódcę karabin maszynowy 12,7 mm CROWS. – To jest dobre. Załoga nie musi wychodzić, żeby zwalczać przeciwnika. W terenie skażonym czy gdziekolwiek indziej. Leopard ma dwa karabiny maszynowe, a Abrams trzy. Również termowizja dla kierowcy jest lepsza niż w Leopardzie, który ma tylko noktowizję. Czyli nocą kierowca lepiej widzi w Abramsie, a w dzień w Leopardzie – mówi ppor. Michalski.

Wchodzę na stanowisko kierowcy Abramsa. Ciężko się tam wśliznąć, ale jak już się wejdzie, jest w miarę wygodnie. Nogi są schowane w stalowej dziurze, na której końcu znajduje się pedał hamulca. Reszta ciała praktycznie przyjmuje pozycję prawie leżącą. Między nogami mam kolumnę sterowniczą, którą muszę wciągnąć



na siebie. Z lewej i prawej strony wystają manetki gazu. Takie jak w motocyklu. Jak masz jedną rękę zajętą, drugą pilnujesz prędkości i odwrotnie. Chcesz skrócić w lewo – przesuwasz kolumnę w lewo. Podobnie w prawo. W Leopardzie kierujesz wolantem, jakbyś pilotował samolot. Automat skrzyni biegów w niemieckim pojeździe mamy z prawej, a pod nim dodatkowy przełącznik zmiany kierunku jazdy. W amerykańskim wszystko jest w jednym – niczym w samochodzie z automatyczną skrzynią biegów. Jak chcemy zrobić w miejscu zwrot, wystarczy ustawić drążek zmiany biegów na „neutral” i przesunąć go w dół. Dalej operujemy już kolumną, kręcąc się w miejscu jak na karuzeli.

Chor. Ignacy Witaszczyk nosi na kombinezonie po lewej stronie małą, złotą odznakę. Metalowy czołg na tle skrzyżowanych szabel. To znaczy, że szkoli się na instruktora. Wyjaśnia mi różnice w prowadzeniu obu typów czołgów. – Inaczej prowadzi się Abramsa. Trzeba się przyzwyczaić do innego sterowania. Leopard ma szybszą reakcję na dodawanie gazu. W Abramsie trzeba troszkę poczekać, aż ta moc się pojawi. Należy bardziej przewidywać, co się dzieje z przodu. Jakie czekają na nas przeszkody. Manetkę gazu odkręcamy wcześniej, żeby moc była dostępna, kiedy będziemy jej potrzebować. Trudno powiedzieć, który czołg jest lepszy. Zależy, dla kogo i do jakich zadań. Ja, gdybym miał wybierać, wziąłbym Abramsa. W obydwu pojazdach podoba mi się „hunter-killer” – system obserwacji pola walki przez działonowego i dowódcę. W Abramsie podobnie jak w Leopardzie dzieli się pole obserwacji. Dowódca ma peryskop, a działonowy swój własny celownik. Kamierka cofania jest lepsza w Leopardzie.

Wchodzę do stanowiska dowódcy czołgu. Pode mną stanowisko działonowego. Jak w Leopardzie, tylko jakby miejsca trochę mniej. Za to ładowniczy w Abramsie może się cieszyć większą swobodą ruchów. Oglądam przyrządy do obserwacji. Przed sobą na górze mam ekran CITV (termowizja). Pod nim monitor systemu CROWS (obsługa karabinu maszynowego) plus menu dowódcy. Co ciekawe, system obserwacji pola walki pozwala na 50-krotne przybliżenie. W Le-

opardzie zoom może powiększyć „tylko” 12 razy. Praktycznie w Abramsie z odległości 2 km można by dostrzec zająca skaczącego przez pole, a co dopiero nieprzyjacielski czołg. Nawet ukryty w stanowisku strzeleckim. Elektrooptyka w Abramsie pozwala na strzelanie do celów powietrznych. W czołgu znajdują się trzy rodzaje amunicji: podkalibrowa (przeciwpancerna), kumulacyjna i programowana (szrapnel). Z tej ostatniej można strzelać do nisko lecących obiektów latających typu śmigłowiec. Wystrzelony w kierunku statku powietrznego pocisk nie musi trafić bezpośrednio, żeby skutecznie zabić cel. Wystarczy, że eksploduje w pobliżu zgodnie z zaprogramowaniem.

Abrams ma trzy karabiny maszynowe, a Leopard dwa. Również termowizja dla kierowcy jest lepsza niż w Leopardzie, który ma tylko noktowizję. Czyli nocą kierowca lepiej widzi w Abramsie, a w dzień w Leopardzie – mówi ppor. Michalski

## POD NADZOREM AMERYKANÓW

Z oficerem prasowym, kpt. Marceliną Kuszą-Sulowską, podchodzimy do grupy amerykańskich instruktorów. Niektórzy z nich, jak Kim Mace, są już drugi raz w Polsce. Kim jest zadowolony z delegacji do naszego kraju. Wręcz cieszy się, że może szkolić naszych pancerniaków. Przeszedł wszystkie szczeble czołgowej kariery – od ładowniczego, przez kierowcę, do stanowiska działonowego i dowódcy. Najlepiej czuje się w roli dowódcy Abramsa. Jest w Polsce od siedmiu miesięcy. – Do tej pory przeszkoliliśmy 130 czołgistów w pierwszej turze, a teraz ok. 90 – opowiada. Szkolenie dzieli się na teoretyczne i praktyczne (pierwsza część). – Druga odbywa się już w środku czołgu.

Nauka prowadzenia, dowodzenia, obsługi CROWS-a. Na końcu obsługa dział i taktyka walki. Jego zdaniem Abrams w stosunku do T-72 ma znacznie bardziej zaawansowaną technologię. – Wielkość zniszczeń przeciwnika zależy od miejsca, w które się trafi. T-72 nie ma większych szans na trafienie z odległości 2 km, jeśli Abrams jest w ruchu – przekonuje.

Jest jedna różnica między szkoleniem polskich czołgistów przez Amerykanów, a ukraińskich pancerniaków przez naszych instruktorów na poligonie 10. Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. Tu, w Biedrusku, jest czasu dużo, a Amerykanie uwielbiają trzymać się sztywno procedur. Wszystko na szkoleniu idzie swoim ustalonym trybem – jak w US Army. Ukraińcy nie mieli tyle czasu, co nasi czołgiści. Trzeba było improwizować, czyli przygotować tak program nauki, żeby nasi sojusznicy byli gotowi w siedem tygodni do działań na froncie.

Znakiem rozpoznawczym amerykańskiego czołgu, uchodzącym za przyczynę jego wysokiej odporności na trafienia, jest jego wielowarstwowy pancerz kompozytowy. Nie chroni on w jednakowy sposób całego wozu. Najsilniejszy jest z przodu wieży i kadłuba (dodatkowo pochylonego pod ostrym kątem, co zwiększa grubość warstwy, przez którą musi przebić się pocisk przeciwnika), w mniejszym stopniu – po bokach wieży. Abrams jest pojazdem wyjątkowo paliwożernym. Choć teoretycznie zużywa on ok. 800 l benzyny lotniczej na setkę, to można do niego łąć wszystko. Pojedzie nawet na spirytus. Czyli idealnie wtapia się w warunki rosyjskie.

Żaden amerykański Abrams nie został nigdy zniszczony w wyniku trafienia z wrogiego czołgu (są doniesienia i filmy o zniszczeniu Abramsów sprzedanych przez Stany Zjednoczone innym krajom), jednakże pewna liczba została uszkodzona w zasadzkach przy użyciu granatników przeciwpancernych oraz pocisków kierowanych krótkiego zasięgu. Poza tym podczas operacji Pustynna Burza kilka Abramsów zostało omyłkowo trafionych przez rakiety AGM-114 Hellfire wyrzuczone z amerykańskich śmigłowców AH-64 Apache, na skutek czego odniosły uszkodzenia, ich załogi jednak zdołały przeżyć. I niech tak już pozostanie.

**SIECI**

# *Na Wielkanoc*

*Wszystkie  
drogi prowadzą  
do Rzeszowa*

***str. 42***

*„Polacy to kulturowy naród”  
– jak nas widzą przybysze  
ze Wschodu*

***str. 56***

*Płatki, pieniacze i żarłaczki w ZLP*

***str. 70***

*Najwspanialszy okres w dziejach  
ludzkości, czyli kiedy?*

***str. 80***

*Cztery pomysły na smaczne święta*

***str. 94***





# Wszystkie drogi prowadzą do



**JAROMIR KWIATKOWSKI**

*Wielkie samoloty nad miastem, systemy Patriot i wojska NATO na lotnisku w Jasionce, wizyty najważniejszych polityków świata, amerykańscy i brytyjscy żołnierze na ulicach – to od ponad roku nowe elementy tutejszego krajobrazu. Czy po wojnie skończy się rzeszowskie „pięć minut”?*

**P**odkarpacie z jego stolicą Rzeszowem znalazło się w centrum uwagi świata ze względu na wojnę na Ukrainie. Przez ten region przeszło najwięcej uchodźców. Ale tu także przebiegają ważne linie logistycznego wsparcia dla Ukraińców.

## NIE ULEGAĆ STRACHOWI

Na początku lutego 2022 r., w wyniku wzrostu napięcia między Rosją a Ukrainą, na lotnisku w podrzeszowskiej Jasionce zaczęły lądować boeingi z amerykańskimi żołnierzami i ze sprzętem wojskowym. Był to wynik decyzji administracji USA

o rozlokowaniu dodatkowych żołnierzy w Polsce i Rumunii w celu wzmocnienia wschodniej flanki NATO.

– Nie ukrywam, że było to gigantyczne wyzwanie logistyczne wymagające od nas maksymalnego zaangażowania i odpowiedniej współpracy wszystkich lotniskowych służb odpowiedzialnych za koordynację i bezpieczeństwo operacji lotniczych. Najważniejsze jednak, że wszystko przebiegło zgodnie z planem – zaznacza Adam Hamryszczak, prezes portu lotniczego Rzeszów-Jasionka. Później przybyli także brytyjscy żołnierze, o których szersza publiczność dowiedziała się

dopiero przy okazji wizyty księcia Wiliama w marcu br.

Nie wszystkim było wtedy do śmiechu. Zwłaszcza gdy nad ich głowami zaczęły krążyć duże samoloty wojskowe, których silniki wydawały charakterystyczne, niskie dźwięki, a przejeżdżając w okolicy lotniska, widzieli wycelowane w niebo baterie Patriot. Mieszkańcy okolicznych miejscowości, zwłaszcza Jasionki, Tajęciny czy Wólki Podlesnej, po wybuchu wojny 24 lutego ub.r. zaczęli obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

– W pierwszych tygodniach ludzie byli mocno przestraszeni. W szczególności starsze pokolenie, pamiętające





# Rzeszowa

Fot. Marcin Nowak/REPORTER

II wojnę światową – przyznaje dr Sławomir Porada, zastępca wójta gminy Trzebownik, na której terenie znajduje się port lotniczy w Jasionce. – Ograniczaliśmy się do uspokajania, że nic nam nie grozi, ale też nie wywoływaliśmy sytuacji, które potęgowałyby poczucie zagrożenia, w rodzaju użycia dodatkowych syren alarmowych.

To aluzja do syren z okazji 12. rocznicy katastrofy smoleńskiej, których użycie zalecił rząd. W gminie Trzebownik syreny nie zawyły. Zresztą nie tylko tam. Część opozycyjnych włodarzy miast, w tym prezydent Rzeszowa Konrad Fijołek, odmówiło ich włączenia, tłumacząc to tym, że nie chcą wywoływać paniki wśród mieszkańców i uchodźców. Jednak środowiska sympatyzujące z PiS odebrały to jako demonstrację polityczną.

Ala byli i tacy, którzy podeszli do tego, co się wówczas działo na lotnisku, inaczej. Adam Hamryszczak wspomina, że ucieszył się na widok Patriotów, bo to dawało poczucie bezpieczeństwa. – Po-

nadto to był też moment, w którym tak naprawdę zdaliśmy sobie sprawę, że jako lotnisko regionalne nie tylko jesteśmy katalizatorem wzrostu gospodarczego w regionie, lecz także – co niezwykle istotne – odgrywamy obecnie ważną rolę zapewnienia bezpieczeństwa w tej części Europy – podkreśla prezes.

Dr Maciej Milczanowski z Instytutu Nauk o Polityce Uniwersytetu Rzeszowskiego uważa za zrozumiałe początkowe lęki ludzi mieszkających w pobliżu lotniska. Jednocześnie podkreśla, że jego zdaniem Rzeszów jest obecnie bodaj najlepiej zabezpieczonym miejscem w Polsce. – Dlatego nie powinniśmy ulegać strachowi – podkreśla Milczanowski. – Taką narrację przyjęliśmy, ale to wymagało czasu, żeby ona trafiła do opinii publicznej – zaznacza Sławomir Porada.

## HUB POMOCOWY I DYPLMATYCZNY

Rzeszów z lotniskiem w Jasionce i w ogóle Podkarpacie stały się swego rodzaju centrum działań pomocowych na rzecz Ukrainy. Nasz region przyjął gigantyczną, idącą w miliony liczbę uchodźców. Pierwsi pojawili się na przejściu granicznym w Korczowej już 24 lutego ub.r. ok. godz. 17. W ciągu następnych dni ich liczba wzrastała lawinowo. – 19 marca przez granicę przeszedł milionowy uchodźca. Szacujemy, że do 30 czerwca było ich ok. 5 mln – informuje wojewoda podkarpacki, dr Ewa Leniart. Część uchodźców pojechała dalej na zachód, ale część została. – 49 tys. osób zarejestrowało się na Podkarpaciu w bazie PESEL. Obecnie aktywnych numerów jest 29 tys. – dodaje wojewoda.

Na port lotniczy spadły zadania, których do tej pory nie wykonywał. Obsługa kilku tysięcy samolotów z pomocą, organizacja ewakuacji uchodźców czy pomoc rannym z terenów objętych wojną. A jednak Jasionka sobie poradziła.

Adam Hamryszczak podkreśla, że stało się tak m.in. dzięki właściwemu wykorzystaniu czasu pandemii. Zostały wtedy przeprowadzone niezbędne działania restrukturyzacyjne, rozpoczęto realizację programu inwestycyjnego, zmodernizowano strefę VIP, pracow-

nicy podwyższali swoje kompetencje podczas dodatkowych szkoleń.

Od listopada 2021 r. do stycznia 2022 r. lotnisko przeszło pomyślnie wielki test logistycznej kompetencji w operacjach cargo: w tym czasie pięć razy został obsłużony największy samolot świata, An-225 Mrija. – Wcześniej na polskich lotniskach Mrija lądowała tylko trzy razy – podkreśla Adam Hamryszczak. I dodaje: – Po wybuchu wojny realizujemy operacje cargo na dotychczas niespotykaną skalę. Warto tu podkreślić znakomitą współpracę z polskimi, amerykańskimi czy brytyjskimi żołnierzami.

Po 24 lutego ub.r. Rzeszów i Podkarpacie stały się także swoistym hubem dyplomatycznym – celem podróży wielu liderów światowej i europejskiej polityki. Trzeba tu podkreślić dyskretną rolę saloniku VIP na lotnisku w Jasionce, przez który przewinęło się od wybuchu wojny ponad 2 tys. gości, wśród nich prezydenci USA – Joe Biden (który, rzecz bez precedensu, był na Podkarpaciu dwukrotnie w ciągu 12 miesięcy), Ukrainy – Wołodymyr Zeleński, i Polski – Andrzej Duda, szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, przedstawiciele amerykańskiej administracji Antony Blinken i Lloyd Austin, przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel czy nawet gwiazdy show-biznesu Bono i The Edge z grupy U2 oraz aktor Sean Penn.

Podczas jednego ze spotkań prezydentów Polski i Ukrainy, tuż przed Bożym Narodzeniem, Andrzej Duda i Wołodymyr Zeleński jedli tu potrawy wigilijne. Wiemy o tym nieoficjalnie, gdyż te wizyty ze względów bezpieczeństwa w większości były utrzymywane w tajemnicy. No, chyba że sam polityk zechciał pochwalić się pobylem tutaj w mediach społecznościowych.

– Po wizycie księcia Williama brakuje nam już tylko papieża – żartuje prezes lotniska. – Większość ważnych osób przylatuje do Jasionki, skąd kontynuuje podróż na kołach, a potem pociągami: wsiadają na stacji w Przemyśle i jadą dalej, na Ukrainę, tak jak ostatnio prezydent Biden. Jako pierwsi ten szlak kolejowy przetrarli w połowie marca ub.r. premierzy Polski, Czech i Słowenii, którym towarzyszył Jarosław Kaczyński.





Również pomocowy transport kołowy na Ukrainę, na początku dość uciążliwy dla mieszkańców, z czasem spowszedniał. – Zwłaszcza że te transporty są puszczane w godzinach, kiedy frekwencja na drogach jest mniejsza. Nie ma blokad dróg, a jeżeli są, to na tyle usprawnione, że nie tamują ruchu na wiele godzin – zaznacza zastępca wójta gminy Trzebownisko.

## NA BOISKU, W SKLEPIE, A NAWET W KOŚCIELE

Amerykańscy żołnierze przez 10 miesięcy stacjonowali w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym G2A Arena, zlokalizowanym w pobliżu lotniska w Jasionce. Obok obiektu stanął wysoki płot zabezpieczający miejsce ich pobytu i ćwiczeń. Jesienią ub.r. opuścili to miejsce, w którym znów są organizowane wystawy, koncerty i konferencje. Przenieśli się – jak informowało wówczas Centrum Operacyjne Ministra Obrony Narodowej – „na specjalnie w tym celu przygotowany obiekt znajdujący się również w pobliżu lotniska Rzeszów-Jasionka”.

– Żołnierze sojusznicy zaczynają się integrować ze społeczeństwem – zauważa Sławomir Porada. – Korzystają z boisk sportowych i ze ścieżek rowerowych. Obserwowaliśmy, że w cieplejsze dni biegali po lasach w Tajęcinie. Korzystają ze sklepów, a niektórych widziano nawet na mszach św. w pobliskich parafiach. Lokalne restauracje wyspecjalizowały się w przysmakach kuchni amerykańskiej, takich jak hamburgery czy cheeseburgery. Z tego, co nieoficjalnie wiem, korzystają także z wypożyczalni samochodów i w wolnych godzinach zwiedzają nasz region.

Myliliby się jednak ten, kto sądzi, że żołnierze US Army przesiadują w rzeszowskich pubach czy podobnych miejscach. Jeżeli już, to raczej po cywilnemu i ciężko ich odróżnić od innych cudzoziemców odwiedzających stolicę województwa.

– Amerykańscy i brytyjscy żołnierze są widoczni głównie przy okazji świąt

– podkreśla wojewoda. – Byli np. na uroczystościach z okazji Święta Niepodległości, a ich obecność została bardzo pozytywnie odebrana przez mieszkańców Rzeszowa. Wielu rzeszowian robiło sobie z nimi zdjęcia.

## ATAK TERRORYSTYCZNY NA RZESZÓW?

Po wybuchu wojny na Podkarpaciu pojawiały się fake newsy mające na celu wywołanie paniki: a to, że zabraknie paliwa, że trzeba złożyć w krótkim czasie wniosek paszportowy, że być może zabraknie artykułów spożywczych.

W regionie mamy świadomość, że wiele tych fake newsów może być wy-

Rzeszów z lotniskiem  
w Jasionce i w ogóle  
Podkarpacie stały się swego  
rodzaju centrum działań  
pomocowych na rzecz Ukrainy.  
Region przyjął gigantyczną  
liczbę uchodźców. Pierwsi  
pojawiли się na przejściu  
granicznym w Korczowej już  
24 lutego ub.r. ok. godz. 17.  
W ciągu następnych dni ich  
liczba wzrastała lawinowo

nikiem destabilizującego działania Rosji. W styczniu br. rosyjski poseł Konstantin Zatulin stwierdził, że należałoby zorganizować w Rzeszowie ataki terrorystyczne, ale w taki sposób, by nie można było zdemaskować, kto ich dokonał.

Takimi sygnałami nie należy się stresować, ale i nie można ich bagatelizować. Tym bardziej że zagrożenie ze strony Rosji realnie istnieje. W połowie marca br. funkcjonariusze ABW zatrzymali dziewięć osób podejrzewanych

o współpracę z rosyjskimi służbami specjalnymi. Siatka działała m.in. na terenie Podkarpacia i interesowała się szlakami komunikacyjnymi, a także przygotowywała akcje dywersyjne. Zdaniem Macieja Milczanowskiego trudno uznać to za zaskoczenie, skoro nasz region jest teraz w centrum uwagi całego świata ze względu na konflikt ze wschodnią granicą. – W takich przypadkach mieszkańcy muszą wykazać się mądrością i spokojem oraz nie ulegać nieprawdziwej rosyjskiej narracji – dodaje wojewoda.

## WYJĄTKOWY OBRAZ PODKARPACIA

Ewa Leniart i Maciej Milczanowski są zgodni, że po wybuchu wojny zmieniło się postrzeganie Rzeszowa i Podkarpacia w świecie, ale zmienili się także mieszkańcy. A może inaczej: wcześniej niesłusznie przypisywano im gębę zaścianka?

Zdaniem wojewody wojna pokazała wyjątkowy obraz tego regionu. – Nadzwyczajne okoliczności, w których się znaleźliśmy, dały mieszkańcom Podkarpacia możliwość pokazania się jako ludzie otwarci na innych, zwłaszcza potrzebujących. Podchodzący do zadań, które są przed nimi, jak do wyzwania – zauważa Ewa Leniart. I dodaje: – To pokazuje, że na pewno nie jesteśmy regionem zaściankowym. Społeczeństwo Podkarpacia jest dobrze wykształcone, otwarte na nowatorskie rozwiązania. Mamy w regionie gałęzie przemysłu, które wiążą się z innowacjami – firmy z branży IT, przemysł lotniczy i samochodowy.

– Teraz świat dowiadyuje się nie tylko o roli Rzeszowa jako stacji przeładunkowej, lecz także o tym, jacy ludzie tu mieszkają – dopowiada naukowiec z Uniwersytetu Rzeszowskiego. – Że są to ludzie dobrzy, ofiarni, którzy chcą pomagać, i wtłaczanie ich – jak to się działo przez lata – w ramy partyjno-polityczne nie ma sensu. To w skali Polski. W skali światowej: w Chinach, Stanach Zjednoczonych uczą się wymawiać nazwę „Rzeszów” i nie można tego ograniczać

tylko do Jasionki, bo bardzo wiele rzeczy dzieje się na naszym dworcu kolejowym czy w mieście. To tutaj przyjeżdżają żołnierze, w okolicach Rzeszowa odbywają się ćwiczenia wojskowe, więc cały region na tym zyskuje.

Różne poziomy zaangażowania Rzeszowa i Podkarpacia w pomoc Ukrainie zostały docenione m.in. przez Andrzeja Dudę, który w listopadzie ub.r. podczas gali Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP uhonorował województwo podkarpackie nagrodą specjalną. Prezydent przekazał także dekret potwierdzający przyznanie Rzeszowowi przez Wołodymyra Zełenskiego tytułu Miasta-Ratownika. Drugim miastem uhonorowanym tym tytułem był Przemysł.

Port lotniczy Rzeszów-Jasionka otrzymał tytuł Małego Portu Lotniczego Roku 2022, przyznawany przez międzynarodową organizację branżową CAPA – Centre for Aviation. Rywalizował z ponad tysiącem lotnisk z całego świata i jest bodaj pierwszym polskim portem lotniczym z taką nagrodą. – To wyróżnienie przyznane przez niezależnych światowych ekspertów odbieram jako nie tylko docenienie niezwykle ciężkiej pracy wykonanej w ostatnim czasie przez załogę naszego lotniska, lecz także swoiste zobowiązanie do dalszego rozwoju naszej firmy – przyznaje Adam Hamryszczak.

## ZAGROŻENIA, ALE I MOŻLIWOŚCI

Jaka zatem przyszłość rysuje się przed Podkarpaciem jako regionem, za którego granicą trwa okrutna wojna?

Maciej Milczanowski uważa, że nikt dzisiaj nie zagwarantuje ani tego, jak ta wojna będzie dalej przebiegać, ani jakie pomysły pojawiają się na Kremlu, by np. odciąć zaopatrzenie dla Ukrainy. Bardzo wiele zależy od rozwoju sytuacji militarnej za wschodnią granicą. Dlatego gwarancji bezpieczeństwa w dłuższej perspektywie nikt nikomu nie da. Jednocześnie jednak naukowiec twierdzi, że zmiany, które teraz zachodzą na Podkarpaciu, potrwają dłużej niż przysłowiowe „pięć minut”. – Wydaje mi się, że wytworzył się pewien model pomocy Ukrainie, który nie zostanie zmieniony w najbliższych latach – uważa Milczanowski. I dodaje: – Ukraińcy już nawet



Fot. k. karpca, /Polisa Press/Fest News

przebudowują tory kolejowe na europejskie, zmieniają wiele kwestii wewnętrznych, infrastrukturalnych pod kątem łączności z naszym regionem, przez który mają kontakt ze światem. Oni mają więcej wyjść na świat, ale Rzeszów jest w tej chwili jednym z kluczowych miejsc dla Ukrainy i to się nie zmieni. Pamiętamy, że nawet kiedy ta wojna się zakończy, choć nie wiem, czy to nastąpi szybko, pojawi się kwestia odbudowy Ukrainy, partnerstwa, projektów tworzonych dla naszych sąsiadów ze Wschodu i to też będzie w dużej mierze szło przez Rzeszów. Potrzeba będzie bezpiecznych linii transportowych, bo nigdy nie wiadomo, czy Rosja nie szykuje działań dywersyjnych. Wydaje mi się, że model rzeszowski, sprawdzony w najtrudniejszych warunkach, pozostanie wartościowym hubem komunikacyjnym.

Inny element układanki to zapowiedzi, że żołnierze z USA zostaną w Europie (a więc także w Polsce, w tym m.in. na Podkarpaciu) na dłużej. Taka deklaracja padła z ust prezydenta Bidena. W lutym br. Radio RMF podało, że w grę może wchodzić okres nawet 10 lat.

– Co będzie dalej, czas pokaże. Do normalności, która była przed 2022 r., pewnie już nie wrócimy – uważa Sławomir Porada. – Czekają nas nowe wyzwania związane z tym, że w centrum podejmowanych działań będzie lotnisko, przez które – jako najbardziej wysunięte na wschód – pewnie nadal

będzie szła pomoc. Żyjemy w bardzo dynamicznych miesiącach, do których próbujemy się przystosować. A gmina musi funkcjonować tak, żeby mieszkańcy mieli zapewnione bezpieczeństwo i spokój. To dla nas priorytet.

– Uważam, że wiele procesów, które zaszły, ma bardzo pozytywne skutki i nie skończą się one w momencie, kiedy nastąpi pokój na Ukrainie – przekonuje Ewa Leniart. – Będziemy pewnie nadal potrzebni Ukrainie w wymiarze działania tranzytowego, wspierającego, ale jestem przekonana, że to, co sobie wypracowaliśmy, z nami pozostanie. 24 lutego spowodował przyspieszenie wzrostu znaczenia strategicznego regionu leżącego na styku szlaków łączących północ z południem i wschód z zachodem. Nie wydaje mi się, że pokój spowoduje, iż znaczenie naszego regionu zmaleje. Wręcz przeciwnie, bardzo dobra opinia o województwie i jego mieszkańcach, dostrzeżenie jego wypracowanego przez ostatnie 30 lat potencjału gospodarczego – to są już rzeczy dokonane. Osoby, które tutaj przyjeżdżają, wiedzą nie tylko, gdzie leży Rzeszów, lecz także że jest to region, który ma dużo do zaproponowania. Kontekst odbudowy Ukrainy potęguje jeszcze rolę naszego województwa nie tylko w wymiarze tranzytowym. To jest obszar, który jawi się jako stabilny i bezpieczny do inwestowania. Czas, w którym żyjemy, to zatem zarówno zagrożenia związane z wojną, jak i nowe możliwości. ▀





# Gangster z Petersburga

*Władimira Putina nie należy traktować jak zwykłego polityka, który rozumuje w cywilizowanych kategoriach. Jest on raczej kimś w rodzaju szefa kryminalnego gangu, który kiedyś przejął kontrolę nad Petersburgiem, a dziś rozciągnął ją na całą Rosję*





KONRAD KOŁODZIEJSKI

**W**łaściwie nie wiadomo, w jakich okolicznościach Władimir Putin stał się politykiem. W latach 80. XX w. był niezbyt wyróżniającym się, szarym funkcjonariuszem wywiadu KGB, oddelegowanym w randze starszego asystenta na niezbyt prestiżową placówkę w Dreźnie. Pracował tam pod przykrywką w miejscowym Domu Przyjaźni Niemiecko-Sowieckiej.

Dzisiaj są tworzone wokół jego pobytu w NRD rozmaite legendy, które mają dowodzić, że był sowieckim wcieleniem Jamesa Bonda – że jakoby osobiście nadzorował super-tajne akcje przeprowadzane na Zachodzie przez terrorystów i dywersantów. Jednak dostępne informacje mówią zupełnie coś innego. Nawet jeżeli miał cokolwiek wspólnego z tego rodzaju akcjami, to najwyżej jako pośrednik przekazujący dalej rozkazy przysyłane z moskiewskiej centrali na Łubiance. Jego podstawowym zadaniem miało być bowiem skrupulatne przeglądanie danych dotyczących cudzoziemców przebywających w Dreźnie pod kątem możliwego werbunku – przede wszystkim obywateli RFN. Była to więc bardziej funkcja techniczna niż operacyjna.

Na początku 1990 r. Putin powrócił z NRD i pojawił się w Petersburgu (wówczas jeszcze Leningradzie) – mieście, w którym się urodził i wychował. KGB zleciło mu tu zadanie, które wykonywał jeszcze przed wyjazdem do NRD – miał prowadzić rozpoznanie cudzoziemców i wrogich elementów. Nie mógł narzekać na beczynność, bo Związek Sowiecki mocno się już chwia i w Leningradzie co chwila dochodziło do rozmaitych pikiet i demonstracji. Zachowało się do dziś zdjęcie z tamtego okresu, na którym osobnik w cywilu – podobny z wyglądu do Putina – nadzoruje milicjantów obezwładniających na ulicy jakichś manifestantów.

Nieoczekiwanie jednak ten szary kagiebiści zmienił profesję i w maju 1990 r. rozpoczął pracę w nowo wybranej radzie miejskiej Leningradu, kierowanej przez opozycyjnego mera Anatolija Sobczaka. Początkowo Putin jest jego doradcą, a później – kiedy Sobczak zostaje wybrany merem miasta – staje się jego zastępcą odpowiedzialnym m.in. za inwestycje zagraniczne.

Są różne teorie na temat pojawienia się Putina we władzach miejskich, a więc tego momentu w jego biografii, od którego rozpoczęła się jego droga na najwyższe szczyty władzy w Rosji. Jedną z nich głosi, że został oddelegowany przez KGB, które chciało mieć wgląd w pracę magistratu. Sobczak mimo dysydenckiego rodowodu miał doskonale zdawać sobie

Putin dzięki swojej pracy w magistracie i kontaktom ze światem przestępczym zaczął się bogacić. Zarabiał w ten sposób nawet na tankowaniu samolotów pasażerskich na lotnisku Pułkowo

z tego sprawę, bo sam był wiele lat wcześniej zwerbowany przez KGB jako tajny współpracownik. Zatem Putin według tej hipotezy miał być kimś w rodzaju oficera prowadzącego Sobczaka.

Druga teoria – zresztą niesprzeczna z pierwszą – wskazuje, że głównym zleceniodawcą Putina nie było KGB, lecz szef miejscowej organizacji przestępczej Ilja Traber, ps. Antykwariusz. Gangsterzy chcieli mieć bowiem kontrolę nad miastem, a miał im ją zapewnić właśnie Putin.

## PETENT MAFII

Warto pamiętać, że w 1990 r. trwała w Rosji wyjątkowo brutalna walka o zasoby. Na gnijącym trupie Związku Sowieckiego bezpardonowo rywalizowały z sobą rozmaite grupy: komunistyczna

nomenklatura, komsomolcy, kagiebiści i gangsterzy. Niekiedy te grupy wchodziły z sobą w sojusze lub wręcz wzajemnie się przenikały.

Zdaniem Dmitrija Zapolskiego, autora książki „Putinburg”, który zmarł dwa lata temu w Rydze w nie do końca jasnych okolicznościach, KGB często współpracowało z gangami kryminalistów – pomysłodawcą tego rodzaju kooperacji miał być gen. Filipp Bobkow – do 1983 r. naczelnik 5 Zarządu Głównego KGB odpowiadającego za walkę z obcą dywersją.

Tak też było w Leningradzie, gdzie zwerbowany przez KGB kryminalista Michail Mirilaszwili, ps. Misza Kutaisski (pochodził z żydowskiej rodziny w gruzińskim mieście Kutaisi), stał się jednym z głównych łączników między służbami specjalnymi i gangsterami. To właśnie Mirilaszwili odkrył dzisiejszego szefa wagnerowców – kryminalistę Jewgienija Prigożyna – i przedstawił go w latach 90. Putinowi, a ten bardzo go polubił. Na marginesie warto zauważyć, że podobne procesy jak w Rosji zachodziły wtedy i w innych państwach postkomunistycznych, chociażby w Polsce, gdzie Służba Bezpieczeństwa również weszła w rodzaj przestępczej wspólnoty interesów z kryminalistami.

Przyciąganie obu grup było wzajemne. W schyłkowym Związku Sowieckim funkcjonariusze KGB, milicji i zdemobilizowani żołnierze bardzo chętnie przechodzili na służbę do gangsterów, którzy doceniali ich kontakty, znajomość broni lub jak w przypadku żołnierzy po prostu sprawność fizyczną.

Największym gangiem w ówczesnym Leningradzie była grupa tambowska, reprezentowana w mieście przez Aleksandra Małyszewa (ps. Małysz) oraz Władimira Kumarina (ps. Kum), którego nazywano nawet „nocnym gubernatorem” miasta. Członkiem tego gangu, obejmującego swoim zasięgiem całą północno-zachodnią Rosję, był również wspomniany wcześniej Ilja Traber, na którego usługach miał być Putin. Według jednej z hipotez Putin miał się poznać z Traberem przez wspólnego znajomego – oficera KGB.

Traber zaczynał jako kierownik leningradzkiej piwiarni o wdzięcznej nazwie





Żiguli. Okradał tam klientów, zwykle miejscowych żuli i lumpów, sprzedając im rozcieńczone piwo lub – co jest już szczególnie obrzydliwe – nalewając im do kufli niedopite zlewki po poprzednich gościach. Jak wspominał Siergiej Kosyriew – ochroniarz Trabera, zdembilizowany w 1988 r. żołnierz sowieckiej piechoty morskiej – dzięki tym „oszczędnościom” wszyscy pracownicy piwiarni zarabiali dziennie dodatkowo po 10 rubli na rękę, co dawało im drugą nieoficjalną pensję w miesiącu.

Potem Traber zmienił branżę, otwierając antykwariat (stąd jego pseudonim Antykwariusz). W rzeczywistości była to przykrywka dla przemytu m.in. starych ikon czy dzieł sztuki. Do tego antykwariatu miał na początku lat 90. przychodzić Putin. Traber kazał mu podobno regularnie czekać na siebie na zapleczu sklepu. Dzięki temu dla wszystkich członków gangu było jasne, kto tu jest szefem, a kto petentem. Co ciekawe, dziś Putin notorycznie spóźnia się na oficjalne spotkania – być może bierze przykład ze swojego ówczesnego kryminalnego mentora i również chce pokazać, kto tu rządzi.

## PRZEMYTNICY I BANKIERZY

W tamtych czasach dochodowe biznesy w Rosji mogli otwierać tylko niektórzy – zazwyczaj ci, którzy mieli na to zgodę władz. Nomenklatura w przedsiębiorstwach państwowych uwłaszczała się, tworząc w swoich zakładach spółki akcyjne lub firmy joint venture – zwykle z rozmaitymi podsuniętymi przez władzę lub KGB spryciarzami (jednym z nich był np. Borys Bieriezowski). Swoje firmy mogli także zakładać komsomolcy – przypomnijmy, że wyróżniający się członek Komsomołu Michaił Chodorkowski zaczynał od dyskoteki.

Oprócz takich dyskotek jak grzyby po deszczu wyrastały w ówczesnym Związku Sowieckim salony wideo – znane także w PRL kluby, w których wyświetlano pirackie filmy. Był to niezły biznes, nic więc dziwnego, że zainteresowały się nim również gangi.

W 1988 r. utworzono w Wyborgu firmę Rossijskoje Wideo. Jej założycielami byli reżyser Dmitrij Roźdiestwenski i jego

przyjaciół szkolny – kaskader filmowy Władisław Reznik (obecnie deputowany do Dumy z ramienia putinowskiej Jednej Rosji). Pierwszy z nich odpowiadał za repertuar, a drugi – za finanse.

Reznik jako „księgowy” postanowił pozbyć się konkurencji i rozwinąć skrzydła, więc dogadał się z mafią tambowską. W zamian za udział w dochodach gangsterzy mieli „chronić” jego salony i usunąć konkurentów. Przestępcy

Są różne teorie na temat pojawienia się Putina w polityce. Jedna z nich głosi, że został oddelegowany do władz Petersburga przez KGB, druga – że przez mafię. Możliwe są obie wersje

zwietrzyli wielki potencjał drzemiący w małej firmie. Szybko przekształciła się ona w duży, mafijny koncern zajmujący się produkcją pirackich kopii filmów, pornografią, a także praniem brudnych pieniędzy i przemytem. Wyborg leżał przecież nieopodal granicy z Finlandią. Przekupiono więc celników i stworzono tu kanał przerzutowy.

Na początku lat 90. Rossijskoje Wideo było firmą, w której spłotyły się interesy kryminalistów i KGB, co doskonale symbolizował prezes – wspomniany już Michaił Mirilaszwili, gangsterzy z mafii tambowskiej oraz „opiekun” tego przestępczego interesu, płk KGB Władimir Grunin.

Dzięki swoim koneksjom bandycka firma zdołała wykupić udziały w Banku Rossija, założonym przez komitet leninградzkiej partii komunistycznej KPZR. Bank pozwalał gangsterom pracować pieniądze i oficjalnie finansować działalność.

Po sierpniowym puczu Janajewa w 1991 r. działalność należącego w większości do KPZR banku zawieszono. Oficjalnie bank z ważną licencją oraz z pozostawionymi przez komunistów

pieniężnymi miał zostać zreformowany pod kontrolą władz miejskich Petersburga. Nie będzie chyba dla nikogo zaskoczeniem, że mer miasta Anatolij Sobczak zlecił to zadanie swojemu zastępcy Putinowi. Ten przystąpił do pracy z dużą energią i wskazał nowych udziałowców – grupkę pracowników miejscowego Instytutu Fizyczno-Technicznego im. Abrama Ioffe, którzy korzystając z zasobów uczelni, prowadzili własną działalność gospodarczą. Do tej grupy, w której skład wchodził m.in. Jurij Kowalczyk, bracia Andriej i Siergiej Fursenkowie, dołączył jeszcze w charakterze opiekuna ze służb Władimir Jakunin.

Te nazwiska są doskonale znane każdemu, kto interesuje się putinowską Rosją. Kowalczyk, nazywany zaufanym bankierem Putina, jest dziś prezesem i głównym udziałowcem Banku Rossija. Jest także największym udziałowcem największego rosyjskiego browaru Bałtika, a do niedawna pełnił funkcję dystrybutora niemalże całej zachodniej produkcji filmowej w Rosji. Należy do najbliższego kręgu Putina i to on miał zdaniem dziennikarza Michaiła Zygarę doradzać kremlowskiemu dyktatorowi przed inwazją na Ukrainę. Z kolei czekista Jakunin był wieloletnim prezesem kolei rosyjskich oraz jednym z promotorów rosyjskiej propagandy na Zachodzie. Jego syn został niedawno zatrzymany w Norwegii pod zarzutem szpiegostwa. Jak więc widać, bardzo ciekawe towarzystwo.

Oczywiście Putin i jego zaufani kumple nie byliby w stanie wziąć pod kontrolę petersburskiego banku, gdyby nie zgoda gangsterów, którzy już wcześniej posiadali w nim udziały jako spółka Rossijskoje Wideo. Mafia chciała mieć własny bank, a Putin miał im w tym pomóc. Potem wszystko się odwróciło, mafię wyrzucono z interesu, a Putin przez swoich ludzi przejął cały bank, nad którym ma osobistą pieczęć do dzisiaj.

## FETYSZ PIENIĘDZY

Jednak wtedy, na początku lat 90., Putin był zbyt słaby, by rzucić wyzwanie swoim kryminalnym współnikom. Jednocześnie jednak jako ważna persona z magi-

stratu był gangsterom bardzo potrzebny. Obie strony na tej współpracy korzystały i zarabiały.

Pod koniec 1991 r. Putin zaproponował zakup żywności dla zubożałej ludności miasta ze środków pochodzących z eksportu zasobów surowcowych Petersburga. Plan został wdrożony w życie, a Putin zaczął udzielać koncesji eksportowych miejscowym firmom. Szkopuł tkwił w tym, że pozwolenia otrzymywały firmy krzaki, o których nigdy nikt nie słyszał, a wyceny eksportowanych surowców były ewidentnie zaniżone.

Oczywiście nikt w Petersburgu nigdy nie zobaczył żadnej żywności. Pieniądze ze sprzedaży paliw trafiły bowiem do kieszeni gangsterów, którzy podzielili się sutą prowizją z pomysłodawcą akcji. Michaił Frejdzon, jeden z rosyjskich biznesmenów współpracujących wtedy z mafią tambowską, zapamiętał Putina jako człowieka „zaślepionego niesamowitą chciwością, fetyszem pieniędzy”.

Nic dziwnego, bo Putin dzięki swojej pracy w magistracie i kontaktom ze światem przestępczym zaczął się wreszcie bogacić. Jako urzędnik zajmujący się m.in. wydawaniem licencji przekazał większość stacji benzynowych i magazynów paliwowych w Petersburgu w ręce szefa mafii tambowskiej Kumarina, za co dostawał oczywiście swoją dolę. Zarabiał w ten sposób nawet na tankowaniu samolotów pasażerskich na lotnisku Pułkowo.

Putin miał swoich stałych łączników z gangami – w przypadku mafii tambowskiej był to jego trener dżudo Leonid Uswiatow, z kolei w firmie Rossijskoje Wideo o interesy Putina dbał były zapasnik, gangster Giennadij Pietrow. Obaj łącznicy Putina byli tzw. autorytetami – czyli ludźmi wysoko postawionymi w przestępczej hierarchii. Obaj też podobnie jak Putin trenowali sporty walki, które w ZSRS były szczególnie popularne wśród kryminalistów.

Jednak im pozycja Putina była wyższa, tym bardziej unikał bezpośrednich kontaktów z kryminalistami. Skończyły się jego wizyty na zapleczu antykwariatu, do takich zadań znalazł bowiem specjalnego człowieka, który nazywał się Roman Cepow.

Cepow był dawnym oficerem, politrukiem w sowieckich wojskach wewnętrznych. Pod koniec lat 80. zwolnił się z wojska i zebrał wokół siebie grupkę byłych żołnierzy i przeróżnych bandytów, z których stworzył firmę ochroniarską Baltic-Escort. Byli to ochroniarze wyłącznie z nazwy, w rzeczywistości bowiem zajmowali się wyludzaniem haraczy. Ich szkoleniem zajmowali się zaprzyjaźnieni funkcjonariusze 9 Zarządu Głównego KGB – późniejszego FSO (Federalnej Służby Ochrony, której zadaniem jest ochrona najwyższych władz), a wśród nich Wiktor Zołotow – obecny szef putinowskiej Rosgwardii, znany w polskim internecie jako „generał Denaturów”. Zołotow, który ochraniał w tym czasie mera Sobczaka, zaprzyjaźnił się z Putinem i zapewne on poznał go z Cepowem.

Zadanie Cepowa było proste. Chodził on do różnych bandytów i oferował im za łapówki „oficjalną” ochronę ze strony władz. Te łapówki szły następnie – praw-

Michaił Frejdzon, jeden z rosyjskich biznesmenów współpracujących z mafią tambowską, zapamiętał Putina jako człowieka „zaślepionego niesamowitą chciwością, fetyszem pieniędzy”

dopodobnie za pośrednictwem Putina – do kieszeni szefów milicji, prokuratury itp. Dzięki temu bandyci, którzy skorzystali z tej oferty, byli bezkarni. Z kolei Cepowi i Putin mieli zarabiać na prowizji pobieranej od zbieranych regularnie łapówek. Obaj handlowali także awansami w służbach. Kapitan milicji, który chciał zostać majorem, musiał za to zapłacić i podpisać swoją rezygnację in blanco. To był rodzaj polisy ubezpieczeniowej dla Putina i zarazem jego narzędzie kontroli nad służbami w mieście. Nikt nie mógł się zbuntować, bo wówczas jego wymuszona rezygnacja zostałaby przyjęta.

Taki proceder był o tyle ułatwiony, że w latach 90. newralgiczne stanowiska w służbach zajmowali dawni znajomi Putina z KGB. Szefem petersburskiej FSB był gen. Wiktor Czerkiesow, za walkę z przemytem w mieście odpowiadał Wiktor Iwanow, a w Moskwie nad walką z korupcją czuwał od 1994 r. m.in. Nikołaj Patruszew, któremu podlegały wewnętrzne inspekcje w służbach. Dziś Patruszew jest sekretarzem putinowskiej Rady Bezpieczeństwa i zaufanym Putina.

W ten sposób Putin stworzył w Petersburgu coś na kształt własnego gangu, który z roku na rok stawał się coraz potężniejszy.

## SKOK NA KREML

Jednym z największych osiągnięć tego gangu było przekształcenie bazy morskiej w położonym obok Petersburga mieście Łomonosow w wielki punkt przetrzutowy, w którym pod ochroną wojska szmuglowano przez granicę spirytus Royal, kokainę z Kolumbii, podrabiane papierosy, drewno, metale kolorowe, produkty ropopochodne i mnóstwo innych cennych dóbr. W zamian za przemykanie na to oka admirałowie zarządzający bazą dostawali od gangsterów drogie mieszkania lub gotówkę. Brudne zyski lokowano w należącym do gangu Banku Ros-sija i tam też je prano.

Gdy w 1996 r. Anatolij Sobczak stracił w wyborach stanowisko mera, również Putin musiał opuścić petersburski magistrat. Ale wtedy był już zupełnie kimś innym niż pięć lat wcześniej. Część zarobionych pieniędzy zainwestował wraz ze swoimi kompanami w spółdzielnię Ozero, która miała zajmować się budową domków letniskowych. W rzeczywistości członkowie spółdzielni tworzyli najbliższy krąg Putina, rodzaj mafii, która cztery lata później dokonała swojego największego skoku – na Kreml.

Ci, którzy się zużyli lub którym uderzyła woda sodowa do głowy, byli likwidowani. W 2004 r. Roma Cepow – dawny rekruter Putina – zmarł w meczarniach otruty polonem. Zginęło także wielu innych świadków wydarzeń z lat 90. Dziś w Rosji o tamtym etapie w biografii Putina lepiej nie wspominać. Bo to kończy się źle. ➤





**JAKUB AUGUSTYN  
MACIEJEWSKI**

# Oczy ukraińskiej armii

*Okopy, ziemianki, bombardowania, ruiny, deportacje i gwałty są w tej inwazji niemal takie same jak w czasie I czy II wojny światowej. Nowym zjawiskiem rosyjsko-ukraińskiego konfliktu są walki dronów, prowadzone przez specjalne oddziały*

**N**ad ranem nie bardzo jest czas, by się zastanawiać, co za przekłety los cię właśnie spotyka. Opuszczona chata na obrzeżach wioski oddalonej o 6–7 km od rosyjskich pozycji, obdarte tapety, piec kaflowy ogrzewający izby jak sprzed 100 lat, siedmiu chłopów w niewielkim pokoiku na porwanych łóżkach polowych i cholerny budzik ustawiony na godz. 4.00. Dyżurny w kuchni podgrzewa wodę na kawę, wystawia chleb, ser i wędliny, a ty zakładasz stopniowo całe to wielokilogramowe oporządzenie. Kamizelka kuloodporna z gorszej klasy wkładami, metalowymi płytkami, w sumie 8 kg, do tego hełm, karabin, pasy z magazynkami, kieszonki na termowizor, torba ze sprzętem, powerbankami, starlinkiem. I jeszcze to, co najważniejsze: drony Mavic 3, które będą śledzić okopy wroga. Człowiek po pięciu godzinach snu, po nocy takiej samej jak 90 wcześniejszych, nad ranem zdaje się jeszcze spać i jedynie odruchowo, wyuczonymi ruchami sprawdza, czy na pewno cała elektronika załadowała się w nocy prądem z generatora na ropę, następnie myje się w zlewie, wypija czarną jak gleba kawę z menażki i liczy, czy wszyscy już są gotowi do wyjazdu. To codzienność aerorazwiedki – zwiadu powietrznego, operującego dronami.

## JAK NAJBLIŻEJ OKOPÓW WROGA

Problem polega jednak na tym, że ukraińska aerorazwiedka ma mniej dronów i są one gorszej jakości niż przeciwnika. Orkowie dysponują Orlanami własnej produkcji, mają ich niezliczone ilości. Sprzęt ten potrafi latać kilka kilometrów nad ziemią i z takiej wysokości robić precyzyjne zdjęcia, więc Ukraińcy są obserwowani uważnie i nie mogą takiego „ptaszka” zestrzelić. Najgorsze jest jednak to, że rosyjska aerorazwiedka może sobie takimi Orlanami sterować z odległości 10–15 km. A to oznacza, że taki żołnierz





może sobie siedzieć w ciepłym budynku naprawdę daleko za linią frontu, gdy zaś jego ukraiński rywal ma sprzęt, którzy lata czasem zaledwie na odległość kilkuset metrów. To oznacza, że obrońcy muszą często podchodzić pod same rosyjskie pozycje, muszą być tak blisko najeźdźcy, że widzą zokopów czy gruzówich hełmy. I to jest dla ukraińskiej aerorazwiedki niesłychanie niebezpieczne. Rosjanin nie tylko widzi ich drony, lecz także wie, że skoro nad nim lata ukraiński „ptaszek”, to i sternik musi być gdzieś blisko. Dlatego ukraiński zwiad wstaje jeszcze nocą, gdy jest ciemno, i próbuje się dostać do wcześniej upatrzonych kryjówek.

Ekipa rusza więc przez noc, akurat w stronę wschodzącego słońca. Wszyscy

jeszcze niedobudzeni, jedzie się zazwyczaj w milczeniu, po drodze mija się spalone do szczytu te samochody, których kierowcy nie mieli szczęścia – trafione pociskiem naprowadzanym przez drona, który zabija wszystkich pasażerów od razu. Wokoło ponury krajobraz przeoranej artyleryjskimi ostrzałami ziemi, biednymi donbaskimi wioskami, wyglądającymi jak przedwojenne miejscowości na Podlasiu – drewniane domostwa, płoty, czasem metalowe bramy, ale większość opuszczona, nadszarpana wojną.

Jedak na tej zniszczonej ziemi łatwiej o niepozorną kryjówkę dla aerorazwiedki. Jeden z samochodów naszej ekipy zatrzymuje się tuż przed mostem – pod którym ustawi się oddział sterujący dronami,

a drugi jedzie dalej – do ruin dawnej fabryki, gdzie z piwnic będą wypuszczane drony nad rosyjskie okopy – oddalone ledwie o 200 m.

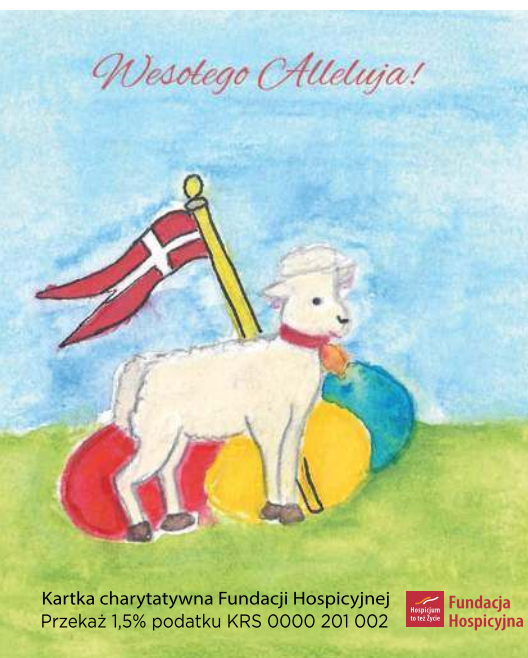
Ci pod mostem mają nieco bezpieczniej. Auto zatrzymuje się na chwilę, chłopaki obładowani sprzętem zrywają się z miejsc i biegną do kryjówek. Nie ma kwadransa, by nie było słycać wybuchu, aczkolwiek większość to ukraińskie strzały w rosyjską stronę: haubice, moździerz, czołgi, polskie Kraby. W betonowej wnęce mieści się 3–4 ludzi, jest ciasno, niewygodnie, a dyżur trwa ok. 8 godzin. Stąd do rosyjskich pozycji jest ponad kilometr, może nawet dwa, a kryjówka jest tak mocna, że Ukraińcy nawet nie drgną, gdy kilkadziesiąt metrów dalej jest „wchód”, czyli uderzenie pocisku.

Wyciągają urządzenia z ekranami, wypuszczają drony i zaczyna się żmudna, pełna skupienia obserwacja.

## CHIŃSKIE MAVIKI Z POLSKICH SKLEPÓW

Szamana znam już prawie od roku, rozmawialiśmy już na wszystkie tematy (to on umożliwił tygodnikowi „Sieci” rozmowę z ukraińskim muzykiem na froncie Andriem Chlywniukiem), ale teraz mnie w ogóle nie słyszy, pełna koncentracja. W rękach wyświetla mu się widok z góry na rosyjskie okopy. Chińskie Maviki spisują się nieźle, są często kupione w zwykłych polskich hipermarketach i przywożone przez

REKLAMA



Kartka charytatywna Fundacji Hospicyjnej  
Przekaż 1,5% podatku KRS 0000 201 002

Fundacja  
Hospicyjna

Grafika świąteczna przygotowana przez Anię lat 10, wolontariuszkę Fundacji Hospicyjnej

Z okazji Świąt Wielkiej Nocy  
zyczymy  
wiele radości i spokoju,  
sukcesów w życiu osobistym, jak i zawodowym  
oraz spełnienia najskrytszych marzeń.  
Wesołego Alleluja!



KASA KRAJOWA

Kwiecień 2023

eprasa.pl 31a529f314





wolontariuszy na ukraiński front. Ich obsługę ukraińska aerorazwiedka doprowadziła do perfekcji, chłopaki już nie tyle kierują urządzeniami, ile wczuwają się w ten sprzęt, jakby to była część ich ciała. Wiedzą, kiedy za zimno, za wysoko, za mocno wieje, czy wystarczy miejsca, by wystartowały, czy śmigielka są odpowiednio czule składane lub rozkładane.

„Aerorazwiedka to oczy naszej armii” – mówił w lipcu wicepremier i minister transformacji cyfrowej Mychajło Fedorow, gdy przemawiał na uroczystości wręczenia dyplomów nowym aerorazwiedczykom pod Kijowem. To hasło jest często powtarzane, nie sposób zrobić z tymi żołnierzami wywiadu bez usłyszenia dumnego: „Jesteśmy oczami armii”.

„Oczy” jednak poza sprzętem mają sporo przyziemnych problemów. Gdy ziemia jest skuta mrozem, a kryjówka za mała, przez wiele godzin trzeba kucać lub siedzieć na lodowatej powierzchni. Człowiek marznie, drętwieją mu kończyny,

Co ciekawe, najlepsi droniarze to często gamerzy, gracze, którzy pół życia spędzili na ciągłym graniu na komputerze, zwłaszcza w gry sprawnościowe i tzw. strzelanki. Kiedyś wcielali się wirtualnych żołnierzy np. II wojny światowej, teraz walczą w realu, mając tylko jedno życie

specjalnym powodzeniem cieszą się „podżopniki”, czyli chałupniczo przytroczone do spodni poduszki izolujące od zamrażającego betonu, kamienia, ziemi. Aerorazwiedczyk, który jest skoncentrowany na śledzeniu rosyjskich pozycji, wyłącza się z odczuwania bólu, jest jak w odrętwieniu, ale podczas przerwy wszystkie niedogodności dają się we znaki.

Mężczyźni obserwują więc wroga, sygnał z dronów przesyłają do bazy, gdzie siedzi koordynator widzący relacje z 10–12 dronów. W ten sposób można kompleksowo obserwować cały odcinek frontu i meldować wedle potrzeby, by artyleria ostrzelała rosyjski obiekt. Droniarze

widzą wybuchy i korygują uderzenie: 50 m na północ, 20 m na zachód. I orkowie płoną w okopach. Oczy ukraińskiej armii surowo patrzą na małe, rosyjskie ludziki uwijające się w ogniu pocisków.

## „PTICZKA” W KORONIE DRZEWA

Ale oprócz oddziału pod mostem jest jeszcze grupa z innymi dronami, takimi, które ulecą na ledwie kilkaset metrów. Gringo i Mnich swobodnie czołgają się wśród kikutów drzew, bo w opuszczonej ziemiance są warunki, by wypuścić drona, zrobić serię zdjęć pozycji wroga i wrócić w bezpieczniejsze miejsce. Jednak tego dnia mężczyźni mieli pecha. Ich „pticzka” utknęła w koronie drzewa. W normalnych warunkach można by trząść drzewem, ale nie 500 m od Rosjan. Mężczyźni czołgają się pod drzewo i zaczynają – półleżąc – ścinać je toporkami. Nagle słychać świst, przyciskają się do ziemi, głowę w hełmie zakrywają dodatkowo rękami, pocisk trafia gdzieś dalej, obaj dostają jakby zastrzyk dodatkowej energii do ścięcia drzewka. Dron opada wraz z gałęziami, pora więc szybko zabrać sprzęt i ewakuować się na tyły. Tego dnia niewiele sfotografowali, ale to miejsce na jakiś czas jest już zdemaskowane, lepiej nie ryzykować i lekkomyślnie tam nie wracać przez kilka dni.

Co ciekawe, najlepsi droniarze to często gamerzy, gracze, którzy pół życia spędzili na ciągłym graniu na komputerze, zwłaszcza w gry sprawnościowe i tzw. strzelanki. Kiedyś wcielali się wirtualnych żołnierzy np. II wojny światowej, teraz walczą w realu, mając tylko jedno życie. Przez te kilkanaście miesięcy szybko przestawili się z wygodnych foteli przy biurkach na okopy i pola Donbasu. Rzadko narzekają – nie tyle dlatego, żeby było im łatwo. Raczej permanentna koncentracja i częste zmęczenie nie pozwalają im na kaprysy czy wydziwianie. Powrót po całym dniu skupienia nad małym ekranem, od którego zależy obrona całego odcinka frontu, opadnięcie adrenaliny, mnóstwo drobniagów do przygotowania na następny dzień – to wszystko trzyma w dyscyplinie i wysokiej subordynacji. Zwłaszcza że noce są coraz krótsze, więc i wstać nazajutrz trzeba jeszcze wcześniej.

# Jak wygląda stan polskiej gospodarki cyfrowej?

*„Zmiana nigdy nie była tak szybka jak teraz i nigdy już nie będzie tak wolna” – takie zdania dotyczące rozwoju cyfryzacji na świecie można znaleźć w raportach. „Pociąg już ruszył ze stacji i musimy się załapać do ostatniego wagonu” – mówią z kolei eksperci o stanie polskiej gospodarki cyfrowej. BGK postanowił przyjrzeć się tematu*

**K**ażdy miał okazję poczuć na własnej skórze proces cyfryzacji podczas pandemii, która zmusiła przedsiębiorstwa do implementacji oprogramowania umożliwiającego zdalną pracę. Obecnie taki model pracy stał się już normą, a nie benefitem proponowanym przez pracodawcę, a firmy coraz częściej korzystają z wirtualnych biur, co znacznie obniża koszty bez spadku produktywności. Model zdalnej pracy z nami pozostał, jednak jest to tylko ułamek tego, co implementacja technologii oferuje przedsiębiorstwu.

W zależności od doboru technologii korzyści płynące z cyfryzacji, automatyzacji czy robotyzacji działają na kilku płaszczyznach. Jedną z nich jest zwiększenie produktywności i zmniejszanie kosztów. Kolejnym może być zwiększenie konkurencyjności przez szybsze wprowadzanie na rynek lepiej dopasowanych produktów, co wpływa na wzrost sprzedaży. W badaniu „Robots and firms”<sup>1</sup> firmy, które przeszły proces robotyzacji, zwiększyły produkcję o 20–25 proc., zmniejszając tym samym koszty pracy o 5–7 proc., odnotowały również wzrost liczby miejsc pracy o 10 proc. Nastąpił tutaj również transfer pracowników z firm, które nie inwestowały w robotyzację. Korzyści płynące z inwestycji w technologie są więc bardzo duże.

Rozwój cyfryzacji w przedsiębiorstwach ma bezpośredni wpływ na zwiększenie konkurencyjności naszego kraju w skali globalnej i rozwój PKB. Może pozwolić to na przyciągnięcie większej liczby zagranicznych inwestorów. Inne kraje, mając na uwadze powyższy pozytywny wpływ, tworzą strategię rozwoju cyfryzacji, by polepszyć swoją pozycję – rozwój technologiczny w Polskich przedsiębiorstwach jest zatem nieunikniony.

Jak wygląda więc stan polskiej gospodarki cyfrowej? Posiłkując się publikowanym co roku raportem Komisji Europejskiej, badającym stan gospodarek cyfrowych państw członkowskich Unii Europejskiej według indeksu DESI (Digital Economic and Society Index), widzimy, że Polska jest na 24. miejscu. Od 2015 r. miejsce naszego kraju w rankingu się nie zmienia, a analizując wyniki z poprzednich

lat, można dostrzec, że Polska jest opóźniona w stosunku do UE o trzy lata.

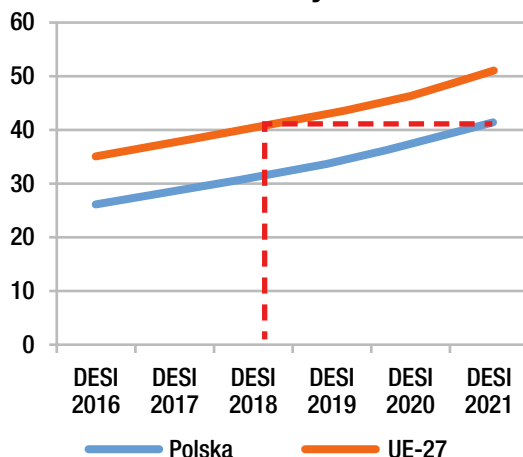
Badając trend, nasuwa się wniosek – bez silnego bodźca, który przyspieszyłby rozwój cyfryzacji w Polsce, nie zaczniemy dorównywać średniemu wynikowi UE, co może przełożyć się na spadek konkurencyjności Polski w Europie.

Transformacja cyfrowa wiąże się z przygotowaniem odpowiedniej strategii, wyboru właściwych technologii, które będą wspierać procesy działające w firmie, modyfikacji modelu biznesowego oraz oczywiście nakładów kapitałowych i przeszkolenia pracowników. Proces wymaga zatem odpowiedniego przygotowania, co może opóźnić podjęcie decyzji kadry kierowniczej o wdrożeniu transformacji firmy.

Analizując raporty i rozmawiając z przedstawicielami rynku, wspólnym mianownikiem, który tworzy barierę hamującą integrację technologii w firmach, są brak świadomości i kompetencje cyfrowe przedsiębiorców. Kadry zarządzające często mają ograniczoną wiedzę o konkretnych technologiach oraz korzyściach płynących z inwestycji w ich wdrożenie. Wielu przedsiębiorców widzi więc proces cyfryzacji jako koszt, a nie inwestycję. Kolejną barierę tworzą sami pracownicy, którzy boją się utraty pracy i bojkotują plany inwestycyjne.

BGK po zbadaniu tego tematu widzi dużą potrzebę rynkową i obecnie stawia pierwsze kroki w działalności na rzecz stworzenia systematycznego podejścia do rozwoju polskiej gospodarki cyfrowej. Już teraz w ofercie banku znajdują się produkty wspierające inwestycje w integrację technologii do przedsiębiorstw, niektóre z nich wykorzystujące środki płynące z UE. A bank na tym nie poprzestaje i nieustannie poszukuje nowych rozwiązań, których część – mamy nadzieję – wprowadzić już w tym roku. 

**DESI – zmiany w czasie**



Źródło: DESI 2021, European Commission

<sup>1</sup>The Economic Journal, 131 (August), 2553–2584 <https://doi.org/10.1093/ej/ueab009> © 2021 Royal Economic Society. Published by Oxford University Press.

All rights reserved. For permissions please contact [journals.permissions@oup.com](mailto:journals.permissions@oup.com).

Advance Access Publication Date: 30 January 2021



# Bóg nie opuścił Ukrainy

*Abp Światosław Szewczuk szuka głębszych wymiarów rosyjskiej inwazji, gdy mówi o diabelstwie wojny, konflikcie między światłem a ciemnością, porażce ludzkości*



**MILENA KINDZIUK**

**O**d pierwszego dnia wojny, od 24 lutego 2022 r., w swoich codziennych katechezach, na bieżąco nagłaśnianych medialnie, zwierzchnik Ukrainiejskiej Cerkwi Greckokatolickiej głosi niestrudzenie, że wojna na Ukrainie toczy się na różnych poziomach i ma też wyraźny wymiar duchowy. Najmocniej jednak ta idea wybrzmiała w książce, która właśnie się ukazała, pt. „Bóg nie opuścił Ukrainy”. Jest to wywiad rzeka, który z abp. Szewczukiem przeprowadził Krzysztof Tomasik, szef działu zagranicznego Katolickiej Agencji Informacyjnej. „To przejmujące i pełne autentyczności świadectwo zwierzchnika Ukrainiejskiego Kościoła Greckokatolickiego, który jest dziś ważnym autorytetem moralnym i duchowym Ukrainy” – napisał we wstępie abp Stanisław Budzik, metropolita lubelski.

## NIE MA JUŻ TAKIEJ ROSJI

Jasno Szewczuk ocenia postawę prawosławnego patriarchy Moskwy Cyryla, który głosił, że śmierć rosyjskich żołnierzy na wojnie z Ukrainą zmywa wszystkie grzechy i jest prawie równoznaczna z ofiarą Chrystusa. To wyraz prowojennej propagandy, dającej rosyjskiej inwazji quasi-religijną legitymację. A także stanowi jawne fałszowanie przesłania Ewangelii. Jak tłumaczy abp Szewczuk, patriarchat moskiewski uzasadnia przemoc i zbrodnie popełniane przez Rosjan na Ukrainie w sposób fałszywy, odnosząc się do zasad chrześcijańskich i wyraźnie popiera koncepcję tzw. ruskiego miru.

To niebezpieczna instrumentalizacja chrześcijaństwa. Hierarcha porównuje nawet ideologię ruskiego miru i usprawiedliwienia wojny na Ukrainie z ideologią Państwa Islamskiego: „Widać, że te dwie ideologie niczym się nie różnią. Patriarcha Cyryl powiedział to osobiście, że temu, kto umrze podczas napaści, zostaną odpuszczone wszystkie grzechy. Podobnie jak z ideologią Państwa Islamskiego, która była wielkim nieszczęściem islamu, ideologia ruskiego miru jest wielkim nieszczęściem chrześcijaństwa, niezależnie od wyznania czy Kościoła”. Dlaczego? Bo niszczy samo jądro wiary chrześcijańskiej, istotę Ewangelii.

Abp Szewczuk stawia też otwarte pytanie: czy współczesne chrześcijaństwo ma immunologiczną odporność na ruski mir? (Jest to zarazem pytanie o przyszłość Kościoła we współczesnym świecie). I rozprawia się z utrwalanym w literaturze i kulturze romantycznym obrazem Rosji, ukazującym piękno rosyjskiej duszy, Rosji Puszkina, Dostojewskiego: „Powiedzmy sobie szczerze, taka Rosja już nie istnieje. Takiej romantycznej Rosji i wysokich standardów etycznych już nie ma”. Jest „naród zbrodniarzy. Rosja zawsze musi dominować w świecie i zademonstrować swoją siłę w myśl zasady: »Jeśli nada, eto powtorim« (Jeśli trzeba, to powtórzymy). To jest choroba społeczna, rak drążący rosyjskie społeczeństwo”. Według arcybiskupa ideolodzy, którzy wykreowali machinę propagandową pod tytułem denazyfikacja i demilitaryzacja Ukrainy jako cel tej wojny, „podążają ściśle za pewnymi stereotypami propagandy hitlerowskiej Goebbelsa”.

## NA WOJNIE NIE MA ATEISTÓW

Abp Światosław Szewczuk przełamuje pewne stereotypy myślenia i podkreśla, że dziś na Ukrainie nie ma dwóch stron konfliktu: „Jest bowiem zbrodniarz i jego ofiara. Dlatego nie możemy szukać prawdy gdzieś pośrodku. Jest jedna prawda”. Wojna jest nie tylko zbrodnią przeciwko narodowi ukraińskiemu, to nie tylko strata różnych zasobów gospodarczych, to także porażka ludzkości. Arcybiskup przypomina słowa Jana Pawła II, który wypowiadał się o Holodomorze jako o tragedii ludzkości, dokładnie papież użył określenia „test ludzkości”. To samo dotyczy dzisiejszej Ukrainy. W tym kontekście kraj ten pokazuje, że „w świecie postprawdy prawda jest niezbędna, gdyż kłamstwo zabija. Że w świecie kompletnego relatywizmu są jakieś wartości, bez których życie nie ma sensu. Że jest coś, za co warto oddać życie”. O rosyjskiej inwazji trzeba więc mówić także w kategoriach moralnych. Abp Szewczuk mówi wręcz o diabelstwie wojny. O agresji Rosji – jako zbrodni. Używa kategorii dobra i zła. Mówi o wojnie między światłem a ciemnością. Dlaczego? – pyta go na łamach książki Krzysztof Tomasik. „Bo ta wojna

stanowi niesprawiedliwy napad Rosji na Ukrainę i czyni współczesny świat gorszym”.

Szewczyk wskazuje również, że Ukraińcy coraz mocniej szukają światła wiary. Do kościołów i cerkwi zaczynają przychodzić niemal wszyscy, także do tej pory wątpiący, nieochrzczeni. Dotyczy to także żołnierzy. Jak powiedział pewien wysokiej rangi wojskowy do abp. Szewczuka:





Proszę mieć pewność, że  
na froncie nie ma ateistów!

„Proszę mieć pewność, że na froncie nie ma ateistów!”. W lutym br. został zresztą opublikowany ogólnokrajowy raport Centrum im. Razumkowa, z którego wynika, że w 2022 r. wzrosła liczba wierzących na Ukrainie (do 74,1 proc.), zmniejszyła się liczba osób wahających się między wiarą a niewiarą (do 12,2 proc.), spadła liczba niewierzących (do 4,8 proc.). Coraz bardziej oczywiste jest więc, że potrzebne jest duszpasterstwo w czasie wojny.

## MODLITWA ŁAMIE ŻELAZO

Abp Szweczek często odwiedza rannych żołnierzy. „Kiedy widzą, że przychodzi do

nich kapłan, czują, że to świadek jakiejś innej rzeczywistości, że oni na tym swoim łożu boleści nie zostali zapomniani przez Pana Boga. W ich oczach można ujrzeć więcej optymizmu, niż człowiek mógłby się spodziewać. Dlatego gdyby mnie ktoś dziś zapytał, gdzie można zobaczyć przyszłe ukraińskie zwycięstwo – bo wszyscy powtarzamy, że wiemy, iż Ukraina zwycięży – to ja bym powiedział: spójrzcie w oczy ukraińskiego rannego żołnierza, który nie ma ręki, nie ma nogi, jest cały poparzony, ale jakie on ma spojrzenie! W jego oczach można zobaczyć zwycięstwo Ukrainy”.

O co najczęściej proszą duchownego żołnierze? Przede wszystkim o modlitwę. Abp Szweczek: „Żołnierz mówi, że bardziej niż chleba i ubrań potrzebuje naszej modlitwy. I to ona staje się wówczas potężną siłą! Modlitwa łamie żelazo – mówią ludzie”.

Ukraińcy na co dzień żyją w warunkach, w których nie ma żadnej pewności. Nie wiedzą, czy nadejdzie jutro. „W każdej chwili może eksplodować raketa i nasze życie dobiegnie końca. Każdego dnia żyjemy w gotowości na śmierć. Dla nas jest to czas kształtowania wysokich standardów duchowych, ponieważ codziennie musimy być gotowi na to, by stanąć przed obliczem Pana. Często korzystamy ze spowiedzi. Ludzie tłumnie przychodzą do kościołów. Usiłujemy żyć Eucharystią, w stanie łaski uświęcającej, ponieważ każda chwila może być tą ostatnią”.

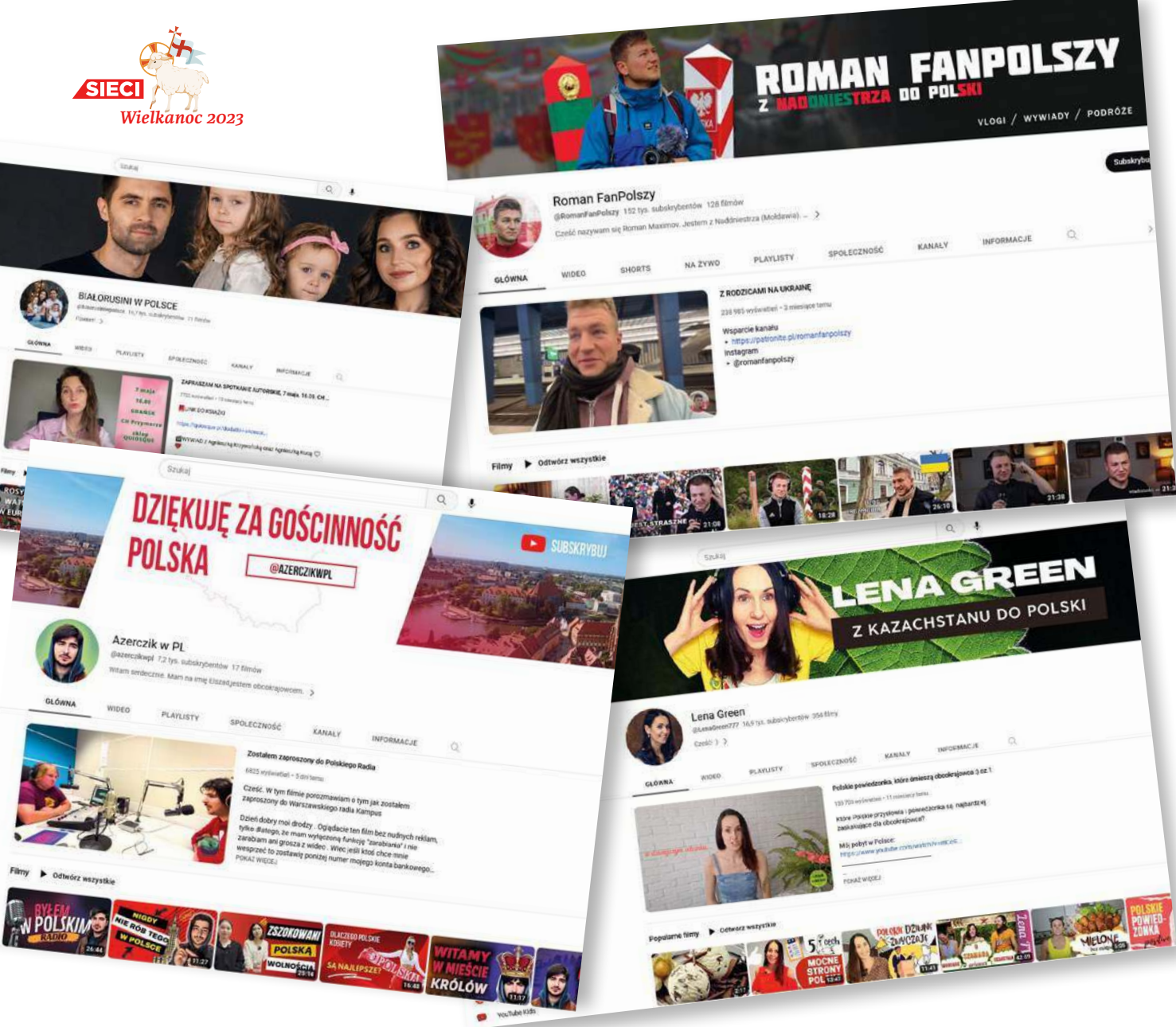
Zdaniem abp. Szweczuka Ukraina ma do spełnienia chrześcijańską misję: wskazywać współczesnemu światu, jak rozróżniać dobro i zło, mówić, jaka jest prawda, jakie miejsce winna zajmować Ewangelia w życiu człowieka. „Bóg jest dziś dla Ukraińców punktem oparcia, od Niego czerpią nadzieję” – przyznaje zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, który obecnie jest na Ukrainie wyraźnym autorytetem moralnym i duchowym.

Kilka dni temu zwierzchnik abp Szweczek uroczystie otworzył Kijowie Rok Kardynała Lubomyra Huzara. W jakim celu? Odbudowy i zwycięstwa Ukrainy. A także łnowy duchowej. Podczas liturgii soborze katedralnym Zmartwychwstania Chrystusa (gdzie spoczywają doczesne szczątki kardynała Huzara), jak podaje KAI, wezwał do zacerpnienia sił duchowych: „Błogosławiony Lubomyrze, zaśpiewaj nam pieśń pokoju i miłości! Pomóż nam odnaleźć to życiodajne źródło siły Bożej, które Pan włożył w serce Ukrainy [...]”. W tym roku jak współczesny Mojżesz naszego narodu poprowadź go do zwycięstw pokoju nad wojną i miłości nad nienawiścią”. Czyli do zwycięstwa dobra nad siłami zła.

„Bóg nie opuścił Ukrainy.  
Abp Światosław Szweczek w rozmowie  
z Krzysztofem Tomasikiem”,  
Wydawnictwo WAM, Kraków 2023







# Polska: kraj wielkiego zdziwienia

*To, co najbardziej dziwi przybyszów ze Wschodu, nieważne z Ukrainy, Białorusi czy Azerbejdżanu, to właśnie stan naszej wsi i małych miasteczek, często uznawanych za prowincjonalne*

**W** globalnym rankingu soft power, corocznie sporządzanym przez firmę konsultingową Brand Finance, Polska w ostatnim zestawieniu awansowała o siedem pozycji i obecnie zajmuje 33. miejsce. Taki jest wynik 100 tys. ankiet i rozmów przeprowadzonych ze 100 tys. respondentów na całym świecie. Pod względem atrakcyjności kulturowo-cywilizacyjnej na czele świata stoją Stany Zjednoczone, potem jest Wielka Brytania, a na trzecim miejscu Niemcy. My zawdzięczamy awans przede wszystkim naszej postawie wobec uchodźców z Ukrainy, czym zadziwiliśmy wszystkich.

O Polsce zaczęto mówić lepiej, w mediach pojawiły się pozytywne, a nie tylko krytykujące naszą politykę wewnętrzną i reformę sądownictwa reportaże i artykuły (pisane zresztą najczęściej – co smutne – przez Polaków). Zostaliśmy dostrzeżeni, stąd awans. 33. miejsce w światowym rankingu nie cieszy, bo jeśli weźmiemy pod uwagę siłę naszej gospodarki, to powinniśmy znaleźć się o kilkanaście lokat wyżej, ale by przesunąć się w tym zestawieniu, wzmacniając też nasze możliwości oddziaływania również w polityce zagranicznej, bo soft power przekłada się i na ten obszar, powinniśmy robić więcej. Ale też dostrzec to, że są państwa na świecie, zwłaszcza w obszarze postsowieckim, których obywatele uważają, że Polska jest nie tylko Europą, lecz także wzorem do naśladowania. Państwem, w którym żyje się bezpiecznie, wygodnie i szybko (ten zwrot regularnie przewija się w relacjach).

Obejrzałem kilkadziesiąt filmików zamieszczanych przez przybyszów ze Wschodu na YouTube. Mówią po rosyjsku, niektórzy już po polsku, bo szybko się uczą i chcą porozumiewać się w naszym języku, inni nagrywają swoje relacje po ukraińsku czy angielsku. Oczywiście to nie jest reprezentatywna próba. Filmiki nagrywają najczęściej ludzie młodzi, łatwiej adaptujący się do nowych realiów i szybko też nawiązujący kontakty z Polakami. Są też lepiej niż inni wykształceni, bo to często studenci, chcą poznać nasz kraj. Podróżują, odwiedzają duże miasta, małe miasteczka i nasze wsie, dzielą się spostrzeżeniami. Posłuchajmy, co mają nam do powiedzenia.

## CHCĘ TU ZOSTAĆ!

Roman FanPolszy, jeden z wielu autorów filmików zamieszczanych na YouTube, który kilka lat temu przyjechał do naszego kraju z Naddniestrza, regularnie rozmawia ze swoimi rodakami. Bliźniaczki Liza i Sasza studiujące w Mołdawii, które w 2019 r. po raz pierwszy w życiu przyjechały do Polski na Pol'and'Rock Festival i przy okazji zwiedzały kraj, są zachwycone wszystkim, ale oniemiały, kiedy oglądały nowe budynki Politechniki Wrocławskiej. „To jest publiczna uczelnia?” – pytały oprowadzającego je chłopaka. „Możecie tu studiować za darmo, nic nie płacąc?” –



**MAREK BUDZISZ**

dziwiły się. „Chcę tu zostać! – krzyczała jedna z nich. – U nas w akademiku jest jedna łazienka na piętrze i wspólna kuchnia”.

W innym filmiku, nagrany w czasie wybieczki na Podlasie, Roman mówi, że jego zdaniem nie ma przepaści między Warszawą, gdzie stale mieszka, a prowincją. Może wszystko będzie spokojniej, nie ma tego po-

śpiechu, ale poziom życia nie jest inny niż w stolicy. To zresztą częsty wątek wielu filmów i niektórych skłania nawet do refleksji, że na naszej „głębince”, jak określa się np. w Rosji prowincję, żyje się nawet lepiej niż w stolicy, bo poziom i dostępność dóbr jest podobna, a rytm życia spokojniejszy, bardziej „dla ludzi”.

To, co najbardziej dziwi przybyszów ze Wschodu, nieważne z Ukrainy, Białorusi czy Azerbejdżanu, to właśnie stan naszej wsi i małych miasteczek, często uznawanych za prowincjonalne. Lena Winogradowa, Ukrainka, która jeszcze przed wojną przyjechała do Polski z Mariupola i dziś mieszka w Krakowie, odwiedza małopolskie miasteczka w rodzaju Skawiny, Miechowa,

Niepołomic czy Nowego Wiśnicza. W tym ostatnim przypadku myślała, jak sama mówi, że jedzie do „dziury bez niczego”, bo skoro w miasteczku mieszka 3 tys. mieszkańców, to nie można spodziewać się nie wiadomo czego. Ale nie, wszystko jest: i sklepy, i szkoły, biura firmy ubezpieczeniowej, są banki, nawet studio urody. Właściwie nie ma różnicy, jak mówi, między tym, jak żyje się w dużym mieście i w niewielkim ośrodku na prowincji. To często podkreślany przez przybyszów wątek. Mieszkająca w Polsce Rosjanka, która pro-

wadzi kanał Czuzaki z Syberii (Nieznajomi z Syberii), mówi, że chcąc zobaczyć, jak się żyje na polskiej prowincji, specjalnie pojechała do małego miasteczka, i przekonuje swoich widzów, że „powiedzieć, iż jesteście zaskoczeni, to niczego nie powiedzieć”.

Inni przybysze ze Wschodu niczego nie mówią, tylko pokazują. Jeden z nich zamieścił trzypięciominutowy film nagrany na północnym Mazowszu, jak można wnosić z drogowskazów zapewne gdzieś w okolicach Drobina. Nie jest on szczególnie zajmujący. Autor sfilmował drogę, którą się przemieszcza, nową, równą i dobrze oznaczoną trasę, a także mijane budynki. Za cały komentarz wystarczy tytuł tego nagrania: „Drogi i domy w Polsce. Dlaczego u nas takich nie ma?”.

Czystość, przyszytych i zadbane trawniki w miejscach publicznych w Polsce, ilość kwiatów, dbałość o przestrzeń publiczną, nawet to, jak wyglądają stare, jeszcze z czasów postsowieckich blokowiska, rewelacyjny stan infrastruktury komunikacyjnej, w tym transportu publicznego, dostępność tras i ścieżek rowerowych, chodniki, nawet na wsi, udogodnienia dla niepełnosprawnych – to często pojawiające się motywy w relacjach przybyszów ze Wschodu.

Jedna z rozmówczyń Romana FanaPolszy, która przyjechała do naszego kraju, nie znając języka i chcąc w czasie wakacji dorobić do studenckiego stypendium, mówi, że jest tak czysto, ławki





w parkach nie są zniszczone i wszędzie stoją kosze na odpadki, że „człowiek sam się pilnuje”, by niczego nie wyrzucać ani nie szpecić „tej krasoty” (piękna). Notabene, mimo iż w Kiszyniowie kończy prawo, podjęła decyzję przeprowadzki do Polski, nawet jeśli – a ma tego świadomość – nie będzie w stanie pracować w wyuczonym zawodzie.

Z kolei Hal9000, Rosjanin z Kaliningradu, który cztery lata temu jechał od siebie na Słowację i nagrał film o swojej podróży, zachwyca się stanem dróg w naszym kraju, a nie podróżował tylko autostradami i trasami szybkiego ruchu. Jego zdaniem jest u nas czyściej nawet niż w Niemczech, gdzie niedawno był. „Może to efekt migrantów?” – zastanawia się głośno.

## TO DLA MNIE SZOK

Inny wątek, który regularnie pojawia się na niemal wszystkich nagraniach, to ludzie, Polacy. Niemal wszyscy przybysze podkreślają naszą życzliwość, otwartość, chęć niesienia bezinteresownej pomocy. Elszad, który do Gdańska na studia przyjechał z Azerbejdżanu i prowadzi w Polsce kanał Azerczik, mówi, że przez pół roku nie spotkał nikogo, kto byłby niemiły. „To dla mnie szok – mówi – kiedy wchodząc do sklepu, słyszy się »dzień dobry« lub »czym mogę służyć?«, a nie spotyka się gburowatego sprzedawcy, który coś bąknie pod nosem”. „Polacy to kulturowy naród” – to zdanie pada w wielu relacjach, w których przybysze dzielą się swoimi pierwszymi wrażeniami.

Ale nie tylko to ich uderza. Asłuzan i Aibarszan, które do Polski w ramach wymiany studenckiej przyjechały z Kazachstanu, mówią, że dla nich Polska to kraj wolności, gdzie można robić, co się chce, ubierać, w co się chce, mieć kolorowe włosy, gdzie ludzie są przyjaźni, a przedstawiciele służb publicznych, w tym przede wszystkim policja, są nastawieni na to, by pomóc zwracającym się do nich ludziom, a nie pokazać swoją władzę. To szczególnie uderza przyjezdnych z Rosji czy z niedemokratycznych państw postsowieckich.

Wiaczesław Zarucki, który – jak sam deklaruje – w związku z wojną uciekł z Rosji 10 miesięcy temu i mieszka w Gdańsku, na jednym z nagranych filmików mówi, że tym, do czego nie może się przyzwyczaić w Polsce, to „dobra policja”, której funkcjonariusze „nie zatrzymują cię bez powodu i nie przeglądają twojego telefonu” jak w jego ojczyźnie, ale raczej starają się pomóc. Inni Rosjanie, którzy sfilmowali na krakowskim rynku jedną z pikiet, nie mogli się nadziwić, że policjanci nie interweniowali, nie byli agresywni, jedynie stali i przyglądali się, czy wszystko jest w porządku.

Lena, prowadząca internetowy kanał o dziewczynach, które przyjechały do Polski z Kazachstanu, mówi, że najbardziej w Polakach zaskoczyła ją nasza buntowniczkość, zwłaszcza wobec

przedstawicieli państwa. Jej zdaniem odruchowo sprzeciwiamy się władzy, nie uznajemy jej pretensji do wszechmocy i umiemy się spontanicznie organizować, by osiągnąć swoje cele. To zupełnie inna postawa niż na Wschodzie, gdzie lata doświadczeń u każdego kształtują przekonanie, że z władzą, z funkcjonariuszami publicznymi lepiej nie zadzierać. „Może dlatego Polska jest wolnym krajem?” – zastanawia się Lena głośno.

Julia – prowadząca w sieci kanał Białorusini w Polsce, która dwa i pół roku temu wraz z mężem i dwiema córkami zdecydowała się na emigrację – mówi o tym, jak „bardzo szczęśliwa jest z podjętej decyzji” i opowiada, że to, co ją uderzyło w naszym kraju, to fakt, iż „w Polsce nikt nie dziękuje przełożonym za to, że ma dobrą pracę”. Na Białorusi to powszechny zwyczaj, z którym w Polsce się nie spotkała, a to jej zdaniem świadczy o tym, że Polacy bardzo są przywiązani do równości. Szef nie jest nadczłowiekiem, któremu zawdzięczamy wszystko, którego należy słuchać i któremu powinno się przy każdej sposobności odzwajemniać. To poczucie równości, braku hierarchii, podziału

na ludzi ważnych i nieliczących się jest również tym, co zaskakuje pozytywnie w Polsce wielu przybyszów ze Wschodu.

## ALE TU TANIO

To, co jeszcze ich uderza, a nam zwłaszcza teraz może się wydać dziwne, to nasze ceny. Muszą liczyć się z każdym groszem, inflacja – zwłaszcza skokowy wzrost cen wynajmowanych mieszkań – bardzo uderzyła w ich budżety, ale tym nie mniej Polska jest nadal, jak mówią, bardzo atrakcyjna. U nas można żyć lepiej i taniej. W wielu filmach powtarza się ta opinia – że u nas jest tanio, znacznie taniej niż u nich w domu. A przecież przyjeżdżają

z biedniejszych krajów i na dodatek, jak mówią, wybór towarów jest w Polsce nieporównanie większy, mimo że zaopatrują się głównie w Biedronce czy innych popularnych dyskontach. Porównanie cen to chyba jeden z najpopularniejszych tematów wielu filmików, autorzy niektórych z nich regularnie relacjonują, najczęściej na przykładzie najpopularniejszych sieci, co i ile w Polsce kosztuje.

Sergiej i Lesia, przybysze z Ukrainy, którzy nagrali film o cenach w Polsce w tym roku, mówią, że to, ile trzeba u nas zapłacić za podstawowe artykuły, „po prostu ich zaszokowało”. Ale nie dlatego, że drogo, wręcz przeciwnie, wszystko jest tanie. Katarina, która wraz z mężem przyjechała do Polski przed pandemią z Naddniestrza po to, by dorobić, ale po pół roku postanowili się przenieść do nas na stałe, by po prostu lepiej żyć, mówi w jednym z filmików, iż „nie mogła uwierzyć, że można tak tanio kupić żywność i artykuły pierwszej potrzeby”. Ale nie to spowodowało, że postanowili się do nas przeprowadzić. „Polacy żyją spokojniej, stabilniej – mówią. – Wiedzą co ich czeka za rok, pięć czy dziesięć lat. A u nas niczego nie możemy być pewni”.

Lena, prowadząca internetowy kanał o dziewczynach, które przyjechały do Polski z Kazachstanu, mówi, że najbardziej w Polakach zaskoczyła ją nasza buntowniczkość, zwłaszcza wobec przedstawicieli państwa

Helena, prowadząca kanał Ukraina-Polska, porównała ceny między Biedronką a najpopularniejszą ukraińską siecią ATB. Okazało się, jak relacjonowała widzom, że na Ukrainie za koszyk tych samych towarów zapłaciła 30 hrywien mniej z drobną wszakże różnicą. U siebie kupowała artykuły objęte promocją, a w Biedronce „w pełnych cenach”. Jeśli uwzględni się częste, jak mówi, w tej sieci „akcje”, czyli promocje, to wówczas okazuje się, że w Polsce jest taniej. „Ale jeśli chcemy uczciwie porównywać ceny, przekonuje Helena, to porównajmy je do minimalnego wynagrodzenia, które w 2022 r. w Polsce wynosiło w przeliczeniu 14,8 tys. hrywien, a na Ukrainie było to 6,5 tys. I mamy pełny obraz” – konkluduje.

Dla przybyszów z Azji, szczególnie z Indii czy Bangladeszu, tania Polska, a tak oceniali nasz kraj jeszcze 3–4 lata temu, staje się już w wyniku inflacji droga, szczególnie jeśli chodzi o żywność. Elszad z Azerbejdżanu mówi jednak o tym, że markowe artykuły renomowanych firm zachodnich są u nas zdecydowanie tańsze niż w sklepach w Baku.

**Dla przyjezdnych z Mariupola, Tyraspola czy Grodna nasz skok rozwojowy ostatnich 30 lat, kiedy startowaliśmy z pozycji porównywalnych do ich ojczyzn, wprowadza ich w osłupienie i wywołuje nieskrywaną zazdrość i podziw**

To, co uderza w relacjach, to nie tylko fakt, że dla przyjezdnych z Mariupola, Tyraspola czy Grodna „Polska to Europa”. Nasz skok rozwojowy ostatnich 30 lat, kiedy startowaliśmy z pozycji porównywalnych do ich ojczyzn, wprowadza ich w osłupienie i wywołuje nieskrywaną, choć pozbawioną resentymentu zazdrość i podziw. Ale nigdzie, oglądając relacje i filmy, nie spotkałem się z poglądem, że Polacy powinni być wdzięczni Europie. Raczej dominuje przekonanie, że ciężką pracą, pomysłowością, samoorganizacją i wysiłkiem całego pokolenia osiągnęliśmy poziom „starej Europy”, a jeśli się weźmie pod uwagę

bezpieczeństwo, otwartość i życzliwość na poziomie codziennych kontaktów, to u nas nawet żyje się lepiej. Wykorzystaliśmy szansę, która stanęła przed nami, ale nie musimy nikomu za to dziękować, bo wszystko zawdzięczmy sami sobie. Polska w oczach przybyszów ze Wschodu to położony za miedzą kraj wielkich możliwości, przyjazne środowisko i perspektywy sukcesu. Miejsce, gdzie chce się mieszkać. I to jest w ich oczach naszą największą siłą.

REKLAMA

*Z okazji Świąt Wielkanocnych  
pragnę złożyć Państwu najlepsze życzenia.  
Oby dla wszystkich był to czas radości, nadziei,  
a przede wszystkim duchowego odrodzenia.  
Niech tajemnica Zmartwychwstania Chrystusa  
umocni w nas wiarę i nada głębszy sens  
naszej codzienności.*

*Błogosławionych Świąt!*



*Przemysław Czarnek  
Minister Edukacji i Nauki*







# Czasem trzeba zaciągnąć lejce

Świat artystyczny powinien być z założenia przestrzenią otwartą, powinien móc pomieścić w sobie wszystko. Tymczasem zamykamy sobie możliwość rozmowy, komunikacji, która jest kluczowa w powstawaniu jakiegokolwiek dzieła

**Z Przemysławem Stippą,  
aktorem i reżyserem,  
rozmawia Dorota Łosiewicz**

*Teatr, kino czy mały ekran. Gdzie pan czuje się najlepiej jako aktor?*

**Przemysław Stippa:** W teatrze. To dlatego, że to jedyne miejsce, w którym można ćwiczyć warsztat, gdzie

jest na to jeszcze czas. Można się odizolować i w ramach prób skupić się na zwykłym ćwiczeniu. Nie tylko wyobraźni, lecz także ciała i przepuszczania przez nie wyobraźni właśnie. To pozwala dotykać własnych, nowych możliwości. Bez teatru trudno uprawiać ten zawód. Choć tęsknię oczywiście do kamery.

*To ona, a nie teatr, daje sławę.*

Pamiętam z dzieciństwa, gdy stawałem pierwsze kroki w teatrze amatorskim, że lubiłem oklaski, one sprawiały mi przyjemność. Później na całe lata o tym zapomniałem. Teraz sławę traktuję jako część zawodu, która jest mu czasem przypisana. Ale tylko czasem. Bo ten zawód nie opiera się na sławie, ale na ciężkiej pracy. Bez niej nie będzie efektu. Bywa, że niektórym świat podaje wszystko na tacy, bez specjalnej pracy, idzie im jak z płatka. Bardziej jednak nęci mnie droga związana z doświadczaniem i z łamaniem siebie. W sensie zawodowym, emocjonalnym. Bez tego istnieje ryzyko, że będziemy grać powierzchownie.



### ***Pracuje pan w Teatrze Narodowym. To drugi dom?***

Tak, chociaż ostatnio to bardziej dom, do którego jeździ się głównie na święta, ale jest on wciąż silnym punktem odniesienia.

### ***Jak się pracuje z Janem Englertem?***

Bardzo dobrze, co nie znaczy, że łatwo. To postać wyjątkowa. Niezwykle silna, charyzmatyczna. Jedna z tych, które zapiszą się w historii polskiej kultury. To człowiek niezwykle świadomy zawodowo oraz społeczno-politycznie. Dobrze, że w tych trudnych nie tylko dla kultury czasach ktoś taki jak Jan Englert jest na rynku. Dobrze czuję się ze świadomością, że jestem częścią Teatru Narodowego. To Jan Englert

otworzył mi drzwi do tego miejsca, zaprosił mnie do współpracy. Bez względu na to, jak ona ułoży się w przyszłości, to 2004 r. zawsze będzie wyjątkowy. Wtedy dzięki Janowi Englertowi wszystko się zaczęło, uprawianie zawodu aktora na poważnie.

### ***Gdy mówi pan o trudnych czasach, to co pan ma na myśli?***

Pracuję w zwierciadle, które odbija rzeczywistość. Mam niezwykle doświadczenie współpracy z litewskim reżyserem Oskarą Koršunovą, który jeździł po wielu krajach, reżyserował w wielu miejscach (słynących z całkowitej wolności i jej braku jak Rosja). Podczas pracy nad „Miarką za miarkę” w Teatrze Dramatycznym powiedział mi, że to, jak funkcjonuje teatr w danym kraju, świadczy o tym, jak w ogóle funkcjonuje kraj, jak współżyją z sobą ludzie i jak wpływa władza na to, co dzieje się społecznej tkance. Nie jest to może obraz jeden do jednego, bo zwierciadło czasem skrzywia obraz, ale zapadło mi to w pamięć. Mam poczucie, że zgubiliśmy wszystkie punkty odniesienia, praca nad wyrugowaniem wartości idzie nieźle, budujemy nowy, wyimaginowany świat. To przekłada się na to, że jako artyści mamy problem w komunikowaniu się z sobą, nie korzystamy z narzędzi znanych od setek lat, udajemy, że tworzymy coś nowego, a okazuje się, że nic nowego już nie można stworzyć, bo wszystko już było, wszystko powstało. Często komunikacja staje się wręcz niemożliwa. A brak komunikacji powoduje rozstrój w widzach, którzy wciąż tłumnie przychodzą do teatru i chcą korzystać z kultury, sztuki. A my im to utrudniamy, zajmując się wewnętrznymi niezgodami, małostkami.

### ***Trudności w komunikacji wynikają z podziałów politycznych lub z tego, z jakimi stacjami współpracują aktorzy?***

Również z tego. To wydaje się zupełnie absurdałne i pozbawione sensu. Także świat zewnętrzny, teoretycy sztuki, krytycy biorą to za punkt odniesienia. A przecież świat artystyczny powinien być z założenia przestrzenią otwartą, powinien móc pomieścić w sobie

wszystko. Tymczasem zamykamy sobie możliwość rozmowy, komunikacji, która jest kluczowa w powstawaniu jakiegokolwiek dzieła.

***Pytanie, czy część artystów, określając się politycznie, nie zamyka sobie drogi do komunikacji z widzami. Przecież artysta nie wie, dla kogo gra, śpiewa czy pisze. Nie wie, czy odbiorcą jest prawak, czy lewak, katol, czy ateista, PiS-owiec, czy platformers. A jednak często się określa.***

Nie rozumiem tego zjawiska. Ubolewam, że tak jest. Mam nadzieję, że nie wynika ono z obawy tych artystów, że słowo wypowiedziane ze sceny przestało znaczyć, że utraciło moc stwarzania świata. Jestem przekonany, że możemy więcej powiedzieć, posługując się nie własnymi słowami, ale tymi, które zostały zapisane przez niezwykłych dramaturgów i literatów. Bazując na literaturze – a stamtąd wywodzi się nasza praca – jesteśmy w stanie więcej, głębiej i prawdziwiej opowiedzieć o świecie.

### ***Zaskoczył pana atak na Jana Pawła II?***

Tak, bo to też jest coś „zamiast”. To było dla mnie osobiście bolesne. Pamiętam moment, w którym Jana Pawła II zabrakło. Choć wydawało się, że to jest stały punkt odniesienia dla świata i że zawsze będzie. Było wtedy bezpieczniej. Można było się odwołać do jakiegoś niepodważalnego autorytetu. Dziś podjęto próbę unieważnienia, wyrugowania tej postaci z naszego dziedzictwa. To jest niebezpieczne. Wtedy, gdy on odszedł, na pl. Piłsudskiego pojawiły się tłumy ludzi, o różnych poglądach, z różnych stron świata, z różnych sfer. I wszyscy płakali. To było rozdzierające. Miałem poczucie, że to nowy punkt startu, że jesteśmy w stanie wspólnie przeżywać. Wydawało się, że będziemy dążyć dzięki temu przeżyciu w stronę dobra i piękna. Niestety, niewiele z tego zostało. A dziś próbuje się wszystko unieważnić. To jest groźne.

***Porozmawiajmy o pana rolach. Włodowie mogli pana oglądać m.in. jako geja Władka w „Barwach szczęścia” i esesmana w „Wojennych dziewczynach”, teraz jest pan Wiktorem***





### ***Grunem w „Polowaniu na ćmy”. Jak to jest być ciągle kimś innym?***

Taka różnorodna ścieżka obsadowa bardzo mi odpowiada, bo to jest okazja odklejenia się od klisz, w których tkwimy. A to, co najbardziej kręci mnie w tym zawodzie, to kreatywność. Im dalej można odejść od siebie samego, tym jest przyjemniej i ciekawiej w tym zawodzie, który wbrew pozorom bywa nudny, bo bywa powtarzalny.

### ***Któraś z tych ról jest pana ulubioną?***

Nie mam ulubionej roli. Moja ścieżka zawodowa wciąż jest otwarta, jestem głodny ról, wciąż szukam. Mam nadzieję, że ta droga nie skończy się szybko. A pewnym ryzykiem tego zawodu jest polubienie się w nim. A już polubienie się w jakiejś roli to koniec pracy, koniec uprawiania zawodu aktora. Te dwie pierwsze wspomniane role faktycznie przykleiły się do mnie, ale to znaczy, że wciąż mogę od jednej i od drugiej się odkleić. Szukam dla siebie nowej przestrzeni i postaci. Widzowie lubią klasyfikować, porządkować aktorów. To im daje poczucie bezpieczeństwa i przewidywalności. Tak było z Władkiem z „Barw szczęścia”, tak będzie pewnie z Wiktorem Grunem, referentem carskiej policji, współpracującym z handlarzami ludźmi. Oczywiście nie obrażam się na widzów za to klasyfikowanie i kojarzenie z rolą, bo to znaczy tyle, że byłem przekonujący. Liczę wciąż, że widzowie tak samo lubią lub chociaż akceptują znaną już twarz aktora jak jej zmiany, że lubią być zaskakiwani. A ja lubię zaskakiwać również siebie.

### ***Zostańmy na chwilę przy Wiktorze Grunie. „Polowanie na ćmy” to serial TVP. Produkcja przygotowana z dużym rozmachem, dbałością o szczegóły. Napisał pan, że na takie role i scenariusze się czeka. Takie, czyli jakie?***

Chodzi o historie, które chcą być opowiedziane. Nie są wyłącznie zapisem dat, nie są łatwe i wygodne, otwierają znaczenia. To opowieści, przez które pełniej potrafimy czytać własną historię. „Polowanie na ćmy” to opowieść

o drodze do niepodległości, a ona realizowała się także przez domy publiczne, które funkcjonowały w Warszawie w 1905 r. Mamy tu intrygę zawiązaną przez carską policję. Z jednej strony hasła moralnego oczyszczenia, z drugiej dokręcanie śruby zamordyzmu carskiego. Mamy wyjątkowe kobiety, które walczą – po pierwsze – o siebie i swoją przyszłość (Warszawa była wtedy centrum handlu ludźmi), a po drugie, walczą o wolność kraju. Okazuje się, że praca sufrażystek może mieć tak wyjątkowy wymiar jak wtedy w Polsce. Odkąd przeczytałam w 2018 r. książkę Wacława Holewińskiego wiedziałam, że to materiał gotowy do sfilmowania i marzyłem, by zagrać rolę Gruna. Czło-

Dobrze czuję się ze świadomością, że jestem częścią Teatru Narodowego. To Jan Englert otworzył mi drzwi do tego miejsca, zaprosił mnie do współpracy. To postać wyjątkowa, charyzmatyczna. Jedna z tych, które zapiszą się w historii polskiej kultury

wieka niebezpiecznie fascynującego, będącego kwintesencją tamtego czasu przesilenia, który znalazł dla siebie miejsce i zaczął organizować świat po swojemu, żeby przetrwać i wykorzystać do tego wszystkie możliwe narzędzia, często krwawe i brutalne. To człowiek świetnie znający języki i wykorzystujący to na swój użytek, świadomy sytuacji politycznej i społecznej, świadomy narzędzi biznesowych i rynku oraz znakomicie się w tym poruszający. Grun jednocześnie igrza ze złem najwyższym, czyli carskim zwierzchnictwem nad sobą.

### ***Talent językowy łączy pana z Grunem. Skąd on się wziął?***

Pewnie jest on związany z miejscem, z którego pochodzę, czyli ze Złotowem. Pochodzę z rodziny autochtonów z Pomorza. Moja rodzina do 1945 r. była rodziną niemiecką, a korzenie dalej sięgają Włoch. Funkcjonowałem na pograniczu kultur, stąd łatwość językowa. Część mojej rodziny jeszcze w latach 70. XX w. w tajemnicy posługiwała się w domach językiem niemieckim.

### ***Takie korzenie utrudniają czy ułatwiają poruszanie się w polskich uwarunkowaniach historycznych i społecznych?***

Ułatwiają, choć pozornie wydają się trudne. Po prostu często są wykorzystywane w brzydki sposób przez różne przekazy. Historia naszego kraju jest niezwykle skomplikowana, ale przecież to kraj, w którym wszystkie nacje mogły znaleźć swoje miejsce. To stanowiło o naszej wyjątkowości. Byliśmy swego czasu imperium, które nie podbijało, ale zawierało umowy i zapraszało. Ta otwartość i poczucie wolności są mocno zakorzenione w naszych genach.

### ***Nie tylko dużo pan gra. Jest pan także reżyserem. Reżyseruje pan przedstawienia Teatru Telewizji, choćby ostatnie „Barwy uczuć”, które były wielkim sukcesem, jeśli chodzi o widowienie. Marzy się panu własny film?***

Oczywiście. Mam trzy poważne pomysły. To są gotowe historie, które czekają, by je opowiedzieć, choć jeszcze nie mam gotowych scenariuszy.

### ***„Przemysław Stippa pierwszy raz pojawił się z żoną na czerwonym dywanie. Jak wygląda jego ukochana? To był ich wielki debiut przed fotoreporterami” – tak pisały plotkarskie portale kilka tygodni temu. Tymczasem znacie się z żoną od liceum.***

To prawda, ale staram się nie opowiadać zbyt dużo o rodzinie, by ją chronić przed różnymi nienawistnikami. To oczywiście nie było nasze pierwsze wyjście, ale pierwsze zauważone. Wcześniej skutecznie odizolowała nas od świata pandemia. To był dla nas – przy jego okropności – czas błogosławiony. Mogliśmy z sobą wreszcie naprawdę



pobyć, pomieszkać, posiedzieć razem, nie biegać. Owocem tego czasu jest nasz syn Roch. Z nim przyszło na świat poczucie bezpieczeństwa i balansu.

***Późno został pan ojcem, ma pan 41 lat. Chcielibyście mieć więcej dzieci?***

Chcielibyśmy, choć czas działa na naszą niekorzyść, nie jesteśmy już najmłodsi. W każdym razie nic nie dzieje się bez przyczyny, a późne rodzicielstwo ma wiele zalet. Sztuka jest zażyłością, nie lubi konkurencji. A bycie ojcem to rola życia, która wymaga dobrej organizacji czasu, bo na oddawaniu swojego czasu poza wielkimi uczuciami to wszystko polega. Okazuje się, że można przy tej liczbie zajęć, którym się oddaje, skutecznie wygospodarować czas na ojcostwo i na rodzinę. I póki to się udaje, daję radę. Ale zacznę być nieprzyjemny i opryskliwy dla moich współpracowników, gdy zacznę mi brakować czasu dla rodziny.

***Sprytnie mi pan zamyslił oczy Rochem, a ja chciałam jeszcze dopytać o żonę. Od czego to się zaczęło?***

Od notatek z historii. Chciałem iść na politologię. Pauli to się udało, mnie nie. Egzamin teoretyczny na Akademii Teatralnej zbiegł się z tym na Uniwersytecie Warszawskim, wybrałem ten pierwszy. Paula robiła skrupulatne notatki, a moje myśli szybowały gdzieś daleko. A ponieważ Paula mieszkała w tym samym bloku co moja babcia, do której chodziłem podawać insulinę, to przy okazji wpadałem po notatki. I tak od zeszytów przez zaproszenie na studniówkę wyładowaliśmy w 2023 r. jako małżeństwo z dzieckiem.

***Dlaczego mi się wydaje, że to niezwykle skrócona wersja zdarzeń?***

Co do roli Władka to często słyszałem, że będę miał problemy z powodu wcielenia się w geja. Tymczasem spotykały mnie tylko przyjemne sytuacje. Nie jest prawdą, że Polacy nie są tolerancyjni. Wręcz przeciwnie

[śmiech] Bo to długa i wyboista historia. Ze wzlotami i z upadkami, które były po drodze. Były częste, były bolesne. Ot, kolory życia. A dziś jesteśmy rodziną. Piękne jest to, że pierwsze szczeniackie, naiwne uczucie, które narodziło się przy okazji zeszytów do historii, przetrwało do dziś.

***Macie ślub kościelny?***

Cywilny. Ale to i tak było dla nas wielkie misterium. Tu chodzi o pewną gotowość. W tamtym momencie uznaliśmy, że nie jesteśmy gotowi, by pójść z sobą przed ołtarz. Ale ta gotowość dojrzeje. Myślę, że wcześniej czy później to nastąpi. Gdy już do tego dojdzie, pewnie się gdzieś zaszyjemy z najbliższą rodziną i przyjaciółmi.

***Żonie podoba się Wiktor Grun?***

Żoną jest moim pierwszym krytykiem i często słyszałem: „Wszystko fajnie Przemek, ale w obrazku strasznie”. W „Polowaniu na cmy” w pełni się akceptuję w obrazku, wszystko się zgadza z tym, co sobie wymyśliłem, odnośnie do mojej postaci. Wszystko wyszło mocne, mięsiste. Z emocji aż skręciło mi jelita, ten świat mnie wciągnął. I żonie też się bardzo podobało. A to jest bezcenne.

***Tak naprawdę zaczął pan być rozpoznawalny po roli Władka. Czy ma pan poczucie, że to pana pięć minut?***

Co do roli Władka, to często słyszałem, że będę miał problemy z powodu wcielenia się w geja. Tymczasem spotykały mnie tylko przyjemne sytuacje. Nie jest prawdą, że Polacy nie są tolerancyjni. Wręcz przeciwnie. Mam w sobie ogromną niezgodę na negację i narzekanie, na widzenie tylko czarnej perspektywy. Stereotypy nie są prawdziwe. Dostałem na to wiele dowodów. Tak się złożyło, że np. w Tarnowie po jednej z premier znalazłem się sam w nocy na starym mieście. Nagle za plecami usłyszałem: „To ten, to ten”. I już właściwie spodziewałem się, że stracę zęba, a tymczasem spędziłem wieczór kawalerski na kebabie z chłopakami, którzy nagle zobaczyli Władka z „Barw szczęścia”. Pozory mylą, za często ulegamy cudzej, fałszywej perspektywie. Co do tych pięciu minut, to często słyszałem, że aktor zaczyna się po czterdziestce. Cieszę się więc, że się zacząłem. Jednak nie traktuję tych pięciu minut na poważnie. Zbyt poważnie traktuję swój zawód i życie, nie zamierzam więc zajmować się pięcioma minutami. Wciąż chcę się zajmować piękną pracą. I tym norwidowskim pięknem, które ma zachęcać do pracy. Nie można dać się zwariować, ulec uniesieniu. Bo ta praca prowadzi do zmartwychwstania. Piękno, praca, zmartwychwstanie – to zestaw znaczeniowy, który często mam z tyłu głowy. Jak tylko widzę, że zaczynam się zbyt dobrze czuć w sytuacji showbiznesowo-aktorsko-celebryckiej, to wówczas po prostu zaciągam lejce.







# Teatralne jajo Fabergé

*Najnowsza premiera Teatru Telewizji – Szekspirowski „Sen nocy letniej” w reżyserii Wojciecha Adamczyka – za sprawą scenografii i kostiumów przywołuje skojarzenia z najstynniejszą jubilerską wersją pisanki. To pełen niespodzianek przedświąteczny prezent*



**JOLANTA GAJDA-ZADWORNA**

**S**pojrzenie z góry: okrągła, wyznaczona przez grafikę posadzki sala. Wokół połyskujące złotem kolumny. W środku trzy strojne pary wśród weselnej publiczności. To finałowa scena potrójnych zaślubin: księcia Aten Tezeusza z królową Amazonek Hipolitą oraz Hermii z Lizandrem i Heleny z Demetriuszem – czworga młodych bohaterów, którzy w pełnej mylących szla-

ków, niepokojów i wolt wędrowce przez własne uczucia doszukali się miłości.

Kadr jest wizualnie wysmakowany i wyczelowany. Pełen przemyślanych detali, zdobień i ornamentów. Bogaty i połyskliwy. Gdyby nie wyrazista geometryczna figura posadzki, jeszcze bardziej przywoływałby skojarzenia z wyjątkowymi wielkanocnymi pisankami – carskimi podarkami wykonanymi przez słynnego złotnika Petera Carla Fabergé.

## ŚWIATŁO NA OPRAWĘ

Szekspirowski „Sen nocy letniej” w reżyserii Wojciecha Adamczyka – choć akcja sztuki rozgrywa się w zupełnie innej niż obecna porze roku i w klimacie dalekim od wielkotygodniowych przygotowań

– nieoczekiwanie stał się wielkanocnym prezentem. Pełnym wizualnych niespodzianek ukrytych w fantastycznej, umownej zieleni. Przedstawieniem wartym obejrzenia jeszcze raz już nie tylko po to, by podążać za tekstem i pogubionymi w uczuciach bohaterami, ale by rozsmakować się w plastycznych rozwiązaniach. W koncepcjach scenografii i kostiumów. W szerszej wizji ujęć i planów pełnych szczegółów, które aż proszą się o stopklatkę. O skupienie na nich uwagi, by móc przyjrzeć się im trochę dłużej.

Teatr Telewizji daje taką możliwość. Po premierowym poniedziałkowym pokazie można w dowolnym momencie obejrzeć spektakl na stronie [teatrtv.vod.tvp.pl](http://teatrtv.vod.tvp.pl). Warto. Nawet jeśli, patrząc przez ekran, nie będziemy w stanie dostrzec wszystkich detali strojów, w pełni nacieszyć oka fakturą tkanin i plastycznymi pomysłami, które w mikro- i makroskali wcieliły w życie autorki scenografii (Katarzyna Adamczyk) i kostiumów (Maria Balcerek).

Przy tak ciekawych plastycznych rozwiązaniach pojawia się marzenie o daniu im drugiego czy nawet trzeciego życia – może o pokazaniu na zwykłej teatralnej scenie, wykorzystaniu w poświęconym





im programie, zaprezentowaniu na wystawie, np. najciekawszych kostiumów i elementów scenografii mijającego roku – by jeszcze parę razy mogły zabłysnąć w innych światłach, nim na dobre zostaną zamknięte w magazynie.

## WPISANI W KOŁO

– Wiedziałam, że spektakl potrzebuje przestrzeni, ponieważ mamy w sztuce monumentalne miejsca zdarzeń: magiczny las, w którym gubią się bohaterowie, ateński pałac, świątynię... – mówi Katarzyna Adamczyk. – Moim podstawowym założeniem było zrobienie scenografii, w której kamera może odwrócić się w dowolną stronę, podążać za bohaterami, meandrować we wszystkich kierunkach i w każdym ustawieniu będzie miała przed sobą dekorację.

Jak to zrobić, dysponując określoną kubaturą hali zdjęciowej? Gdy na dodatek słyszy się od reżysera, by „nic niczego konkretnego nie przypominało”, co oznacza, że las nie może być wykonany z żadnych elementów przypominających roślinność. Rozwiązaniem okazuje się daleko posunięta plastyczna umowność, która jednocześnie nie gubi nastroju i tajemnicy baśniowego gaju.

Na instagramowym koncie scenografiki można znaleźć filmowo-zdjęciowe migawki z planu, gdy to właśnie leśna scenografia – wypełniona geometrycznymi figurami, przede wszystkim kołami, a także wybujałymi wąskimi prostokątami, intrygująca ruchem, barwą i światłem – jest w centrum uwagi. Wygląda fantastycznie. I jest częścią fantastycznego, futurystyczno-baśniowego świata, którego dopełnienie stanowią – równie ważne dla oprawy tego spektaklu – dźwięk i muzyka.

Pierwszy został pozbawiony typowych dla lasu szmerów, trzasków, szumów i śpiewu ptaków. Z kolei muzyka (autorstwa Piotra Salabery) zestawia klasyczne dźwięki skrzypiec i wiolonczeli z instrumentami etnicznymi (m.in. lirą korbową) oraz wokalizą.

## BOGACTWO ARANŻACJI

Futurystyczno-baśniowy las pozwala nie tylko mieszać szyki bohaterom. Na jego tle o wiele ciekawiej prezentują się scenograficzne obiekty. Zwłaszcza zbudowane na planie koła: pałac i świątynia.

We wspomnianej już finałowej scenie filmowane z góry wnętrza książęcej rezydencji przyciągają wzrok kolejnymi plastycznymi warstwami (grafiką terakoty, złotej, solidnej kolumnady i mniejszymi elementami aranżacji wnętrza), a przede wszystkim bogactwem strojów.

Te weselne, podkreślone tonacją złota, są pełne ornamentów i przestrzennych rozwiązań. Pięknie kontrastują z wcześniej wykorzystanymi w spektaklu spersonalizowanymi kostiumami bohaterów (zarówno pałacowymi, jak i czeladniczymi czy leśno-elfimi). To przede wszystkim ich obecność uzasadnia skojarzenie ze stylem słynnych wielkanocnych prac mistrza Fabergé – wystawnością formy, wyczyszczonymi detalami, wielowarstwowością pisanekowej powłoki i niespodzianką czy też niespodziankami, które mogą kryć się wewnątrz obłej formy.

## KORONKI I BRYCZESY

Zatrzymajmy się na chwilę przy jednym z elementów strojów weselnych z najnowszej premiery Teatru Telewizji

– złotych, kobiecych nakryciach głowy. Pierwsza konotacja to rosyjskie, ozdobne tzw. kokoszniki. Autorka kostiumów podsuwa jednak inny trop – czepców z okresu elżbietańskiego (chodzi o trójwymiar – kokoszniki tworzą wokół głowy aureolę, w czepcach z epoki Tudorów jest jeszcze z przodu rodzaj daszku z półkolistymi wycięciami). Podkreśla jednocześnie, że koronkowe ornamenty to już ukłon w stronę wschodniego złotnictwa – arabskiego, asyryjskiego, a także rosyjskiego, indyjskiego, a nawet celtyckiego.

Związana przede wszystkim z operową sceną Maria Balcerek czerpie inspirację z różnych źródeł – od historycznej i archeologicznej dokumentacji po współczesne trendy. Bierze pod uwagę potencjał tkanin, z którymi pracuje – coraz ciekawszych, dostępnych z całego świata. Potrafi do nich dostosować projekt. W „Śnie nocy letniej” zagrały zarówno zwiewne tiule (w strojach elfów), jak i kanciaste formy futurystycznych gorsetów czy bryczesów marszczonych po bokach niczym akordeon. Dosłowne bogactwo kostiumów płynnie wpisało się w równie bogatą, ale symboliczną scenografię.

\*\*\*

„Sen nocy letniej” zostanie pokazany w poniedziałek 3 kwietnia. Dwa dni wcześniej, na scenie Opery Krakowskiej, będzie mieć premierę „Wanda” z muzyką Joanny Wnuk-Nazarowej skomponowaną do misterium Cypriana Kamila Norwida (kostiumy przygotowała Maria Balcerek).

17 kwietnia w Teatrze Telewizji premierowo zadebiutuje „Judas z Kariothu” Karola Huberta Rostworowskiego w reżyserii Igora Gorzkowskiego.

*Czytaj też na str. 97*





Nieść plecak,  
w którym  
jest ojczyzna



## Norbert „Smola” Smoliński, wokalista zespołów Contra Mundum i Szaniec, twórca Dziecięcej Ferajny, mówi Markowi Pyzie o młodzi, którą otwiera na historię, banicji w świecie muzyków rockowych i budzącej się sowieckiej bestii

*Co u ciebie slychać? Przeprowadziłeś się z Warszawy. Co zdecydowało, że wybrałeś Lubelszczyznę? Tu jeszcze lepiej czuć polskiego ducha, przywiązanie do ziemi, wartości, historii?*

**Norbert Smoliński:** Tak, stary warszawiak, pół wieku w stolicy, wnuk powstańca, teraz przenoszę tę opowieść o etosie warszawskiego zrywu z 1944 r. na Lubelszczyznę. Ale również stąd pobieram wielką lekcję historii. Z pokorą przyjmuję to, co się działo na ziemi lubelskiej, tak potwornie skrwawionej przez wszystkie wojny, armie i fronty, które tędy maszerowały. Tu gdzie mieszkam, 60 km od Lublina, na pięknym pojezierzu, wśród lasów, historia ma bardzo bogate złoża. Tu odbyło się wiele potyczek powstania styczniowego, tędy chodzili wyklęci Jastrząg i Żelazny, czyli bracia Taraszkiewiczowie, tu działały oddziały Zapory. Tu jest symboliczny grób Uskoka na cmentarzu w Kijanach. To w mojej miejscowości w małej gminie Uścimów znajduje się grób Zimnego i Kruka, dwóch żołnierzy wyklętych, którzy zginęli podczas obławy 22 lipca 1946 r., nasłanej przez Bieruta. Tu jest zamek lubelski i wielka katownia ubecka oraz hitlerowska katownia Pod Zegarem, tu jest Majdanek, tu są Dzieci Zamojszczyzny. Tu jest prawdziwa Polska, tu jest o czym śpiewać. A do tego ludzie o gorących sercach, którzy nie kochają komuny.

*Contra Mundum, czyli twój główny projekt, powstał już prawie dwieście lat temu. Nagraliście znakomitą, poruszającą płytę „Cześć i chwała bohaterom”. Później był album „W wierszu i boju. 1914–1949”, który mieliśmy przyjemność wydać z tygodnikiem „Sieci”. W pierwszych latach było o was coraz głośniejsze, graliście coraz więcej koncertów, po-*

*wstawał nowy materiał. Ostatnio jednak trochę zniknęliście z radarów. To cisza przed burzą czy bardziej pochłaniają cię inne projekty, np. Szaniec?*

Grupa istnieje, żyje. 3 maja będziemy grali w okolicach Rzeszowa koncert w kwintecie hardrockowym. Ale rzeczywiście gramy sporadycznie i to jest smutne. Jest wyraźnie mniejsze zapotrzebowanie na taką muzykę.

Gdy realizowaliśmy zdjęcia do teledysku „Żywy mur”, jeździliśmy po granicy ze świadomością, że historia zatoczyła krąg, że sowiecka bestia znów się obudziła

Mam takie sygnały od wielu artystów tożsamościowych, zaangażowanych – bardów, zespołów rockowych, raperów, solistów. Rozmawialiśmy o tym, spotykając się na różnego typu uroczystościach. Ożywienie nastąpiło w latach 2015–2016, a później, im bliżej do rocznicowego 2018 r., tym paradoksalnie zainteresowanie spadało. Jakby ta muzyka z etosem była potrzebna tylko na chwilę.

*A może emocje wokół tego typu projektów były większe przed 2015 r., bo wiele osób miało wówczas poczucie, że trzeba wyjątkowo pielegnować patriotyzm, skoro elity nieszczególnie są nim zainteresowane?*

Mam jednak wrażenie, że ta machina pielęgnowania naszego dziedzictwa i oddawania go na nowo młodym pokoleniom gdzieś się zatarła. Idea

zatraciła się na korzyść szumnych akademii. Tęsknię za tamtym zrywem. Przypomnijmy sobie choćby pogrzb Łupaszkę w 2016 r. Morze ludzi maszerowało na Powązki, czuliśmy dumę, wszystkim wyrastały na plecach husarskie pióra. Podobnie na pogrzebie Inki i Zagończyka w Gdańsku, gdzie próbowano nam przeszkadzać. To były wspaniałe, prawdziwie polskie momenty. A gdy w ub.r. żegnaliśmy Łufę, czyli Henryka Wieliczkę – jednego z najlepszych dowódców wśród wyklętych, który oddał życie za Polskę zamordowany na Zamku w Lublinie, odnalezionego w 2021 r. – na cmentarzu była nas garstka.

*Skoro sam wspomniałeś o akademiach – przed paroma dniami otrzymałeś od ministra kultury i dziedzictwa narodowego srebrny medal „Gloria Artis”. Gratulacje, bo to zasłużone odznaczenie. Jakie ma dla ciebie znaczenie?*

Przyznam się, że o nim marzyłem. Absolutnie się o niego nie prosiłem, nie zabiegałem, wnioskodawcą było Stowarzyszenie im. gen. bryg. Bolesława Nieczuja-Ostrowskiego. Ten medal jest wielkim zaszczytem, bo docenia oddawanie prawdy o naszym dziedzictwie, wydobywanie spod ziemi – jak prosił Herbert – z imienia i nazwiska żołnierzy wyklętych, kłanianie się powstańcom warszawskim, ofiarom obozów koncentracyjnych, sowieckich katowni oraz zesłań, bohaterom Solidarności, ofiarom stanu wojennego. O tym właśnie śpiewam od dziewięciu lat.

*Bywa, że twój hold splata się z obecnymi wydarzeniami. Napisałeś utwór „Żywy mur” – kapitalny ukłon dla strażników granicznych, tych dzisiejszych, a także tych z przeszłości, nagrany z dużym rozmachem przez twój zespół*





***Szaniec wspólnie z Orkiestrą Reprezentacyjną Straży Granicznej i Chóru Akademickiego UMCS. Czy gdyby nie nastąpił hybrydowy atak z Białorusi i Rosji na naszą granicę, ten utwór też by powstał? Czy to była potrzeba chwili, by wesprzeć tych, którzy bronili granic, i zaprotestować wobec tych, którzy pluli na ich mundury?***

Te wydarzenia oczywiście rozpalili iskrę. *Spiritus movens* tego projektu był Nadbużański Oddział SG w Chełmie. Zaproszono mnie do skomponowania utworu oddającego hołd żołnierzom Korpusu Ochrony Pogranicza. Inspiracją – deklamowaną w utworze – stało się przemówienie bp. Władysława Bandurskiego do żołnierzy KOP w 1931 r. Mówił im wówczas, że mają być żywym murem, murem wartości. Gdy realizowaliśmy zdjęcia do teledysku, jeździliśmy po granicy ze świadomością, że historia zatoczyła krąg, że sowiecka bestia znów się obudziła.

***Śpiewasz też o zesłaniach w głąb Kazachstanu, Syberii.***

Przygotowałem płytę o tej tematyce. Materiał jest zarejestrowany, szukamy kogoś o dobrym sercu, kto zechce go wydać. To 80-minutowe rockowe oratorium „Noc narasta od wschodu” oparte na poezji Beaty Obertyńskiej, Anny Rudawcowej, Zdzisława Broncia – zesłańców 1940 r.

***Twoje występy kojarzą się z rocznicami, uroczystościami patriotycznymi, wydarzeniami organizowanymi przez IPN, muzea. Nie masz problemu z łatką artysty okolicznościowego?***

Oczywiście, że mam. Ale cóż zrobić... Jestem odrzucony przez społeczność rockową. Nie grozi mi wejście w tryby medialne – do komercyjnych stacji radiowych. Smola ma bana, bo stoi po prawej stronie, goni lewaków w swoich wypowiedziach, promuje obce im wartości. Cała ta machina rynku muzycznego jest mocno zlewaczała. Podobnie jak największa impreza – Przystanek Woodstock. Nie boję się tego mówić, bo tak jest. Wrogów mam już

tak wielu, że się przyzwyczaiłem. Dobrze mi tu, gdzie jestem, a głowę noszę dumnie.

***Czyli jeśli jesteś zagorzałym patriotą, konserwatystą, to musisz się pogodzić z tym, że na polskiej scenie muzycznej będziesz funkcjonował co najwyżej na uboczu?***

Tak. Funkcjonuję raczej niszowo. Ktoś mi powiedział przy wydaniu pierwszej płyty *Contra Mundum*: „Śpiewając o tych wartościach, skazujesz się na medialną banicję”. I tak się stało. Spore problemy mieli też moi koledzy z zespołu, stąd częste zmiany składu. Jestem z tym pogodzony. Niestety, jest nas garstka i nie jesteśmy w stanie przyciągnąć większej części słuchaczy, młodzieży zagubionej w tym kolorowym proszku hinduskiego święta Holi czy w błocie Przystanku Woodstock. Zobacz, ten festiwal ma już prawie 30 lat. Ilu dzieciaków sobie ulepił, jaką część młodego pokolenia straciliśmy?

***Dlatego wpadłeś na pomysł z Dziecięcą Ferajną? By zaszczyć młodemu pokoleniu patriotyczną nutę?***

Na drobną skalę – tak. Pamiętam, że mieszkam w małej gminie, mam pod wodzą raptem 20 dzieciaków, nie-uzdolnionych, żywe srebro. Śmieję się czasem, że ADHD-owców tak jak ja. Kocham z takimi dziećmi pracować. Śpiewamy po okolicznych miasteczkach, wsiach, choć dziś akurat byliśmy w TWP3 Lublin. Prowadzę też Ferajnę ogólnopolską. Istnieje od trzech lat. Gramy duże koncerty z okazji 1 sierpnia czy 11 listopada. Jest w niej ok. 60 utalentowanych dzieciaków z całej Polski. W br. dołączą do nich moje Lubelaki i chór z Małopolski. Będzie setka dzieci, które pokażą, że można się nie wstydzić założyć furażerkę z orzełkiem w koronie, trzymać w dłoni białą-czerwoną flagę, być dumnym Polakiem i świetnie się przy tym bawić.

***Co te dzieciaki pociąga w patriotycznych piosenkach? I co je wyróżnia w ich pokoleniu?***

One czują, że gdy śpiewamy, to dzieje się coś wielkiego. Przy okazji prób opowiadałam im o historii. Tak, by je zaciekawić. I podpowiadałam, by poszperały w dziejach własnych rodzin. Co się okazuje? Jedna prababcia – Syberia, kolejna – Dzieci Zamojszczyzny, niedawno jeden z liderów Ferajny, Nikodem, powiedział mi, że jego pradziadek i prapradziadek zginęli w Auschwitz, rodzina dokopała się do papierów. Te dzieci zaczynają czuć historię, otwierać się na nią. Muszą mieć czas na zabawę, na błahostki, ale musimy im dodać coś jeszcze. Wyważyć proporcje. Jestem przeszczęśliwy, że one lubią te nasze śpiewy, rzucają inne zajęcia, by lecieć do Smoły na lekcję [śmiech]. A to pójdziemy na grób do Uskoka, a to zapalimy lampkę na grobie Zimnego i Kruka, opowiem im o Sybirakach, zaśpiewamy kolędy powstańców styczniowych. Te dzieci mają już coś więcej niż Instagram i Netflix. Już niosą plecak, w którym jest ojczyzna.

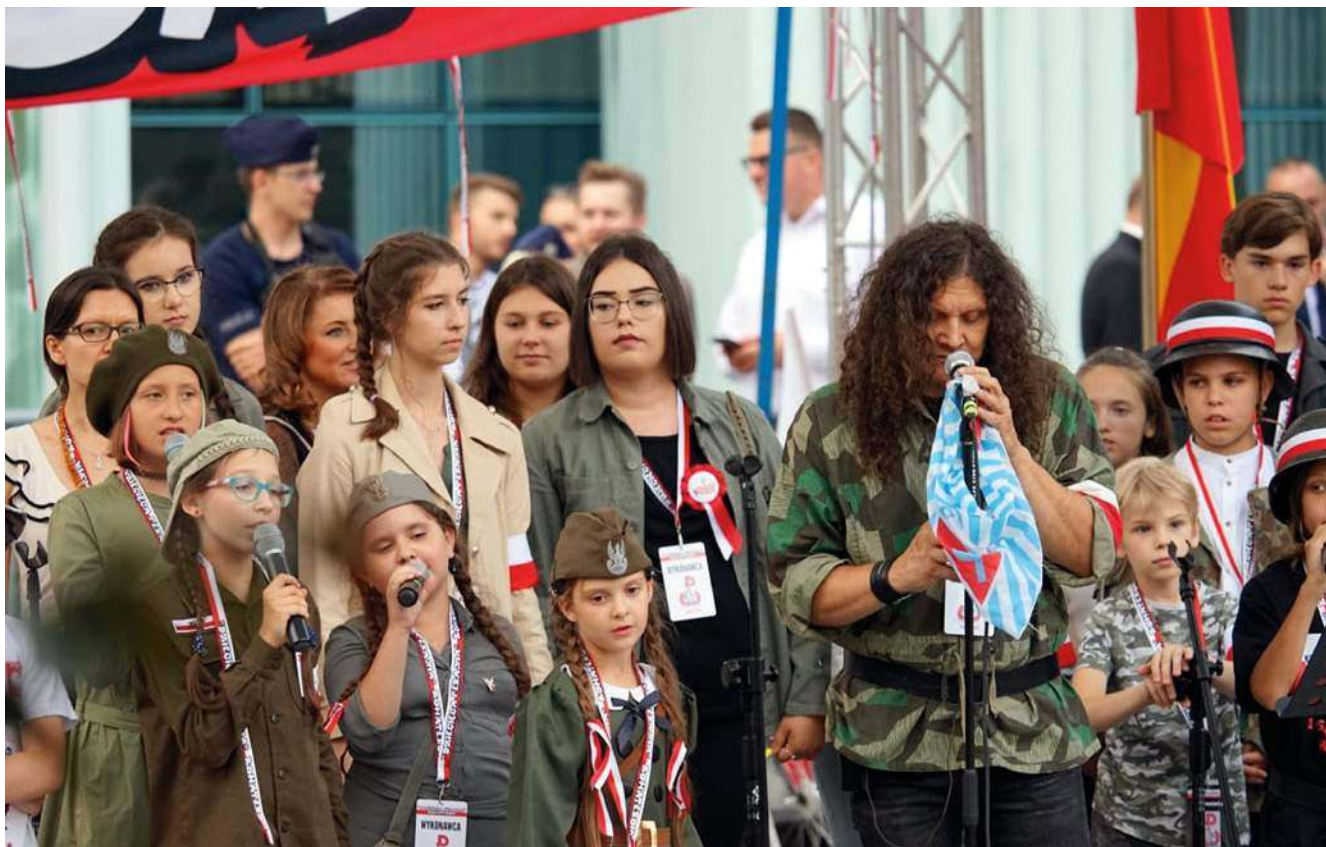
***Rockman został wychowawcą.***

Chcę nim być mimo długich włosów i motocykla. To są normalne, fajne, megazdolne dzieci, świetnie wysportowane, trenują sztuki walki, pięknie rysują, tańczą. Za chwilę pójdą do dobrych liceów. Są przyszłością Polski.

***Ferajna będzie się rozrastać?***

Na razie jest nas na co dzień 20. Ale może uda się stworzyć takich grup choćby kilkanaście. Moim planem jest powstanie oddziałów Dziecięcej Ferajny w każdym większym mieście. Mam znajomych, którzy chętnie by się w to włączyli. Bardzo mi na tym zależy, bo wciąż aktualne, a dziś może nawet szczególnie ważne są słowa Jana Zamoyskiego z 1600 r.: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

***W nowym programie śpiewasz utwory Przemysława Gintrowskiego, sięgasz po wiersze Zbigniewa Herberta. Tego pierwszego nie ma z nami już od dekady, drugiego – od ćwierćwiecza. Jak bardzo są dla Ciebie ważni i jak silna jest dziś pamięć o wielkim poecie i wielkim bardzie?***



Fot. Marcin Pyciński

Dla mnie są najważniejsi. Gintrowski od pierwszej klasy ogólniaka. Zawsze kochałem jego i anglosaskie zespoły rockowe. I w 2014 r. udało mi się to połączyć. Teraz gram program „Ślepcy”, który stworzyłem z przyjaciółmi z Lublina. Nie zniekształcamy tego materiału, nie wywijamy go na lewą stronę, gramy to w oryginałach. Oczywiście nikt nie zaśpiewa jak Gintrowski, ale próbuję wejść w ten jego mocny, charczący tembr. W przestrzeni publicznej bardzo mi tych panów brakuje. Bard ma oczywiście festiwal Pamiątki w Kołobrzegu, a „książę poetów” w tym samym mieście Herbertiadę – serdeczne pozdrowienia dla jej twórców, państwa Pechmanów. Również wielkie ukłony dla Polskiego Radia Rzeszów za pielegnowanie pamięci o mistrzach. Ale to wszystko moim zdaniem za mało.

**Czy po 24 lutego 2022 r. masz poczucie, że to, o czym śpiewasz, jest jeszcze ważniejsze? Że wojna i konieczność ochrony ojczyzny z bronią**

Moim planem jest powstanie oddziałów Dziecięcej Ferajny w każdym większym mieście. Bardzo mi na tym zależy, bo wciąż aktualne, a dziś może nawet szczególnie ważne są słowa Jana Zamoyskiego z 1600 r.: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”

**w rękę to nie tylko pieśń przeszłości, lecz także może okazać się wyzwaniem naszych czasów?**

Wiosną ub.r. wszystko na koncertach stało się inne. Nawet młodzież reaguje inaczej. Zwłaszcza przy „Tupocie nóg

soldackich” z pierwszego albumu. Słysząc zapowiedź, że to utwór profetyczny, że historia potrafi zatoczyć koło i to, co obserwujemy dziś na Ukrainie, wydarzyło się u nas we wrześniu 1939 r. W marcu, kwietniu wielokrotnie wykonywałem tę piosenkę autentycznie z drżącym gardłem i mokrymi oczami. Zmieniliśmy wizualizację sceniczną. Pojawiły się oddziały rosyjskie bombardujące ukraińskie miasta i wsie, przeplatane z wkraczaniem armii sowieckiej w 1939 r. To ta sama armia, ta sama czerwona gwiazda.

**Rozmawiasz o tym z publicznością?**

Jasne. Młodzież to doskonale czuje. I rozumie, że przed 2022 r. to nie były „strachy na lachy”, że powinniśmy już od dawna zbroić naszą armię, ale też pamiętać o dzieciństwie i bohaterstwie przodków. Jedno i drugie ma kluczowe znaczenie dla przetrwania narodu.





# Płotki, pieniacze i żarłacze w ZLP

Jerzy Putrament  
i Jarosław Iwaszkiewicz

Iwaszkiewicz zawsze lubił być blisko władzy, Putrament cenił konszachty z władzą chyba bardziej niż własne pisarstwo. Przez lata razem rządili ZLP. Jednym pomagali, innych odstawiali na boczny tor. Czasem, jak w przypadku Luni Brystygierowej czy żony uwięzionego Wacława Kostka-Biernackiego, przed wojną komendanta obozu w Berezie Kartuskiej, były to decyzje zaskakujące

Fot. Dariusz B. Lomaczewski/Ena News

## **Z Tomaszem Potkajem, autorem książki „Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich w PRL-u”, rozmawia Maciej Walaszczyk**

**Dlaczego książkę zatytułował pan „Akwarium...”? Żeby kojarzyła się z powieścią Suworowa? Co nam mówi o Związku Literatów Polskich w tamtych czasach?**

**Tomasz Potkaj:** To prawda, akwarium kojarzy się z Wiktorem Suworowem, a także ze Stefanem Kisielewskim. Napisał on pod pseudonimem Tomasz Staliński powieść „Ludzie w akwarium”, którym była dla niego kamienica w al. Szucha, wówczas al. Wojska Polskiego, gdzie mieszczał wspólnie z PRL-owskimi dygnitarzami, z którymi mijał się na klatce schodowej. Moje „Akwarium” jest zapożyczone od Zbigniewa Herberta z rozmowy, którą w połowie lat 80. przeprowadził z nim Jacek Trznadel, a weszła ona do tomu „Hańba domowa”. A ten znów tytuł autor wziął od Norwida. Myślę, że ta metafora jest czytelna, bo ZLP był w jakiejś mierze osobnym ekosystemem z małymi i grubymi rybami, który rządził się swoimi prawami.

**Ale literaci byli pilnie kontrolowani przez KC PZPR i bezpiekę. Czy tacy ludzie jak wieloletni prezes związku Jarosław Iwaszkiewicz zapewniali im pewną izolację od systemu?**

Oczywiście Związek Literatów był kontrolowany jak każda instytucja w PRL. Grono tajnych współpracowników było w nim wyjątkowo liczne i niewiele jest środowisk, w których było tak wielu agentów jak tam, co zostało już zbadane i opisane na podstawie archiwów IPN. Bezpieka starała się wszystko wiedzieć, rozgrywać, przewidywać zagrożenia. Jarosław Iwaszkiewicz w jakiejś mierze zapewniał pisarzom parasol bezpieczeństwa, a także potrafił załatwić dla środowiska różne sprawy, dlatego na kolejnych zjazdach koledzy wybierali go na funkcję prezesa. Kontrkandydata, wysuniętego przez opozycję związkową, miał tylko raz – w 1972 r. na łódzkim zjeździe. Igor Newerly oczywiście z nim przegrał, choć uzyskał niezły wynik. Przy tym wszystkim Iwaszkiewicz był uważany za pisarza dużego formatu, co też było

istotne. Np. Gierek miał do niego wyraźną słabość. Kiedy po zjeździe ZLP w Katowicach w kwietniu 1978 r., który miał bardzo niekorzystny z punktu widzenia władz przebieg, suflowano mu rozwiązanie związku i powołanie w jego miejsce innej organizacji, stanowczo się nie zgodził.

**Jednak w tamtych czasach każdy autorytet można było zmiażdżyć. A Iwaszkiewicz trwał. Decydowała jego lojalność wobec PZPR, cechy charakteru?**

Iwaszkiewicz zawsze lubił być blisko władzy. Po prostu kochał splendor. W 1927 r., w okresie rządów sanacyjnych, objął funkcję attaché kulturalnego w Kopenhadze. W PRL był wieloletnim posłem na Sejm, zasiadał w rozmaitych gremiach, otrzymał Nagrodę Leninowską.

**Inny skamandryta, Jan Lechoń, też był wtedy dyplomatą w Paryżu, ale potem skończył na emigracji.**

Lechoń żył w biedzie i zakończył życie śmiercią samobójczą. Iwaszkiewicz w PRL mieszkał w pałacyku jak ziemianin. Lechoń uważał go za zdrajcę. Nie utrzymywali kontaktów.

**Podobną postacią był Jerzy Putrament. Przed wojną żagarysta, a nawet działacz Młodzieży Wszechpolskiej. Ale do kraju wrócił w mundurze politruka armii Berlinga. Udało mu się nawet przetrwać oskarżenia o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Skąd jego siła?**

Już w 1944 r., kiedy pojawił się w Lublinie w mundurze wojskowym, był wyznaczony do pełnienia funkcji nadzorca literatury z ramienia partii. I pozostał nim przez lata. Był wysoko usytuowany w hierarchii władzy, przez pewien czas zasiadał w Komitecie Centralnym. Miał niezwykłą umiejętność wyczuwania, skąd wieją wiatry, co umożliwiło mu współpracę z kolejnymi ekipami władzy.

**Ale w przeciwieństwie do Iwaszkiewicza nie był dobrym pisarzem.**

Na pewno nie był pisarzem tej miary, choć jego książki w PRL były wydawane masowo. Namietność do polityki i literatury ścierały się w nim przez całe życie. Putrament przez lata nieformalnie rządził związkiem jako sekretarz podstawowej organizacji partyjnej i jeden z wiceprezesów. Po śmierci Iwaszkiewicza w lutym 1980 r. przez 10 miesięcy, do wyboru następcy, którym został Jan Józef Szczepański, kierował nim w sposób formalny. Ale szans na prezesurę nie miał także wcześniej i przy wszystkich swoich ambicjach był świadomy, że może zostać najwyżej numerem dwa przy Iwaszkiewiczu.

**Pana książka zawiera dużo bardzo interesujących historii o ludziach często mało znanych. Historia Jerzego Kornackiego i starszej od niego żony Heleny Boguszewskiej jest wymowna. Ludzie lewicy, nawet działacze PKWN, zostali zniszczeni przez SB.**

Przypadek Jerzego Kornackiego skupia w sobie wątek polityczny, obyczajowy, związkowy i może w najmniejszym stopniu literacki, bo był słabym pisarzem. Na początku lat 60. po Warszawie zaczęły krążyć anonimowe wierszyki zawierające treści obsceniczne i krytyczne wobec przywódców partyjnych z Gomułką na czele. W tamtym systemie dało się to podciągnąć pod działanie na szkodę interesów PRL, za co był stosowny paragraf. SB dużym nakładem środków wpadła na trop anonimowego autora, którym okazał się członek ZLP Jerzy Kornacki. Aresztowano go i skazano. Związek próbował go bronić, choć w prawach członka go zawieszono. Iwaszkiewicz i Jerzy Zawieyski interweniowali w jego sprawie, związek wsparł Helenę Boguszewską, która została bez środków do życia. Więzienie zламаło życie Kornackiemu i jego żonie. Do końca pozostali na marginesie życia literackiego.

Zarekwirowano również prowadzony przez niego dziennik zatytułowany „Kamieniolomy”. Odnaleziono go potem w archiwach MSW. Z wielu jego tomów tylko dwa są dostępne – reszta znajduje się w posiadaniu rodziny. To specyficzna



lektura, pełna obyczajowych niedyskrecji, choć słaba literacko. Pewnie nie nadaje się do druku, ale badacze znajdują tam sporo ciekawych, nieznanych rzeczy. Trochę szkoda, że nie mogą czytać całości.

### ***Która z wielu postaci, opisanych przez pana, wydaje się szczególnie interesująca?***

Na pewno Robert Stiller, znany głównie jako tłumacz z wielu języków. We wczesnych latach 50. jak wielu w tym środowisku żył w potwornej biedzie. Pisał przejmujące podania do związku i w końcu dostał przydział na służbowe mieszkanie w Domu Literatury, najładniejsze, ponadstumetrowe, w którym wcześniej mieszkała Zofia Nałkowska. Po pewnym czasie zarząd podjął decyzję o powiększeniu biblioteki kosztem m.in. tego mieszkania, w związku z czym grzecznie poproszono pana Stillera, by opuścił lokal. Ale on nie miał zamiaru się wyprowadzać. Jego konflikt z ZLP trwał przez dwie dekady, zachowała się dokumentacja, więc tę historię, nieznana wcześniej, mogłem opisać w szczegółach.

### ***Nabawił się przez to choroby psychicznej?***

Był piniaczem. Uważał, że związek ma obowiązek go utrzymywać jak dobro narodowe, płacić stypendia na naukę kolejnych języków. Miał wyjątkowo rozwinięte poczucie własnej wartości, niespotykane nawet wśród pisarzy, z których spora część – jak wiemy – uważa się za geniuszy.

### ***Czy życie w tzw. akwarium, z cenzurą na karku, pozwalało na rozwój talentów? Czy związek, w którym walczano przede wszystkim o przywileje socjalne, o to dbał?***

Wpływowym członkiem krakowskiego oddziału ZLP był Kornel Filipowicz, twórca odrębny i wyjątkowy, którego wartość odkrywają dziś kolejne pokolenia. A w Warszawie np. Wiesław Myśliwski, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich. Czy Zbigniew Herbert, którego koledzy wybrali nawet do zarządu głównego, choć do pracy związkowej nadawał się słabo. Zależy, czyją twórczość

będziemy analizować i w jakim okresie. Zmuszanie w latach 50. ub.w. do pisania koszmarnych wierszydeł sławiących Stalina czy powieści produkcyjnych było oczywiście tłumieniem talentów. Ale przecież nie wszyscy dali się zwieść. A poza tym zwykle tak bywa, że w jednym stowarzyszeniu pisarzy spotykają się ci wybitni, ci przeciętni i zwykli grafomani.

### ***Pana zdaniem część znanych tytułów powstała w domach pracy twórczej wykreowanych w tamtych czasach. A więc to nie tylko miejsca dla kochanki i wódka?***

Do związku nie przyjęto Luni Brystygierowej. Komisja kwalifikacyjna odmówiła jej rekomendacji. Środowisko nie zgodziło się na mieszanie porządku ubeckiego z literackim. I w tym przypadku nie dyskutowano nawet o wartości jej książek

Starłem się zmierzyć z mitem domów pracy twórczej, który koncentruje się na ekscesach alkoholowo-towarzyskich. Tam rzeczywiście pito wódkę, romansowano, kwitło życie towarzyskie. Józef Hen tymczasem powiedział mi, że 70 proc. swoich rzeczy napisał w dworku w Oborach. Oderwanie się od codziennych obowiązków na kilka tygodni po to, by za niewielkie pieniądze poświęcić się pracy twórczej i twórczym kontaktom z kolegami pióra to wielka sprawa, doceniana także przez tych pisarzy starszego pokolenia, którzy nie byli piewcami tamtego systemu.

### ***Janusz Przymanowski w domu pracy twórczej napisał nie tylko powieść „Czterej pancerni i pies”, lecz także znalazł żonę.***

Ją akurat poznał w związkowej Villi Astoria w Zakopanem. Maria Hulewiczowa

była sekretarką i towarzyszką życia wicepremiera Stanisława Mikołajczyka. Po jego ucieczce z kraju spędziła kilka lat w więzieniu. Wyszła jeszcze przed polskim Październikiem, koleżanka z wydawnictwa załatwiła jej pobyt w domu Związku Literatów, żeby doszła do siebie i podratowała zdrowie. I tam poznała Janusza Przymanowskiego, który był mocno partyjny. Jak się okazało, mimo tak różnych biografii i poglądów politycznych pokochali się i zostali małżeństwem. Nie na długo jednak.

### ***Opisuje pan też niewiarygodną historię żony Wacława Kostka-Biernackiego, przed wojną nadzorującego obóz w Berezie Kartuskiej. Dlaczego pomógł jej Putrament?***

Kostek-Biernacki, oskarżony o zwalczanie ruchu rewolucyjnego i faszyzację Polski, został skazany na karę śmierci, którą zamieniono później na karę wieloletniego więzienia. W okolicach odwilży, schorowany, wyszedł z więzienia i krótko po tym zmarł. Jego żona Anna nie miała z czego żyć. Jerzy Putrament załatwił jej pracę w bibliotece Domu Literatury, gdzie przetrwała do emerytury. Mówiąc ówczesnym językiem, zatrudnił żonę wroga klasowego, choć nie musiał tego robić. Co pokazuje, że postacie, które oceniamy dziś negatywnie, także czasem potrafiły zachować się przyzwoicie.

### ***Członkiem władz związku był w pewnym momencie Paweł Jasienica, a właściwie Leon Beynar. Jako żołnierz zgrupowania AK Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” zwalczał sowieckich partyzantów, zabijał PPR-owców, co mu potem wypominano.***

Gdy wyszedł z więzienia za wstawieniem Bolesława Piaseckiego i Luni Brystygier, chciał wrócić do normalnego życia, a więc do pisania. A ktoś, kto chciał w PRL wydawać książki, musiał należeć do związku. Jasienica nie spełniał zresztą kryteriów statutowych, bo miał zaledwie jedną wydaną książkę, a trzeba było mieć dwie, więc przyjęto go jako członka kandydata – ten twór zlikwidował sam związek po 1956 r. Po Październiku Jasienica wszedł nawet do zarządu głównego.

W 1968 r. Władysław Gomułka, w ramach antysemickiej nagonki, wyciągnął Jasienicy Łupaszkę z akt ubeckich. Zarzucił mu nie tylko udział w wykonaniu wyroków na komunistach w białostockiej wsi Narewka, lecz także niejasne okoliczności opuszczenia więzienia z sugestią, że zobowiązał się do jakiejś formy współpracy. Jasienica oczywiście nie mógł bronić się publicznie, bo żadna gazeta nie wydrukowałaby jego sprostowania. Ale wysłał list do kilku instytucji, w tym do ZLP, w którym wyjaśniał, jak było, zaznaczając, że nie miał nic wspólnego z działalnością Łupaszki po wojnie. Dziś wiemy, że takie kontakty jednak miał, do czego wówczas absolutnie nie mógł się przyznać. A z ZLP nie został wyrzucony, mimo że domagał się tego sam Gomułka.

#### ***Który z partyjnych sekretarzy był poza okresem stalinizmu dla literatów najgorszy? Towarzysz Wiesław?***

Gomułka był wręcz groteskowy w swojej niechęci do świata kultury, w tym do pisarzy. W jednym ze swoich publicznych wystąpień odwołał się np. do opowiadania 30-letniego wówczas Ireneusza Iredyńskiego „Dzień oszusta”, o którym powiedział, że „ten człowiek żyje tak, jak pisze”. Iredyński nie pozostał dłużny. Określił Gomułkę mianem „wicechuja”, co było w jego słowniku największą obelgą. Gomułka wściekał się też na Kisielewskiego czy Szpotańskiego, który zresztą nie był członkiem Związku Literatów.

#### ***Największą przewiną dla komunistycznych władz w tamtych czasach był druk w pismach emigracyjnych?***

To prawda. Publikacje choćby w Instytucie Literackim Giedroycia były traktowane jak zdrada. Dlatego najczęściej – jak Stefan Kisielewski przez lata – robiono to pod pseudonimem. W latach 70. ub.w. pod własnym nazwiskiem Kazimierz Orłoś wydał w Paryżu „Cudowną melinę”. Został za to objęty całkowitym zakazem druku, stracił też pracę w Polskim Radiu. Na szczęście mógł zatrudnić się jako radca prawny.

#### ***A wpływowe kobiety? Izabela Czapka-Stachowicz, tuż po wojnie kapitan MO, przed wojną bardzo znana, pro-***

#### ***wadząca bujne życie, pierwowzór Heli Bertz z „Pożegnania jesieni” Witkacego? Jaka była jej rola w związku?***

Czapka-Stachowicz przed wojną była znana w środowisku warszawskiej bohemy. Po wojnie postanowiła zostać pisarką. Chciała też wstąpić do związku, ale ponieważ w środowisku dość powszechnie uznawano ją za grafomanę, nic z tego nie wyszło. Po kilkuletnim okresie kandydackim skreślono ją z list członków. W końcu pomocną dłoń wyciągnął do niej Marian Eile, naczelny „Przekroju”, drukując jej relacje z podróży, bo sporo jeździła po świecie, co było wtedy rzadkie. A „Przekrój” dawał popularność. Z opowiadań powstała książka i w końcu Czapka została przyjęta do związku.

#### ***A dlaczego nie przyjęto Luny Brystygierowej?***

Ona akurat spełniała kryteria formalne, bo po likwidacji MBP opublikowała pod panińskim nazwiskiem Julia Prajs dwie książki. Ale komisja kwalifikacyjna odmówiła jej rekomendacji. Środowisko nie zgodziło się na mieszanie porządku ubeckiego z literackim. I w tym przypadku nie dyskutowano nawet o wartości tych książek.

#### ***A Alicja Lisiecka? Krytyk, femme fatale?***

To tragiczna postać. W latach 60. słynęła z najzgrabniejszych nóg w Warszawie i tego, że się znakomicie ubierała. Była

krytyczką literacką w IBL i kochanką Stefana Żółkiewskiego, niezmiennie zasłużonego dla komunistycznej dyktatury. Pod koniec lat 60. wyemigrowała na Zachód, w latach 80. wróciła do Polski schorowana i zgorzkniała.

#### ***Zajmowano się również życiem osobistym pisarzy?***

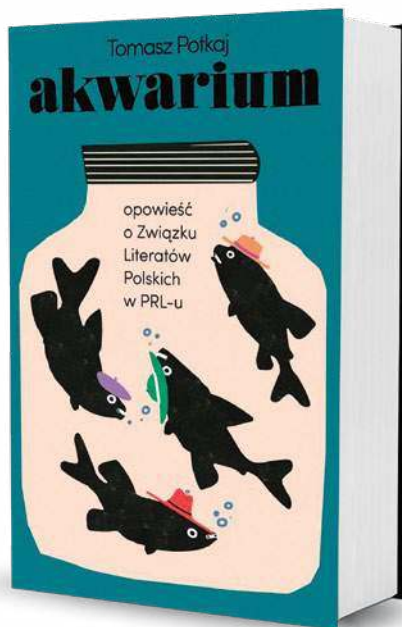
Szczególnie w okresie stalinowskim na forum podstawowej organizacji partyjnej miały miejsce różnego rodzaju polajanki dotyczące złego prowadzenia się. Taką rozmowę dyscyplinującą przeprowadzono np. z Jerzym Andrzejewskim prawdopodobnie za jakiś eksces homoseksualny albo alkoholowy. Zwracano uwagę Romanowi Bratnemu na niewłaściwy klasowo związek z jedną z sióstr Wahl. Gdy Julian Przyboś się rozwiódł, żona skarżyła się, że nie płaci jej alimentów. Takich smaczków było więcej.

#### ***Tania stołówka dla literatów. O tym wiele pan pisze. Dlaczego to było takie ważne?***

Przynależność do ZLP uprawniała do tańszych obiadów w związkowej stołówce. Sporo pisał o tym choćby Tyrmand w „Dzienniku 1954”. Dla pozbawionego możliwości zarobkowych pisarza egzystującego na marginesie środowiska zjedzenie ciepłego posiłku było wręcz kwestią przetrwania. Ale stołówka obok kawiarni pełniła też ważną funkcję towarzyską. Przy stolikach omawiano plotki, wydarzenia polityczne, było to centrum nieformalnego obiegu informacji.

#### ***Związek przyznawał też mieszkania. Po wojnie oferowano nawet piękne wille na Ziemiach Odzyskanych. Pisarze ciągnęli jednak, gdy było już to możliwe, do stolicy. Dlaczego?***

Warszawa była i jest nadal najważniejszym miejscem na mapie polskiej kultury, tutaj mieściły się redakcje, wydawnictwa, radio, telewizja. Tu były prestiż i pieniądze. Kto ich pragnął, musiał tu mieszkać. Przykład. Jerzy Andrzejewski miał w Szczecinie piękny dom, ale zupełnie się tam nie odnalazł. Od strony literackiej te kilka lat było dla niego zupełnie stracone. Wrócił do Warszawy w 1954 r., kiedy tylko dostał w mieszkanie.







# Pancerny generał

*Z wykształcenia filozof, z temperamentu komandos, a z konieczności czołgista. Żaden z polskich dowódców nie miał tak dużego udziału w wyzwolaniu Europy Zachodniej w czasie II wojny światowej. Nazwisko Stanisława Maczka znaleźć można na setkach pomników, tablic nazw parków i skwerów rozsianych po Francji, Niderlandach, a także Szkocji*



**WOJCIECH ŁADA**

**B**ył człowiekiem energicznym. Zaledwie trzy dni zajęła mu ucieczka z frontu włoskiego do Krakowa, a pod koniec miesiąca ruszał na czele swojej kompanii na odsiecz Lwowa. Miał tego dnia 26 lat, stopień porucznika, a jego mundur błyszczał licznymi odznaczeniami otrzymanymi za walki nad rzeką Isonzo i wiele spektakularnych akcji przeprowadzonych

w elitarnych jednostkach strzelców alpejskich. Jego żywiołem były karkołomne rajdy narciarskie po stromych zboczach gór, ekstremalna wspinaczka po pionowych stokach i wciąganie w śnieżne zasadzki przeciwników zupełnie nieprzygotowanych do prowadzenia takiej wojny.

Miał walczyć w Legionach, ale nie zdążył. Zdobył już pewną wojskową ogładę

FOT. MAC

w Związku Strzeleckim, zdążył nawet poznać Piłsudskiego, ale cesarz był szybszy niż komendant – mając lat 21, Maczek został żołnierzem armii austriackiej. Ale tak po prawdzie bardzo na tym skorzystał. Austriacy poznali się na nim błyskawicznie. Był wówczas człowiekiem starannie wykształconym. Studia podjęte we Lwowie musiał co prawda przerwać z powodu wojny, ale kilka lat pilnej nauki filozofii oraz filologii polskiej zrobiło swoje. Jego ogląda musiała rzucać się w oczy, skoro zamiast na front skierowano go z miejsca na kilkumiesięczne przeszkolenie oficerskie w Grätzu. Tam też zapewne stwierdzono, że oprócz nabytej erudycji młody Polak jest też człowiekiem wyjątkowo sprawnym fizycznie, wysłano go więc na przeszkolenie z narciarstwa, wspinaczki wysokogórskiej, a także działań dywersyjnych w takich właśnie warunkach. Można przypuszczać, że w 1915 r. Maczek był już w zasadzie nie tylko wykształconym dowódcą z pewnym doświadczeniem frontowym, lecz także komandosem błyskawicznie podejmującym decyzje, lubiącym ryzyko i ceniącym dynamiczne prowadzenie wojny.

Nic też dziwnego, że wkrótce otrzymał przydział do elitarniej, międzynarodowej jednostki Kaiser-Jäger – złożonej z takich jak on, doskonale rokujących, świetnie wytrenowanych, a do tego potrafiących myśleć samodzielnie żołnierzy z górskich obszarów Słowenii, Austrii i Chorwacji. Nawiasem mówiąc, zwłaszcza wśród tych ostatnich musiał czuć się jak w domu, bo jego rodzina pochodziła właśnie z Chorwacji, a jeden z jego krewnych, Władko Maček, był nawet wicepremierem przedwojennej Jugosławii.

Zresztą Maczek w ogóle lubił środowisko międzynarodowe. Doskonała znajomość języków klasycznych miała tu może mniejsze znaczenie, ale już biegłe posługiwanie się ukraińskim, czeskim, włoskim, słoweńskim, chorwackim, a także perfekcyjne – niemieckim i francuskim, z pewnością bardzo ułatwiało kontakty zarówno służbowe, jak i czysto towarzyskie. Nie wspominając o tym, że wychował się w prawdziwym tyglu narodów, którym był przed wojną Kresy, a on, zupełnie pozbawiony szowinizmu i polskiej megalomanii, chętnie chłoniął to, co najlepsze z sąsiednich kultur.

„Czy już wtedy odkrył w sobie powołanie do zawodu wojskowego? Wydaje się, że nie był wówczas jeszcze zdecydowany zmienić plany zawodowe, ale dobrze czuł się w wojsku” – zastanawiał się jego biograf Piotr Potomski. Jeśli tak, to decyzję paradoksalnie ułatwił mu koniec wojny. Odradzająca się Polska nie potrzebowała zbyt pilnie filozofów, za to żołnierzy owszem. 11 listopada 1918 r. Maczek wraz ze swoim ordynansem opuścili więc nielegalnie jednostkę i ruszyli w kierunku Galicji.

Jest w tym zresztą coś symbolicznego, bo ów ordynans był Ukraińcem i kiedy rozstawali się serdecznie w Wiedniu, obaj doskonale zdawali sobie sprawę, że już wkrótce staną po wrogich stronach kolejnej wojny.

## PIŁSUDSKI ZDEZORIENTOWANY

Nie minął nawet miesiąc, kiedy Maczek – już w polskim mundurze – wyzwalał Ustrzyki Dolne, zdobywał ukraińskie pociągi pancerne, a jego jednostka wiązała skutecznie siły przeciwnika w okolicach Chyrowa. A już na wiosnę jako dowódca własnego lotnego oddziału odbijał z rąk ukraińskich Drohobycz, Borysław, wreszcie Stanisławów. Mógł czuć się w tej wojnie dość nieswojo – urodził się na tych terenach, rozumiał więc Ukraińców, a zrozumienie to podsycały z pewnością wspólne rozmowy w okopach i zawierane w nich przyjaźnie. Ale jeśli nawet czuł dyskomfort, to nie dał tego po sobie poznać.

Pod wrażeniem skuteczności i energii młodego dowódcy był nawet bardzo zazwyczaj krytyczny Piłsudski, który wkrótce awansował go na porucznika. Nieco zaś później – tym razem za równie błyskotliwe wyczyny podczas wojny polsko-bolszewickiej – kapitanem. W obu tych wojnach wyróżniał się dynamiką i spontanicznością decyzji, zazwyczaj wprowadzając w błąd przeciwnika. „Wielokrotnie zaskakiwał przeciwnika zarówno wyborem czasu i kierunku uderzenia, jak i szybkością, śmiałością, a także niekonwencjonalnością działań” – oceniał Piotr Potomski.

Jeśli Maczek wahał się jeszcze w kwestii wyboru ścieżki kariery, to w tym momencie przestał. W pewnym sensie wybrano za niego: po zakończeniu



## W Edynburgu

*Stanisław Maczek przeżył 102 lata, z czego ponad połowę w Szkocji. Dziś Edynburg jest pełny pamiątek po zasłużonym generale*

**W** eksponowanym miejscu, przy słynnej Royal Mile – Królewskiej Mili, można przysiąc na ławeczce wbudowanej w pomnik legendarnego polskiego dowódcy. O jego zasługach informują tu dwie tablice, kolejna wisi na kamienicy, w której mieszkał.

Ale po II wojnie światowej nie było tak pięknie. Poza środowiskiem polonijnym mało kto wiedział, że jeden z najznakomitszych dowódców alianckich pędzi skromny żywot z rodziną w Edynburgu, utrzymując się z pracy barmana.

Po demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie Maczek pozostał na emigracji. Drogę powrotu do ojczyzny miał odciętą, gdyż w 1946 r. komunistyczne władze odebrały mu polskie obywatelstwo. Choć nie była to już wojna, trudne czasy nie minęły. Miał na utrzymaniu liczną rodzinę. Prócz żony Zofii i starszych dzieci: Renaty (ur. 1931) i Andrzeja (ur. 1934), ewakuowanych w 1939 r. wraz z polską armią, na emigracji urodziła się





najmłodsza córka Małgorzata, częściowo sparaliżowana i przykuta do wózka inwalidzkiego.

Po przejściu do cywila Anglicy nie przyznali Maczkowi nawet niewielkiej wojskowej emerytury. Wraz z kilkunastoma innymi generałami dostał tylko jednorazową dotację 1 tys. funtów i dwukrotnie większą pożyczkę. Te sumy, nawet z dodaniem wcześniejszych oszczędności, z wielkim trudem wystarczyły w 1948 r. na zakup i wyposażenie szeregowego domu przy Arden Street 16 w peryferyjnej wówczas dzielnicy Marchmont. Niewykluczone, że już wtedy rodzinę generała dyskretnie wspomagały finansowo władze w Hadze. Z czasem otrzymał wszak honorowe obywatelstwo Królestwa Niderlandów. Jednak Maczkowie jako miejsce nowego życia wybrali Szkocję. Dlaczego? Bo tam polscy żołnierze podczas wojny byli traktowani wyjątkowo przyjaźnie.

Ale by utrzymać rodzinę, opłacić pielęgniarkę i leki dla chorej córki, regulować bieżące rachunki, spłacając jednocześnie raty brytyjskiej pożyczki, była potrzebna stała posada z ubezpieczeniem. Najpierw 56-letni już Maczek zatrudnił się jako sprzedawca w sklepie swojego dawnego podkomendnego. Potem całe lata pracował jako barman w hotelach należących do innego byłego podkomendnego, sierż. Jana Tomasika. Zarabiał 10 funtów tygodniowo. Przed przejściem na emeryturę pracował jako barman i recepcjonista w klubie sportowym.

Podczas niedawnej wizyty w Edynburgu zrobiłem rajd po miejscach związanych z gen. Maczkiem. Na frontonie jednorodzinnej budynku z jasnego piaskowca przy Arden Street 16 znalazłem tablicę informującą, że w tym domu od 1948 do 1994 r. mieszkał legendarny dowódca polskiej 1. Dywizji Pancernej z czasów II wojny światowej.

Zielone drzwi są zamknięte, ale uruchamiają wyobraźnię. Za nimi toczyło się niełatwe życie rodzinne Maczków

wojen na wschodzie i ustaleniu granic Polski, zasypały go kolejne awanse, coraz wyższe przydziały, a co może najważniejsze – możliwość dodatkowego kształcenia. I właśnie temu ostatniemu oddał się w pierwszych latach niepodległości bez reszty. Służba garnizonowa, dowodzenie skoszarowanymi jednostkami, praca administracyjna – choćby tak istotna jak w Sztabie Głównym – nudziły go. Miał zaledwie 30 lat, za biurkiem czuł się jak na emeryturze. Kiedy więc tylko pojawiła się okazja, natychmiast podjął studia w Wyższej Szkole Wojennej, będącej wówczas, choć nieformalnie, akademią polsko-francuską. „Wybitny. Wielkie zalety charakteru i duża wartość moralna.

Bardzo energiczny, pełen inicjatywy. Oficer o gruntownej wiedzy wojskowej i z doświadczeniem liniowym. Samodzielny, szybki, śmiały w podejmowaniu decyzji” – zapisano w jego opinii na zakończenie nauki.

Czy już wówczas interesowały go nowe techniki wojenne? Wiadomo, że miał do nich smykałkę. Jego pokolenie poznało koszmar i absurd wojny pozycyjnej, potrafiło więc wyciągnąć z niej wnioski. Lansowana przez Maczka taktyka polegała na wojnie manewrowej i zaczepnej – wciąż bazującej na piechocie, ale silnie już wspomaganą przez artylerię i lotnictwo. „Słabo się orientuję, jedynie Maczek wie, o co chodzi” – przyznał Piłsudski po jednej z gier wojennych. Nie jest zresztą chyba przypadkiem, że do organizacji jednostek pancerno-motorowych przystąpiono dopiero po śmierci marszałka. A szukając dla nich dowódcy, natychmiast pomyślano o Maczku.

„Nie uważał się za znawcę broni pancernej i oddziałów zmotoryzowanych, mimo że znany był w swoim środowisku z zainteresowań tym rodzajem wojsk. Dawał temu wyraz na ćwiczeniach i grach wojennych, wprowadzając do założeń aplikacyjnych użycie broni pancernej i motorowej” – potwierdzał Potomski. I właśnie dzięki temu

w październiku 1938 r. Maczek został dowódcą 10. Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej – pierwszej w polskich siłach zbrojnych jednostki pancernej. Niecały rok dzielił go wówczas od zastosowania jej w wojennej praktyce.

## WRZESIEŃ, FRANCJA, CASABLANCA

I sprawdziła się doskonale, choćby w walkach pod Jordanowem, Łańcutem, Rzeszowem czy Lwowem. „Stosowaliśmy wszelkie formy aktywnego działania: wypadły i przeciwdzierzenia, dwoiłiśmy się i troili, »sprzedawaliśmy« po kilka razy tę samą kompanię czołgów i skromne dwie baterie artylerii, udając

Polacy zaskakująco dobrze radzili sobie z wyzwaniem miast – jakimś sposobem znacznie minimalizując ich zniszczenia. Nic też dziwnego, że do dziś są w Belgii i Holandii legendą, a sam Maczek – bohaterem narodowym tych krajów

wielką jednostką pancerną i myśląc przeciwnika co do naszych sił i zamiarów” – opisywał później swoją taktykę.

Ale jedna jednostka nie mogła zmienić wyniku września. Już po 18 dniach wojny 10. Brygada Kawalerii Pancernej przekroczyła granicę węgierską. Ta porażka stała się dla Maczka – w tym momencie już generała – kolejną lekcją. Niemiecki blitzkrieg był przełomem w historii wojen – pokazał wyraźnie, że czasy piechoty odchodzą w przeszłość, przyszłość zaś należy do nowych technologii, czyli czołgów i lotnictwa. Nie tylko pod względem siły ognia, lecz także szybkości i zwrotności. Z taką wiedzą już 21 października dotarł ze swoimi żołnierzami i sprzętem do Francji.

Doceniono go. Powierzono mu dowodzenie lekkiej jednostki pancernej w Sainte-Cécile. Niestety, we Francji panował balagan – jednostka była wciąż w trakcie formowania, gdy Niemcy przekroczyli granicę i rozpoczął się wielki odwrót. Maczek zdążył wziąć udział w walkach – osłaniał ten odwrót na czele odtworzonej zaledwie w jednej trzeciej założonego stanu 10. Brygady Kawalerii Pancernej, ale podobnie jak we wrześniu w Polsce wiele już zdziałać nie mógł. „Ruszył pod Reims, ale zastał już front w rozsypce. Brygada stoczyła kilka potyczek, osłaniając francuską dywizję i zdobywając część miasta Montbard nad Marną; smutne zwycięstwo ze stratami, lecz bez rezultatu. Wycofywanie postępowało bez walki dalej na południe. Pod miastem Moloy doszła wiadomość, że są otoczeni przez pierścień wojsk niemieckich. Generał powziął decyzję najsmutniejszą w jego życiu, lecz jedynie słuszną: spalenia sprzętu i wyrwania się z matni grupkami lub pojedynczo, na własną rękę” – pisał Tadeusz Wysocki.

Bardzo szybko generał przekonał się, że ten składnik dobry pomysł w praktyce okaże się karkołomną awanturą, z przedzieraniem się przez krzaki i bezdroża, między niemieckimi oddziałami. Wyczyn godny komandosa, choć w tym momencie Maczek dobiegał już pięćdziesiątki. „Na umówiony znak poderwałem się i biegiem przeskoczyłem szosę, wśród krzyków Niemców: »Leute! – halt!«, chwytając kilka sylwetek »moich«, przelatujących wraz ze mną. Wpadłem w nieprawdopodobny gąszcz i splot gałęzi i krzaków, przez którą siłą ledwie się przedarłem, szybko oddalając się od szosy. Byłem sam. Pomyślałem sobie, że to nic nowego, że tak już było 20 lat temu w czerwcu 1920 r. w walkach z Budionnym. Jasny księżyc, którego światło plamami wnikało w gęsty las, potęgowało to wspomnienie. Maszerowałem długo – może trzy godziny w kierunku, który uważałem za zgodny z wytyczonym – ale wciąż byłem sam” – opowiadał później.

Na tym jednak nie koniec szalonych awantur wojennych Maczka. Kiedy już dotarł do Marsylii, okazało się, że przedostanie się do Anglii jest niemal niemożliwe. Transporty nie odchodziły, a agenci gestapo chodzili za nim krok w krok.

Mało tego, Berlin naciskał, gdzie się dało, by uniemożliwić mu zdobycie lewych papierów. Pomógł przypadek i życzliwi znajomi. „Zaopatrzony w fałszywe zaświadczenie o zwolnieniu z Legii Cudzoziemskiej w stopniu starszego szeregowca, ucharakteryzowany na Araba Maczek wraz ze zdemobilizowanymi arabskimi żołnierzami Legii wylądował w algierskim Oranie. Po opuszczeniu portu, nie mając właściwych dokumentów, napotkanemu patrolowi kolonialnemu okazał legitymację Orderu Wojennego Virtuti Militari, wzbudzając konsternację, ale i respekt francuskiego oficera żandarmerii” – pisał Potomski.

Nie bez przygód i wciąż tropiony przez agentów gestapo dotarł do Casablanki. Czy było jak w filmie? Nie wiemy. Najważniejsze jest to, że okręt z nim na pokładzie 21 września zacumował w Bristolu.

## SIĘGAJĄC PO MACZUGĘ

Przyjęto tu Maczka ciepło, mianowano dowódcą 2. Brygady Strzelców, którą wkrótce ponownie przekształcono w „historyczną” 10. Brygadę Kawalerii – tym razem, podobnie jak we Francji, z dodatkiem słowa „pancerna”, by w lutym 1942 r. przekształcić ją w 1. Dywizję Pancerną.

Przez wiele miesięcy cała aktywność jednostki polegała na uzupełnianiu rekruta oraz szkoleniu się w różnych strategiach walki pancernej i w obsłudze nowoczesnego sprzętu. Na podjęcie walki musieli czekać aż do sierpnia 1944 r. Wtedy właśnie rozpoczęła się operacja Overlord. „Przeszło 13 tys. oficerów, podoficerów i szeregowców na 4431 pojazdach mechanicznych, w tym 381 czołgach. Byliśmy świadomi siły tej formy jednostki bojowej, którą wspólnym wysiłkiem stworzyliśmy” – przyznawał generał.

Wylądowali w Normandii na wysokości Caen i niemal natychmiast rzucano ich na głęboką wodę w słynnej już bitwie pod Falaise. Maczek oceniał swoje działania krytycznie i surowo, zaznaczając, że zdobyte w 1939 r. doświadczenia w tym momencie były już mocno nieaktualne – taktyka wojenna zmieniała się niemal z tygodnia na tydzień. „Ale chyba nie mogliśmy być aż tak »zieloni«, gdy po tygodniu, w warunkach odpowiedniejszych dla jedno-

ze stałą troską o zdrowie Małgorzaty, a także radości z dokonani Renaty i Andrzeja. Zwłaszcza tego ostatniego, który po studiach w Oksfordzie został profesorem politechniki w Sheffield. Bywali tu goście, tacy jak np. piosenkarza Włada Majewska i inni przyjaciele z czasów lwowskich. Także towarzysze broni gospodarza, szukający rady u swojego dowódcy, pieściotliwie nazywanego bacą – od swojego wysokogórskiego przeszkolenia wojskowego w czasach I wojny światowej.



Dla nich drzwi były zawsze otwarte. Inaczej z wysłannikami PRL-owskich agend, próbujących namówić generała do powrotu do kraju lub do skłócenia go z rezydującym w Londynie gen. Andersem. Tych gospodarz nie wpuszczał za próg, więc próbowali prowadzić z nim pogawędkę w barze, w którym pracował, lub szukali jeszcze innych sposobów zmylenia jego czujności. Generała i jego żonę w 1966 r. wzruszył gościnny występ wrocławskiego kabaretu Dymek z Papierosa pod wodzą lwowianina, hr. Wojciecha Dzeduszyckiego – wokalisty, konferansjera, krytyka muzycznego. Podczas spotkania Dzeduszycki zachęcał Maczka do powrotu, twierdząc, że włos mu z głowy w PRL nie spadnie. Nie przekonał rozmówcy, ale obszerną relację ze spotkania zamieścił w raporcie dla SB, z którą dziesiątki lat współpracował pod ps. Turgieniew.

Przy Arden Street 16 gen. Maczek mieszkał 46 lat, do śmierci 11 grudnia 1994 r. Dopóki dopisywały siły,





dla odprężenia odbywał przechadzki po pobliskim parku The Meadows, skąd miał też niedaleko do kościoła. Od 2019 r. owe spacerowanie upamiętnia alejka o nazwie „Gen. Maczek Walk”. Pierwotnie w tym miejscu miał stanąć pomnik generała, ostatecznie umieszczony przed ratuszem miejskim w prestiżowej okolicy Royal Mile i Głazu Pamięci, przypominającego brytyjskich bohaterów obu wojen światowych.

Pomysłodawcą był lord Peter Fraser z Carmyllie, znany polityk szkocki i prawnik, który reprezentował władze brytyjskie na uroczystościach pogrzebowych gen. Stanisława Maczka na honorowym polskim cmentarzu wojskowym w Bredzie. Usłyszana wówczas po raz pierwszy niezwykła historia życia i służby polskiego dowódcy zrobiła na nim ogromne wrażenie oraz wywołała spontaniczny zamiar upamiętnienia polskiego bohatera w Edynburgu. Zebranie funduszy na pomnik nie było jednak łatwe, zwłaszcza że lord Fraser zmarł w 2013 r. Szczęściem ideę podchwyciły jego żona lady Fiona i córka Katie przy wsparciu parlamentarzystów oraz intelektualistów szkockich, władz Edynburga, środowisk polonijnych i – już wówczas – polskiego rządu.

Zebrane 85 tys. funtów pozwoliło w 2018 r. wznieść pomnik autorstwa Bronisława Krzysztofa. Ten polski artysta zaproponował oryginalny kształt wykonanej z brązu rzeźby. Pełnopostaciowa sylwetka bohatera w polskim mundurze z szerokim pasem i generalskiej rogatywce z orłem jakby na przechadzce przysiadła na ławce. Wyciągnięta na oparciu ręka zdaje się zapraszać do towarzystwa. Z tego zaproszenia chętnie korzystają polscy i brytyjscy kombataneci, a także młode pokolenie edynburszczyków i przyjezdnych. Mogłem się o tym naocznie przekonać. Dziś jest to jedno z najbardziej obleganych przez turystów miejsc w mieście.

**Adam Ciesielski z Edynburga**



31 marca 2023 r. minęła 121. rocznica urodzin gen. Stanisława Maczka

stki, jaką była dywizja pancerna, choć izolowani od całej armii alianckiej, stoczyliśmy pięciodniową ciężką, ale zwycięską bitwę z przewagą pancerną i sił żywych niemieckich” – tłumaczył się dalej Maczek.

Była to bardzo długa i ostatecznie zwycięska bitwa, a udział polskich czołgów odegrał w niej dużą rolę, zwłaszcza w walkach o tzw. maczugę, czyli wzgó-

rze 262. Sam Maczek był co prawda znów powściągliwy w samoocenie – wciąż mówił o nabieraniu doświadczenia – ale w tym momencie już przesadzał. Marszałek Montgomery w każdym razie wyrażał najwyższe uznanie dla Polaków, porównując ich działania do korka od butelki – skutecznie blokującego Niemcom wyrwanie się z okrążenia. Bitwa zakończyła się 21 sierpnia. Dla



Fot. NAC

żołnierzy Maczka oznaczało to otwarcie drogi w kierunku Holandii. W tym kierunku bowiem uciekali Niemcy, a generał bardzo chciał ich ścigać. „31 sierpnia przekroczyli Sekwanę, gdzie polscy saperzy zbudowali most o nazwie Warszawa” – pisał Zbigniew Wawer, a zaledwie tydzień później, po dość ciężkich walkach nad rzeką Sommą, przekroczyli granicę francusko-belgijską.

Jeśli do tej pory Maczek i jego żołnierze zdobywali doświadczenie, to w Holandii właściwie już tylko je wykorzystywali. Opór niemiecki był silny, ale dywizja zasadniczo parła do przodu, znacząc swój szlak kolejnymi odzyskanymi miastami. Ypres, Gandawa, Passchendaele, Breda... Polacy zaskakująco dobrze radzili sobie z wyzwaniem miast – jakimś sposobem znacznie minimalizując ich zniszczenia. Nic też dziwnego, że do dziś są w Belgii i Holandii legendą, a sam Maczek – bohaterem narodowym tych krajów. „Jechaliśmy pomiędzy gęstymi szpalarami tłumy, zupełnie szalejącego z entuzjazmu. Ludzie plakali i krzyczeli jak wariaci. Grad kwiatów sypał się przez całą drogę na czołgi i na samochody [...] Nie wiem, skąd ci Belgowie dowiedzieli się, że do miasta wchodzi Polacy, ale okna i balkony były udekorowane biało-czerwonymi barwami i tłumy wywijały na nasze powitanie polskimi chorągiewkami” – wspominał żołnierz Franciszek Skibiński.

## MACZEK W MACZKOWIE

Od tego momentu dywizja pancerna parła już niemal bez przerwy w stronę Niemiec, a jej szlak bojowy praktycznie zakończył się 19 maja. Brzmi to lekko, bo istotnie ostatnia faza walk przebiegała dla Polaków już dość gładko – warto jednak pamiętać, że od momentu wylądowania w Normandii żołnierze Maczka przebyli blisko 2 tys. km, toczyli walki przez równo 283 dni, a straty wynosiły jedną trzecią początkowego składu.

Ale sukcesy bywały imponujące. Przyjmując kapitulację portu-twierdzy Wilhelmshaven, przejęto m.in. trzy krążowniki, okręt dowodzenia, 18 okrętów podwodnych i ponad 200 mniejszych jednostek. Nie wspominając o ponad 30 tys. żołnierzach, w tym 2 tys. oficerów, 2 admirałach i 1 generale. Nieco wcześniej żołnierze Maczka wyzwolili obóz Oberlangen, do którego przewieziono żołnierki AK, wzięte do niewoli po powstaniu warszawskim. Był też sukces drobniejszy, ale bardzo symboliczny – w Wilhelmshaven odnaleziono wizerunek orła zdjęty w 1939 r. z budynku Dowództwa Floty MW w Gdyni.

W końcu jednak wojna dobiegła końca, a moment ten zastał dywizję w okolicach Haren. Ani generał – awans na generała dywizji przyjął dwa tygodnie wcześniej – ani mieszkańcy nie wiedzieli jeszcze, że ta saksońska miejscowość w sposób bardzo symboliczny wkrótce zmieni nie tylko swoją nazwę, lecz także charakter.

„Nazwano je najpierw Lwowem Semper Fidelis, a następnie przemianowano ostatecznie na Maczków. Nazwa Maczków była po części wyrazem sympatii dla gen. Maczka, a po części nawiązywała przez nazwisko lwowianina do kresowych tradycji, stanowiąc dla ludności czytelny symbol pamięci o rodzinnych stronach. Ulice noszą nazwy: Armii Krajowej, Legionów, Jagiellońska, Zygmuntowska, Lwowska, Wileńska, Łyczakowska. W herbie miasta z kwiatem maku umieszczono nad tarczą hełm i skrzydło husarskie jako znak 1. Dywizji Pancernej. W północno-zachodniej części Niemiec Maczków stał się na trzy lata miastem z polską ludnością i polskimi władzami administracyjnymi. Działały tu polskie szkoły, oficyny wydawnicze, teatr, parafia rzymskokatolicka. Przez Maczków jako chwilowy przytułek przeszły dziesiątki tysięcy Polaków, zanim rozproszyli się po świecie” – pisał Potomski.

Maczków po trzech latach wrócił jednak do dawnej nazwy, większość zaś mieszkających tam Polaków rozjechała się po świecie. Nie znaczy to jednak, że bojowe wyczyny generała nie przetrwały w lokalnej toponimii licznych miast Europy Zachodniej.

Lekko licząc, we Francji, w Belgii i Holandii jest dziś ok. 100 placów i ulic z nimi związanych, 50 tablic i pomników, a na dodatek co najmniej jedno, za to wspaniałe muzeum w Bredzie. Tak po prawdzie nie byłoby wcale dziwne, gdy znalazły się także w Niemczech – nawet ich bowiem generał potrafił traktować raczej jak przeciwnika niż wroga. „Bijcie się twardo, ale po rycersku” – powiedział swoim żołnierzom po przekroczeniu granicy holendersko-niemieckiej. „Był wspaniałomyślny i dalekowzroczny, a wszelka małostkowość była mu nieznana. Przy całym jego zapale do walki z Niemcami uczucie zemsty było mu zupełnie obce” – wspominał towarzyszący jednostce aliancki oficer łącznikowy. ▀







Maria Skłodowska-Curie  
i jej mąż Pierre w laboratorium  
w Paryżu

# Genialne 20-lecie

*Lata 1890–1910 były najwspanialszym, najbardziej twórczym okresem  
w dziejach ludzkości. Wątpicie? To wam to udowodnię*

**T**o 20-lecie było triumfem ludzkiego ducha, okresem absolutnie przełomowych odkryć, także w sztuce. Równocześnie działało i odnosiło sukcesy tylu geniuszy, jak chyba w żadnym innym fragmencie dziejów, tym bardziej tak krótkim, bo co znaczą dwie dekady w historii cywilizacji, której wzlot zaczął się w VI w. p.n.e. w Grecji?

W końcówce XIX i na początku XX w. nastąpił przełom nie tylko w nauce, technologii i sztuce, lecz także w stylu życia. Znakami wielkiej rewolucji w nauce są teoria kwantowa, szczególnie teoria względności i teoria promieniotwórczości.

W ówczesnym wyścigu geniuszy godne miejsce zajęła Polka – Maria Skłodowska-Curie. Zaledwie w 1891 r. rozpoczęła studia na Sorbonie, by już po 12 latach być laureatką Nagrody Nobla z fizyki (a w 1911 r. także z chemii).

To w latach 1890–1910 zajrzano do wnętrza atomu, odkryto wirusy i zaczęto je zwalczać, opisano efekt cieplarniany, stworzono podwaliny chemioterapii. To wtedy pojawiło się



**STANISŁAW JANECKI**

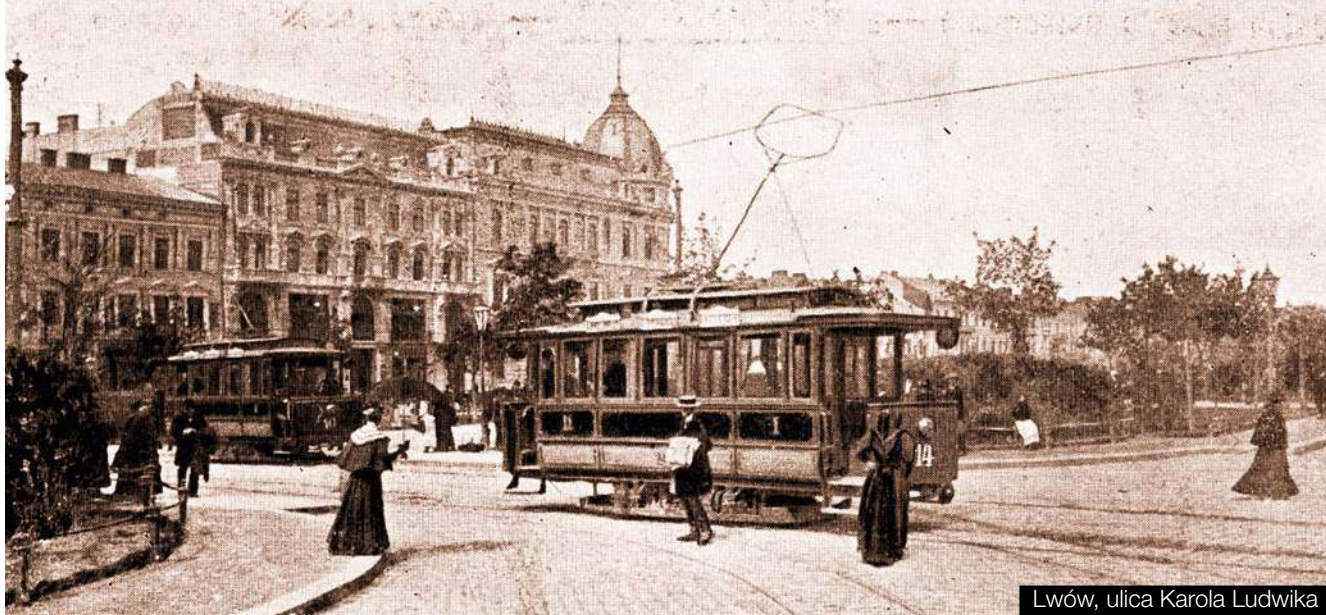
zjawisko zwane kulturą masową i powstały tabloidy (w 1900 r. „Daily Mail” pierwszy raz w dziejach prasy przekroczył nakład 1 mln egzemplarzy), dzięki czemu osiągnięcia nauki, techniki i sztuki trafiły pod strzechy.

Rewolucyjne teorie naukowe inspirowały artystów, więc pojawiły się nowe kierunki,

szczególnie w sztukach plastycznych. Rewolucyjne były przemiany w muzyce. To wtedy powstało i rozpowszechniło się radio oraz zapisywanie dźwięku na płytach, została skonstruowana kamera filmowa (tę z automatycznym napędem zbudował w 1908 r. polski wynalazca Kazimierz Prószyński), powstał kinematograf, czyli aparat do projekcji filmowych. W 1901 r. przesłano sygnał radiowy przez Atlantyk, a Kodak skonstruował popularny aparat fotograficzny Brownie, sprzedawany za dolara.

W latach 1890–1910 miasta były już zelektryfikowane (co pozwalało na oświetlenie ulic), więc powstały i zaczęły być coraz powszechniej używane lodówki, pralki, odkurzacze, maszyny do szycia, młynki do kawy. Powstawało metro, najpierw w Lon-





Lwów, ulica Karola Ludwika

dynie, Nowym Jorku, Budapeszcie i Paryżu (pierwsza zelektryfikowana linia w 1890 r. w Londynie), po ulicach kursowały elektryczne tramwaje (od 1894 r. we Lwowie). Samochód napędzany silnikiem benzynowym zaczął po 1890 r. być produktem masowym, a od 1908 r. także w miarę tanim – powstał wtedy Ford Model T, który kosztował 850 dol., a jego zmontowanie zajmowało 12,5 godziny. Już po kilku latach auto kosztowało 310 dol., a na jego wytworzenie potrzeba było tylko 1,5 godziny. W latach 1890–1910 zaczęły działać podobne do współczesnych ubezpieczenia społeczne i zdrowotne.

## SKOK JAKOŚCI ŻYCIA

W 1890 r. i nieco później świat był w pełni zglobalizowany, może nawet bardziej niż pod koniec XX w., co umożliwiała wymianę idei i osiągnięć, kontakty naukowców i twórców. Wtedy swój obecny kształt uzyskała większość miast, a w urbanistyce i architekturze dominował historyzm (klasycyzm, neoromantyzm, neogotyki) oraz kamień jako materiał. Miasta miały być trwałe i przynajmniej w częściach reprezentacyjnych zbudowane z dobrych materiałów. Wtedy też zaczęto szczególnie dbać o zbiorową pamięć, czyli muzea, biblioteki, archiwa. Miały być one świątyniami wiedzy, dlatego często były monumentalne. Wzorem publicznej biblioteki była Nowojorska Biblioteka Publiczna (tworzona od 1895 r.), a wzorem biblioteki narodowej (istniejącej od 1800 r.) Biblioteka Kongresu, która swój nowy kształt zyskała w latach 90. XIX w.

Nowy format i znaczenie zyskała też idea wystaw światowych. Miały one pokazywać w pigułce to, co na świecie najlepsze. Badał najciekawsze były wystawy w Paryżu – w 1889 r. i w 1900 r. (tereny wystawowe odwiedziło wtedy 50 mln gości, co jest wydarzeniem niebywałym). Najbardziej widocznym śladem wystawy światowej z 1889 r. jest wieża Eiffla.

W latach 1890–1910 powszechne było przekonanie, że w XX w. ludzkość powinna wejść z przytupem, czyli z osiągnięciami o przelomowym znaczeniu, z rozwiązaniami podnoszącymi poziom świadomości i wykształcenia, skokowo poprawiającymi jakość życia. I tak się właśnie stało.

## PRZYJAZNA ŁÓDŹ

Skok jakości życia i zmianę polityki społecznej najlepiej widać na przykładzie przemysłowej Łodzi. Władysław Reymont, autor „Ziemi obiecanej” (dzieje się w latach 80. XIX w., lecz ukazywała się pod koniec lat 90.), pisał: „Łódź zajmuje mnie i porывa wieloma rzeczami: 1. rozrost miasta, fortun z istic amerykańską szybkością, 2. psychologia tych napływających tłumów po żer [...], 3. oddziaływanie takiej ssawki, polipa, jaką jest Łódź, na cały kraj, 4. przerobienie się Polaków w kosmopolitycznym młynie. Dla mnie Łódź jest jakąś mistyczną wprost potęgą ekonomiczną”.

W tamtej Łodzi przemysłowiec Karol Scheibler wybudował osiedla dla 6 tys. swoich robotników. Wzorował się na osiedlach robotniczych w Anglii. To, co znamy jako zespół Księżego Młyna, jest najbardziej przemyślanym urbanistycznie i logistycznie oraz najnowocześniejszym osiedlem robotniczym końca XIX w. w Europie. Mieszkania miały wysoki standard, szczególnie te dla majstrów i brygadzystów. Częścią założenia był szpital dla robotników. Ze szpitalem współpracowały przyfabryczne ambulatoria. Na Księżym Młynie działała szkoła, największa na polskich terenach pod zaborami biblioteka i czytelnia dla pracowników oraz ich dzieci, wielkopowierzchniowy sklep będący czymś w rodzaju pierwowzoru dzisiejszego hipermarketu. Istniał tam klub sportowy dla pracowników i ich rodzin, posiadający własny stadion i salę, używaną także do zabaw. W tym „ośrodku kultury” funkcjonowały orkiestra dęta i amatorski teatr. Na początku XX w. powstała przy fabryce ochronka dla 250 dzieci, kasa chorych dla pracowników i trzy kolejne szkoły. O Księżym Młynie jako wzorcu nowoczesnego osiedla robotniczego pisano w gazetach w Anglii i Niemczech. Chwalono świetne rozwiązanie urbanistyczne, funkcjonalność, higienę, zaplecze medyczne i kulturalne.

Konkurent Scheiblera, Izrael Poznański, miał też swój przyfabryczny szpital i zbudował osiedle dla 4 tys. robotników. Były tam szkoły dla dzieci pracowników, w czasie wakacji te dzieci wyjeżdżały na kolonie sponsorowane przez fabrykanta. Na osiedlu otwarto świetlicę i stołówkę. Gdy w fabryce Poznańskiego zdarzył się śmiertelny wypadek, rodzina





ofiary otrzymywała odszkodowanie w wysokości 2 tys. dniówek, czyli miała przez prawie siedem lat zapewnione dochody na takim samym poziomie jak przed wypadkiem.

W Łodzi końca XIX i początku XX w. o pracowników dbali też Robert Ludwik Karol Biedermann, Gustaw Adolf Geyer, Ludwik Grohman czy Juliusz Karol Kunitzer. W książce „Fabrykant łódzki we wspomnieniach robotników” dr Maria Łukowska zwróciła uwagę, że jeśli łódzki przedsiębiorca zatrudniał w swojej fabryce całe rodziny, w tym dzieci, to nie po to, by je wyzyskiwać, ale by poprawić warunki życia całej rodziny. Dzieci korzystały z przyfabrycznych szkół, seniorzy zaś nadal pracowali i zarabiali, mimo że nie spełniali norm wydajności, a całe rodziny były objęte podstawową opieką medyczną. Do Łodzi trafiali często ludzie bez wykształcenia, kwalifikacji, biedni i bezdomni. Fabrykanci zapewniali im pracę, mieszkanie, doksztalcanie, stwarzali warunki do założenia rodziny. Dopiero po 1905 r. te stosunki zaczęły się psuć, bo pojawił się ideologiczny ruch robotniczy, walka klasowa oraz interesy przekraczające dawne umowy społeczne między fabrykantem a jego pracownikami.

## TRIUMF FIZYKÓW

W 1900 r. umarł Friedrich Nietzsche, filozof, który obwieścił śmierć Boga i nastanie nowych, bezbożnych czasów. Bóg nie umarł, ale umarło wiele starych idei i teorii naukowych, wiele stylów i mód w sztuce, a także stylów życia. Nauka i przemysł doprowadziły do ogromnego postępu cywilizacyjnego. Tylko

w poznawaniu świata – m.in. dzięki nowej fizyce – ludzie symbolicznie pokonali ogromne odległości. Efekty rewolucji w fizyce, rozpoczętej w latach 1890–1910 przez teorię względności Alberta Einsteina oraz fizykę kwantową Maxa Plancka i Wernera Heisenberga, dały po latach bardzo praktyczne wynalazki – m.in. komputer, telewizję, GPS, rezonans magnetyczny, laser odczytujący zapisane informacje, telefon komórkowy czy kartę kredytową. Cała współczesna elektronika (oparta przede wszystkim na tranzystorach, z których składają się przecież układy scalone) działa dzięki temu, co odkryła mechanika kwantowa.

W 1900 r. niemiecki fizyk Max Planck wprowadził pojęcie kwantów energii, co było początkiem rozwoju fizyki kwantowej. Okazało się, że światło nie jest ciągłym promieniowaniem, lecz rozchodzi się w pakietach, nazwanych kwantami. Planck pracował nad zachowaniem ciała doskonale czarnego, czyli takiego, które całkowicie pochłania padające na nie promieniowanie. Ale takie ciało też wysyła energię promienistą. Okazało się, że wielkie znaczenie mają gęstość tego promieniowania, czyli energia przypadająca na jednostkę objętości ciała doskonale czarnego, widmo promieniowania oraz rozkład energii zależny od długości wypromieniowanych fal i temperatury. Planck sformułował prawo rozkładu energii w widmie ciała doskonale czarnego, słusznie zakładając, że energia promienista nie jest wypromieniowywana w postaci fal ciągłych, lecz w postaci małych porcji. Ostatecznie Planck sformułował stałą przyrody, zwaną potem stałą Plancka, która obok prędkości światła w próżni jest jedną z najważniejszych stałych fizyki.

W 1905 r. niemiecki fizyk Albert Einstein wyjaśnił zjawisko fotoelektryczne i stwierdził, że światło zachowuje się tak, jakby miało naturę kwantową, a energia kwantu światła równa się stałej Plancka pomnożonej przez częstość drgań odpowiadającej mu długości fali. Kwant światła nazwano fotonem. Znajomość natury światła (szerzej promieniowania elektromagnetycznego) umożliwiła badanie zarówno odległego wszechświata, jak i zagłębienie do wnętrza atomów.

W 1905 r. Albert Einstein sformułował szczególną teorię względności (ogólną teorię w 1916 r., lecz była ona konsekwencją tej pierwszej). W „Annalen der Physik” opublikował pracę „O elektrodynamice ciał w ruchu”. Einstein za punkt wyjścia przyjął stałą



Ford Model T



Łódź, widok ogólny





Otwarcie londyńskiego metra

prędkość światła i zapożyczoną u Galileusza zasadę względności ruchu. Głosi ona, że nie można odróżnić stanu spoczynku od ruchu ze stałą prędkością. I postanowił odpowiedzieć na pytanie, co to znaczy, że dwa zdarzenia są równoczesne. Jeśli – jak założył – nie ma absolutnego czasu, nie sposób mówić o bezwzględnej równoczesności. Gdy formułował ogólną teorię względności, rozwiązał problem tego, względem czego odbywa się ruch w przestrzeni. Odrzucił teorię Newtona, że istnieje bezwzględna przestrzeń powiązana z fizycznym eterem, względem której określano stan bezwzględnego spoczynku i ruchu jednostajnego. Ale skoro szczególna teoria względności zakwestionowała istnienie eteru, wyeliminowała też pojęcie bezwzględnego ruchu i bezwzględnego spoczynku. We wszechświecie istnieją tylko relacje między fizycznymi obiektami i nie ma sensu zajmować się położeniem ciała w abstrakcyjnej przestrzeni i czasie. Oczywisty był również wniosek, że nie sposób odróżnić ruchu przyspieszonego od ruchu w polu grawitacyjnym. W ogólnej teorii względności grawitacja przybiera postać geometrycznych właściwości przestrzeni i czasu. Grawitacja to po prostu krzywizna czasoprzestrzeni (co opisuje powstała kilkadziesiąt lat wcześniej geometria Riemanna). Masywne ciała zakrzywiają czasoprzestrzeń w swoim otoczeniu, co oznacza odchylenie od linii prostych torów ciała znajdujących się w takiej przestrzeni. Konsekwencją odkryć Einsteina było stworzenie narzędzi pozwalających badać cały Wszechświat (jako układ fizyczny).

## REWOLUCJA W SZTUCE

Dla mas skok, który dokonał się w latach 1890–1910, stanowił źródło zachwytu i nadziei, dla wielu intelektualistów – udręki i lęku. Kiedy angielski lud zachwycał się nowoczesnymi fabrykami, William Blake, poeta, malarz i filozof, uważał je za dzieła szatana. Gdy masy cieszyły się, że nowe wynalazki i technologie wywołują je z jarzma harówki, Thomas Carlyle, Alexis de Tocqueville czy Friedrich Nietzsche lamentowali, że mechaniczny świat – w latach 30. XX w. sugestywnie pokazany przez Charliego Chaplina w filmie „Dzisiejsze czasy” – degradowało ciało, umysł i duszę

człowieka. Odwrócenie się części intelektualistów od techniki i postępu jest o tyle zrozumiałe, że ograniczyły one ich rolę jako inżynierów dusz, zmniejszyły ich wpływ na społeczeństwo.

Ludzie żyjący w XX w. przeszli od swoich XIX-wiecznych przodków zadowolenie z praktycznej użyteczności nowych wynalazków i technologii. Szybko jednak zaczęli im przypisywać możliwości, których nie miały. Świat sztuki się podzielił. Kompozytorzy mieli w tym czasie świadomość rozkładu systemu tonalnego, harmonii, sposobów kształtowania melodyki. Przełomowe okazały się „Tristan i Izolda” Richarda Wagnera, „Don Juan” Richarda Straussa, II kwartet smyczkowy Arnolda Schönberga, I symfonia Gustava Mahlera czy suita Liryczna Albana Berga. Pojawiły się nowe systemy muzyczne – atonalność,

politonalność, dodekafonia. Bodaj najgłośniejsza z nich dodekafonia (Schönberg, Webern, Berg) opiera się na 12-dźwiękowej serii, w której każdy dźwięk jest tak samo ważny. Seria składa się z 12 dźwięków skali „równomiernie temperowanej” w obrębie oktawy. Dodekafonia przyczyniła się za kilka dekad do powstania serializmu i punktualizmu. Różni kompozytorzy używali nowych środków. Aleksander Skriabin trzymał się schromatyzowanej, dysonującej tonalności, atonalne były kompozycje Arnolda Schönberga i Antona Weberna, skali całotonowej byli wierni Claude Debussy, Igor Strawiński i Béla Bartók.

W 1907 r. Pablo Picasso pokazał kilku kolegom obraz „Panny z Awinionu”. Rozbił on jednolitą przestrzeń obrazu w ten sposób, że każda z pięciu kobiet została namalowana w innej konwencji. Wraz ze swoim przyjacielem Georges'em Braque'em Picasso redukował przedmioty do brył geometrycznych (często sześcianów – cubes – stąd nazwa kubizm). I te bryły w ogóle nie współgrały z przestrzenią (klasyczną perspektywą). Eksperymenty z przestrzenią w jakimś stopniu wynikały z tego, co gazety pisały o nowych ideach fizyki.

Z kolei nowe idee społeczne oraz zmiany stylu życia wpływały na artystów nazywanych futurystami. Jak pisali twórcy nowego ruchu w „Manifestie futurystycznym” (11 lutego 1909 r.), chcieli „sławić agresywny ruch, gorączkową bezsenność, krok biegnący, salto mortale, cios w twarz i zaciśniętą pięść”. Ciosy wymierzano nie tylko w twarz, lecz także w tradycję: „Podziwiał stary obraz to wkładać wrażliwość do urny z prochami, zamiast kierować ją w przyszłość, w gwałtownej erupcji twórczości i działania. Dla umierających, dla kalek, dla więźniów wzniosła przeszłość może być balsamem, bo łagodzi ich nieszczęścia. My nie chcemy słyszeć o przeszłości. [...] Niech nadejdą radośni podpalacze. [...] Podkładajcie ogień pod biblioteczne regały! Zmienicie bieg wodnych strumieni, by zatopić muzea!”. Tworzenie zakładało też niszczenie, co tej sztuce specjalnie na dobre nie wyszło. Na dobre wyszło zaś całej ludzkości to, co powstało lub zaczęło się w latach 1890–1910. Coś takiego nie jest na razie do powtórzenia współcześnie, choć warunki są znacznie przychylniejsze.





# Sumo, czyli idealne grubasy

*W geometrii kula jest figurą idealną. Czy sportowiec o figurze zbliżonej do kuli można nazwać zawodnikiem idealnym? Zależy gdzie, w Japonii jak najbardziej*



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

**R**ikishi, bo tak w Kraju Kwitnącej Wiśni są nazywani zapaśnicy sumo, zdobywają niezwykle popularność, a najlepsi z nich niemal półboski status dzięki wielu ciężkim treningom, upokorzeniom i – wbrew temu, co można by powiedzieć o nich na pierwszy rzut oka – wyrzeczeniom.

Zawodowcy przez całą karierę mieszkają razem z innymi zapaśnikami w heya – stajniach sumo. To w nich latami od wczesnych godzin porannych poświęcają się treningom zarówno ciała, jak i siły woli. Od samego początku pobytu w heya młodzi adeptci sumo są wtłaczani w ścisłe zhierarchizowaną strukturę japońskiego sportu narodowego. Wszyscy na równi podlegają surowym regułom panującym w każdej stajni. Niemal jak w koszarach – pobudka o piątę

rano, następnie pięć godzin treningów na czczo. Dopiero po ich zakończeniu rikishi zasiadają do pierwszego posiłku. W jego trakcie najniżsi rangą zawodnicy usługują kolegom, a sami zasiadają do stołu, gdy starsi skończą jeść. Zdarza się, że nowicjusze nie jedzą nawet przez osiem godzin od świtu, wypełnionych wysiłkiem fizycznym.

Nawiązania do wojskowego drylu nie są przypadkowe. Zapaśnicy sumo nie całkiem bezzasadnie mienią się spadkobiercami samurajów, o czym przypominają ich charakterystycznie wiązane włosy w kucyk na czubku głowy – chonmage, taki sam jak u historycznych japońskich wojowników. W dyscyplinie sportu na wskroś przesiąkniętej starożytnymi tradycjami nawet fryzjerzy układający fryzury rikishi nie mogą być ludźmi z przypadku. Według mistrzów fryzjerskich nauka obsługi wszystkich przyborów, sporządzania pomady o charakterystycznym aromacie i jej wykorzystania do układania podstawowej wersji chonmage zajmuje przynajmniej trzy lata, a opanowanie bardziej zaawansowanej wersji fryzury zajmuje kolejne dwa lata praktyki.

By zostać zawodnikiem sumo, potrzeba znacznie dłuższych treningów. Kandydat, by zostać przyjętym do jednej ze stajni – w samym Tokio jest ich ok. 40 – powinien wykazać się dobrym zdrowiem, wzrostem nie niższym niż 174 cm i masą ciała nie mniejszą niż 75 kg. Chłopcy, którzy poważnie myślą o karierze rikishi, zaczynają treningi w szkole podstawowej. Już wtedy ćwiczenia swoją intensywnością potrafią doprowadzać do łez młodych adeptów, ale trenerzy pozostają nimi niewzruszeni. W sumo obowiązuje zasada – płacz na treningu, by śmiać się po walce.

Zamieszkanie w heya oznacza podporządkowanie swojego życia sumo. O wszystkim decydują mistrz i tradycja. Skoszarowani adepci zapasów latami nie widują się z rodziną, co ma wzmacniać ich psychikę. Sami wykonują wszystkie prace w stajni i rzadko kiedy mają czas wolny. Nie ma mowy o dziewczynach – grafik zajęć jest wypełniony do granic możliwości. Dopiero starsi rangą rikishi mają wychodne. Ale nawet, gdy poznają kandydatkę na żonę, to i tak musi osobiście zaakceptować ją mistrz.





W Japonii w każdy nieparzysty miesiąc odbywa się wielki turniej sumo. Każdy z nich trwa 15 dni. Cieszą się ogromną popularnością

Zapaśnicy sumo mimo swojej tuszy nie mogą narzekać na brak powodzenia u płci pięknej – w Japonii często są uważani za bardzo atrakcyjnych, a w dodatku zawodowcy zarabiają średnio 10 tys. euro miesięcznie.

Myliłby się ten, który myślałby, że chociaż w jedzeniu sportowcy nie mają ograniczeń. Prawdą jest, że jedzą dużo i tłusto. Podstawą ich diety jest potrawa o nazwie chankonabe, czyli tak naprawdę jednogarnkowa, bogata w białko potrawka na mięsie, rybach, warzywach i japońskich przyprawach. Po obfitym obiedzie wszyscy rikishi udają się na obowiązkową drzemkę – by posiłek dobrze się przyswoić. Jednak nie jest to objadanie się bez opamiętania. Mistrz stajni stale kontroluje ilość mięśni i tłuszczu w ciele każdego ze swoich podopiecznych, by nikt nie był zbyt gruby. Każdy z zapaśników jest niezwykle umięśniony i rozciągnięty, zrobienie szpagatu nie stanowi dla nich problemu, choć na pierwszy rzut oka tego nie widać. Tusza jednak finalnie daje znać o sobie – statystycznie rikishi żyją o 20 lat krócej niż przeciętni ich krajanie.

## SPORT STARSZY NIŻ JAPONIA

Japończycy przez blisko 2 tys. lat rozwijali swoją unikatową kulturę niemal w całkowitym odosobnieniu, ogra-

niczając kontakty głównie do Chin i Korei. Pozostając wyłącznie w swoim kręgu kulturowym, nieustannie rozwijali swoje bogate dziedzictwo narodowe. Przez setki lat doskonalili rzemiosło i do mistrzostwa doprowadzali tylko im znane umiejętności. Wszystko w zgodzie z feudalnymi zasadami społecznymi i w głębokim szacunku dla licznych bóstw z szintoistycznego panteonu (czczonych wyłącznie w Japonii).

Znajduje to swoje odzwierciedlenie również w sumo. Już najstarsze japońskie kroniki, pochodzące z początku VIII w. n.e., wspominają o tym sporcie, a odnajdowane przez archeologów figurki przedstawiające zapaśników pochodzą z III–VII w. n.e. Według mitów protoplastami rikishi mieli być dwaj bogowie, którzy w walce między sobą mieli rozstrzygnąć, do którego z nich będą należały dopiero co powstałe wyspy japońskiego archipelagu.

Od początku sumo przenikało się z szintoistycznymi obrzędami religijnymi. Walki były formą modlitwy towarzyszącej zasiewom ryżu i próbami przewidywania obfitości zbiorów. Z pól uprawnych zawody trafiły na dwór cesarski. Prócz dostarczania rozrywki – również na salonach zmagania zapaśników nie odbywały się w oderwaniu od świata nadprzyrodzonego. W Japonii cesarz aż do podpisania bezwarunkowej

kapitulacji w 1945 r. był uważany za boga wcielonego i jednocześnie przedstawiciela pozostałych bóstw kami. Wyniki walk na oczach każdego z nich miały pomagać w określaniu woli bożków.

Od końca XII w., kiedy realną władzę w Japonii przejmowały kolejne szogunaty, zakończyły się zmagania na cesarskich dworach. Sumo stało się jednym z elementów szkolenia wojskowego obok innych umiejętności niezbędnych samurajom. Z kolei dla rozrywki gawiedzi i dla pozyskiwania środków na remonty mostów, budowę świątyń i na inne sakralne potrzeby kler szinto organizował przyświątynne turnieje zapaśnicze.

Oda Nobunaga, który w XVI w. zjednoczył Japonię, był wielbicielem sumo. Organizował wiele corocznych turniejów. W 1575 r. na koniec jednego z nich, będąc pod wrażeniem, podarował zwycięzcy zawodów jeden ze swoich luków. Rikishi, doceniając gest i wartość подарunku, wykonał dziękczynny taniec z otrzymaną bronią. Ceremonia zachowała się w tradycji i obecnie jest odtwarzana po ostatniej walce każdego dnia turniejowego.

## OSTOJA TRADYCJI

Taniec z lukiem to nie jedyna spuścizna kulturowana w sumo. Wprawdzie zasady rządzące tym sportem zunifikowano i skodyfikowano w epoce Meiji,





czyli w drugiej połowie XIX w., jednak posunięcie to było odpowiedzią na wyodrębnienie się zawodowych rikishi i powstanie szkolących ich stajni heya we wcześniejszej epoce Edo. Ustalone przed 150 laty reguły jedynie z niewielkimi modyfikacjami przetrwały do dziś. W swojej istocie są niezwykle proste – walkę wygrywa zawodnik, który wypchnie swojego przeciwnika z okrągłego ringu o średnicy 4,55 m lub zmusi go do dotknięcia wysypanego piaskiem podłoża inną częścią ciała niż podeszwy jego stóp. Najczęściej walka jest rozstrzygnięta w czasie krótszym niż 15 sekund. W większości przypadków decydująca jest pierwsza szarża. W jej wyniku jeden z rikishi wypada z ringu (dohyo) – albo zostaje wypchnięty, albo przekroczy granicę wyznaczoną przez gruby powróż z ryżowej słomy lub się przewróci, a niejednokrotnie zrobi obie te rzeczy naraz.

Pojedyunki potrafią trwać też znacznie dłużej i wtedy są bardziej emocjonujące. Najczęściej są to starcia zawodników podobnej wagi, którzy stosują inne techniki, by osiągnąć sukces. Związek sumo wymienia ich 82 i z grubsza opierają się one na rzutach oraz podcięciach, dozwolone są też uderzenia otwartymi dłońmi. Zabronione jest łapanie za włosy, wymierzanie ciosów w punkty vitalne i zakładanie dźwigni na palce. Walka zawsze toczy się do skutku i nie jest dzielona na rundy – dynamika sumo nigdy tego nie wymagała. Zawodnicy nie są klasyfikowani ze względu na masę ciała, są im nadawane rangi ze względu na poziom umiejętności, określany stosunkiem wygranych do przegranych przez nich pojedynków. Teoretycznie jest więc możliwe, że szczupły i zwinny rikishi zdobędzie tytuł yokozuny – wielkiego mistrza. Byłoby to jednak zaprzeczeniem tradycyjnego systemu heya, czego Japończycy nie byłiby sobie w stanie sobie wyobrazić.

Starożytny rodowód sumo jest widoczny w rytuałach towarzyszących walkom. Wypełnienie ich wszystkich niejednokrotnie jest znacznie dłuższe niż samo starcie. Zapaśnicy każdorazowo przed wejściem na dohyo muszą dokonać jego oczyszczenia. Odbyna się to przez rzucenie przed siebie, a za-

tem i do wnętrza ringu, garści soli. Już na placu boju obydwa wykonują shiko – przenoszą ciężar ciała z nogi na nogę, następnie kolejno podnoszą je wysoko w górę i opuszczają, silnie uderzając w podłoże. Czynność ta ma na celu przepędzenie złych mocy. Zanim rozpocznie się starcie, rikishi muszą jeszcze napić się „wody mocy”, która jest im podawana w tradycyjnej drewnianej miseczce przez innego zawodnika, ale wyłącznie takiego, który tego dnia nie przegrał walki. Ostatnim obowiązkowym rytuałem jest chirichozu, czyli wyciągnięcie rąk przed siebie, pokazanie dłoni i klasnięcie nimi na dowód, że nikt nie ma ukrytej broni, a walka będzie uczciwa.

**Reguły sumo są niezwykle proste – walkę wygrywa zawodnik, który wypchnie swojego przeciwnika z okrągłego ringu o średnicy 4,55 m lub zmusi go do dotknięcia wysypanego piaskiem podłoża inną częścią ciała niż podeszwy jego stóp**

Głęboko osadzona w tradycji jest też cała otoczka walk sumo. Na trzy dni przed każdym z sześciu głównych turniejów sumo – honbasho, odbywających się w nieparzystych miesiącach, asystenci zawodów z ubitej gliny zaczynają ręcznie budować ring. Nad dohyo jest zawieszany dach stylem nawiązujący do świątyń szintoistycznych. Do czasów transmisji telewizyjnych opierał się on na czterech narożnych filarach. By poprawić widoczność widowiska, w epoce telewizji zastąpiono je różnokolorowymi grubymi frędzlami zwisającymi z rogów zadaszenia. Ich barwy i symbolika są ściśle określone – oznaczają kierunki świata, konkretne bóstwa i pory roku – czarny zimę, zielony wiosnę, czerwony lato, biały jesień. Sędziowie (gyōji) noszą

stroje wzorowane na średniowiecznych ubiorach dworskich, a ich atrybutem jest wachlarz bojowy gunbai, dawniej służący do wydawania rozkazów na polu bitwy, a obecnie do wskazywania zwycięzcy pojedynku. Odzienie rikishi nie zmieniło się przez setki lat – jedynym jego elementem jest przepaska biodrowa mawashi, a poza ringiem zawodnicy przez całą karierę są zobowiązani do noszenia tradycyjnych japońskich kimono.

## ZAKŁĘTE REWIRY

Nie tak dawno najmłodszy adepci sumo uznali, iż tradycyjne mawashi nie zapewniają im minimum przyzwoitości.

Zwrócili się więc do Japońskiego Związku Sumo (JZS) z prośbą o zezwolenie na noszenie pod przepaskami obcisłych spodenek. Spotkali się ze zdecydowaną odmową. Przedstawiciel organizacji stwierdził, że sport narodowy ma swoje zasady i nie będą one naginane w imię chwilowej mody. Dodatkowo, by zawodnicy dobrze zapamiętali udzieloną im lekcję, zabroniono im występu na najbliższym turnieju.

JZS decyduje niemal o każdym aspekcie związanym z podległą mu dyscypliną. Nominuje sędziów, wydaje licencje trenerskie i akredytacje prasowe. Powiązania związku sięgają daleko poza jego domenę, stąd w Japonii mało kto ma odwagę z nim zadziierać. Gdy Harumafuji – gwiazda japońskiego sumo w randze yokozuny – wszczął bójkę w jednym z barów, został zmuszony do złożenia wraz ze swoim trenerem oficjalnych przeprosin, które były transmitowane przez telewizję, a w krótkim czasie później do obcięcie chonmage, co jest tożsame z zakończeniem kariery. Wielcy mistrzowie mają wiele przywilejów, ale jest od nich wymagane stosowne zachowanie nie tylko w czasie pojedynków. Harumafuji przyniósł wstyd sobie, swojej stajni i związkowi.

Inną zasadą, której powinni przestrzegać rikishi poza ringiem, jest zakaz prowadzenia przez nich pojazdów mechanicznych, co ze względu na ich posturę jest zrozumiałe, a często byłoby wręcz niewykonalne.

Nieustannie spędzanie czasu wyłącznie w męskim gronie, ograniczona pry-



Atrybutem sędziego w sumo jest wachlarz bojowy gunbai, dawniej służący do wydawania rozkazów na polu bitwy, a obecnie do wskazywania zwycięzcy pojedynku

Fot. J. Henning Buchholz/Shutterstock.com

watność, ciągle podsycana rywalizacja i panujący w stajniach sumo kult wojowniczości są doskonałą pożywką dla toksycznych epizodów. Presja i strach przed represjami ze strony JZS skutecznie je maskują, ale od czasu do czasu na światło dzienne wychodzą pewne informacje. W 2007 r. w jednej z heya doszło do zgonu młodego rikishi. Mistrz i policja oświadczyli, iż śmierć nastąpiła na skutek zawału serca w trakcie treningu. Rodzina zmarłego nie uwierzyła w oficjalną wersję. Chłopak wcześniej dzwonił do ojca i prosił, by zabrał go do domu. Biegły medycyny sądowej, który dokonywał sekcji zwłok, potwierdził ich przypuszczenia. Ciało było posiniaczone, żebra z prawej strony połamane, na czole odcisnął się ślad po uderzeniu butelką, a w płucach zebrana się krew z krwotoku, ale serce było zdrowe. W świetle tych faktów policja wznowiła śledztwo. W jego toku wykryto, iż chłopak miesiącami był szykanowany przez kolegów ze stajni. Feralnego dnia podjął próbę ucieczki, ale w jej trakcie został złapany. Pobicie kijami miało być karą za dezercję. Trzech rikishi uczestniczących w linczu dostało wyroki w zawieszeniu, a mistrz heya został skazany na sześć lat więzienia.

## MĘSKI ŚWIAT

Shintoizm podobnie jak część innych religii dyskryminuje kobiety, które ze względu na cykl menstruacyjny są uważane za nie-

czyste. Z kolei w sumo ring jest uważany za święty i przed każdą walką odbywa się jego oczyszczanie specjalną solą. By sacrum dohyo nie zostało skalane, kobietom wstęp na nie jest surowo wzbroniony.

Turnieje sumo często rozpoczynają się przemowami merów miast, w których się odbywają. W 2018 r. doszło do skandalu w Takarazuka, gdzie funkcję prezydenta miasta pełniła kobieta. Przedstawiciele związku sumo nie zezwolili jej na wystąpienie na dohyo. Oburzona Tomoko Nakagawa musiała wygłosić przemówienie u stóp areny. W ostrych słowach skrytykowała seksizm kultywowany w sumo. Tego samego dnia została wezwana na spotkanie z przedstawicielem związku sportowego, gdzie w obecności wściekle na nią patrzącego rikishi została zrugana za przeciwstawianie się japońskiej tradycji.

Zdarzenie miało miejsce dwa dni po tym, jak w Maizaru w pobliżu Kioto podczas przemowy otwierającej turniej zasnął 67-letni burmistrz miasta. Do ratowania urzędnika przystąpiły zasiadające na widowni w charakterze kibiców pielęgniarzy. Na wyraźne żądanie spikera zawodów zostały one zmuszone do zaprzestania udzielania pomocy i opuszczenia dohyo. Mężczyzna przeżył, ale niesmak pozostał.

Moneta jest rodzaju żeńskiego i zawsze ma dwie strony. Co przez setki lat było całkowicie nie do pomyślenia, obecnie się ucieleśnia. Do amatorskiego

trenowania sumo dopuszczono kobiety. Przy japońskich uniwersytetach istnieje kilka klubów, w których poza mężczyznami trenują również kobiety. W przeciwieństwie do męskich rikishi w trakcie treningów i walk są one zobowiązane do noszenia pod przepaskami mawashi, czyli krótkich spodenek oraz koszulek z krótkimi rękawkami. Dla zapaśniczek stworzono precedens i im jako jedynym kobietom zezwolono na wkraczanie i trenowanie na dohyo. Adeptki sumo walczą w nim na równi ze swoimi koleżankami i kolegami. Jednak zawodnicy najczęściej zachowują się bardzo biernie w czasie sparingów z kobietami, ograniczając się głównie do obrony.

\* \* \*

Egzotyka japońskiej kultury pozwoliła na powstanie dorobku fascynującego ludzi na całym świecie. Sumo – sport najbardziej emblematyczny dla Kraju Kwitnącej Wiśni – wraz ze swoją otoczką od setek lat przyciąga wciąż nowych pasjonatów. Oczywiście jak wszystko stworzone przez człowieka ma swoje blaski i cienie, jednak niektóre zasady są warte mszy. W sumo wyjątkową wartość ma honor. Czy gdziekolwiek indziej elementem stroju sportowego sędziego jest sztylet będący wizerunkiem gotowości do poniesienia odpowiedzialności za popełniony błąd? Tłumaczyć, co ze swoim brzuchem może zrobić Japończyk uzbrojony w takie ostrze, raczej nikomu nie trzeba. ▶





# Wiosna w Kampanii Rzymskiej

*Późna wiosna ma wyjątkowy urok w Kampanii Rzymskiej – jednym z najbardziej tajemniczych regionów Włoch, leżącym u podnóża gór Wolsków i otaczającym Rzym od południa*



**JAN ROKITA**

**Z** książek znam dwa mity Kampanii Rzymskiej. Jeden pochodzi od XIX-wiecznych arystokratów: Chateaubrianda i Gregoroviusa i mówi, że to kraina surowego piękna i powagi, więc wszystko – ludzie i ślady historii – ma tu świadczyć o ciężarze i powadze życia. „Kampania Rzymska ma w sobie wielkość historii i uroczysty spokój tragedii... niby wielka scena, na której rozstrzygnęły się losy świata. Tu wszystko milczy, wszystko trwa w majestacie, wszystko tchnie surowym, męskim pięknem” – pisał Gregorovius. Drugi, świeższy mit stworzył Rosjanin Paweł Muratow, który podróżował tu przed I wojną światową i opisał Kampanię Rzymską jako tajemną krainę, w której zatrzymał się czas, choć tuż obok wyrastała już jedna z metropolii europejskich: nowoczesny Rzym. „Kampania tkwi w żywiole przeszłości, ale nie ma historii, bo historię tworzą praca ludzka, ustabilizowane społeczeństwo, prawo, ambicja, bogactwo, a tu nigdy nic takiego nie było” – to właśnie słowa Muratowa.

## MUSSOLINI NA BAGNACH

Tyle tylko, że od tamtych czasów wszystko w Kampanii Rzymskiej się zmieniło, zwłaszcza w ciągu pierwszej połowy XX w. Jeszcze 100 lat temu był

to rozległy obszar obejmujący Błota Pontyjskie, czyli mokradła, które wiosną pokrywały się nieprzebraną liczbą dziko rosnących kolorowych kwiatów, a im bliżej morza stawały się gęstymi podmokłymi lasami. Legenda głosi, że ostatnimi potrafiącymi na tych przestrzeniach uprawiać rolę byli Wolskowie, ale odkąd zostali pobici i wynarodowieni przez Rzymian, triumfowała tu już tylko woda, komary i malaria, których nie potrafili pokonać mimo podejmowanych prób ani świetni Antoninowie, ani wielki Teodoryk, pragnący stać się nowym Rzymianinem, ani kilku co bardziej przedsiębiorczych papieży, z budowniczymi nowożytnego Rzymu – Sykstusem V i Piusem VI – na czele.

Po 2,5 tys. lat robotę tę wykonał dopiero z niewiarygodnym rozmachem Duce, wznosząc na całkowicie zmeliorowanych i zagospodarowanych bagnach (podoba mi się włoski termin używany dla opisu tego dzieła: „bonifica pontina”) kilka klasycznie zaprojektowanych nowoczesnych miast, z faszystowską Littorią (obecnie Latina) na czele, w większości niestety zbombardowanych do szczytu przez Amerykanów oraz odbudowanych w tym samym czasie i stylu, w jakim odbudowano warszawską Wolę albo osiedle Za Żelazną Bramą.

Myszę, że po bonifica pontina i spustoszeniach poczynionych przez Amerykanów obie legendy Kampanii Rzymskiej są odległe od rzeczywistości. Praca, ambicja i takie małomiasteczkowe dorabianie się są tu teraz powszechne i to z pewnością różni okolice Rzymu od całego dość ospałego włoskiego południa.

Któregoś roku na procesji Bożego Ciała w Genzano (gdzie od stuleci układają na trasie procesji spektakularne obrazy z kwiatów, tzw. infiorata) spotkałem dwójkę żyjących tu od dawna Polaków, którzy ciekawie opowiadali mi o charakterystycznej chciwości tutejszych mieszkańców, zwłaszcza licznych kupców i rzemieślników, co z kolei różnicuje mieszkańców Kampanii Rzymskiej





względem bogatego, ale i rozrzutnego Rzymu. Sukces Mussoliniego w zagospodarowaniu bagien był tu przełomem cywilizacyjnym: Kampania Rzymska nie jest już dziką i tajemniczą krainą antycznych ruin, nędzy i zapóźnienia.

To jednak, co pozostało, z jeszcze większą siłą przypomina na każdym kroku, że ta dzika kraina paradoksalnie stanowiła przez wieki centrum cywilizacji naszego zachodniego świata. To tutaj lądował Ulisses, a potem Eneasz, tutaj heroiczna amazonka Kamila (która biegła tak szybko, iż nie naruszała stopami rosnącej trawy i ślizgała się po grzbietach fal) broniła Latynów przed Trojanami, tutaj Sulla walczył z Mariuszem, a Cynceron został dopadnięty przez siepaczy Antoniusza. Pepin darował te ziemie Kościołowi, więc przez wieki chronili się tu papieże, gdy nieustannie buntował się przeciw nim pobliski Rzym, a św. Benedykt założył tu pierwsze klasztory. Tutaj Colonnowie przez wieki walczyli z Orsinimi, a gibelini starali się przepędzić gwelfów, tu zaczęła się wielka schizma, a Niemiec praojciew jedności Europy – Fryderyk I Rudo-

brody, Fryderyk II i Karol V – tutaj próbowali lokować polityczne zaplecze dla paneuropejskiego cesarstwa. Na koniec tu, w Anzio, wylądowali Amerykanie, siejąc trudne do wyobrażenia spustoszenie.

## KRAINA OBFITOŚCI

Lecz dzisiaj, jeśli z wysokiego i skalistego podgórza Wolsków spojrzeć w dół na Bagna Pontyjskie, widać najpierw zielony pas gajów oliwnych, winnic i upraw kiwi (wiosną wszystko jeszcze jasno zielone i niedojrzałe), który na samym dole przekształca się w ogromną szachownicę ogrodów warzywnych, często nakrytych błyszczącymi płacami folii i tworzących przez to wrażenie oczek wodnych, oraz niezbyt dużych domów, stojących przy prostopadłe krzyżujących się kanałach melioracyjnych i drogach.

Pośrodku tego pejzażu, tak samo jak sprzed 2,5 tys. lat, nadal biegnie Via Appia, jedyna widoczna pozostałość najdawniejszej przeszłości. Jarzyny i owoce rosną tu w takiej ilości, w takim tempie i tak bujnie, że w szczycie sezonu w niektórych

sklepach (albo po prostu z ciężarówek) sprzedaje się je po pół euro za kilogram, niezależnie od tego, czy naładujesz sobie na wagę arbuzów, melonów, ziemniaków, winogron, papryki, bakłażanów, cukinii, pomarańczy, cytryn, moreli, pomidorów, śliwek (w niezliczonych odmianach) albo nawet nic niemal nieważących liści rukoli czy małych peperoncini. Jest to bodaj jedyne miejsce we Włoszech, gdzie warzywa (bo owoce to oczywiste) są jeszcze lepsze niż na krakowskim Kleparzu. Setki ciężarówek wożą ten cały dobrobyt do pobliskiego Rzymu, ale widać, że obfitość wszystkiego jest tutaj tak wielka, że Rzym nie jest w stanie tego kupić i skosztować. Ilekroć więc wracałem do Kampanii Rzymskiej, to i u mnie od pierwszego dnia zaczynały przewalać się kosze dojrzałych jarzyn i owoców, aż gnijących na skutek obfitości.

Wielki paradoks Kampanii Rzymskiej tkwi tym, że póki była ona dzika, pierwotna i surowa – jakimś cudem przez wieki faktycznie stanowiła pępek naszego świata, ale kiedy za sprawą Duce zaczęła się cywilizować – stała się całkowitymi peryferiami. Dziś przy gigantycznym zalewie turystyki we Włoszech jest ciągle oazą spokoju (no, może poza samym wybrzeżem), miejscem, gdzie można dobrze spędzić zarówno ciepłą wiosnę, jak i łagodne lato. I znaleźć nieopisywane w przewodnikach prawdziwe cudowności, takie choćby jak wczesnorenesansowe freski w małym kościółku św. Oliwii w Cori, do którego klucze trzyma w kieszeni tutejszy barman. Trzeba tylko o tym jakoś się dowiedzieć, żeby odkryć jeden z najpiękniejszych w Kampanii Rzymskiej kompleksów fresków, dobrze zachowanych i przedstawiających historię stworzenia i zbawienia.

W rajskej scenie grzechu, silna i muskularna Ewa jest całkiem zblatowana z wężem, a wąż, delikatny Adam neurotycznie próbuje się bronić przed grzechem. Trzej królowie to (rzecz całkiem nietypowa) piękni młodzieńcy z żarem i entuzjazmem w oczach, pozbawieni charakterystycznego dla obrazów epifanii florenckiego dostojęństwa. Izaak w scenie niedoszłej ofiary (ciekawość) jest przedstawiony jak statuetka, a nie żywy człowiek, tak jakby z góry było przesądzone, że tu o próbę wiary chodzi, a nie o realną ofiarę. A najpiękniejszy jest wizerunek



Foto: Shutterstock





zmartwychwstania: miałem nieprzeparte wrażenie, że musiał go oglądać Piero della Francesca, kiedy malował swój sławny fresk, bo tak samo góruje tu wielka, stabilna i spokojna bryła zmartwychwstałego. (Nawiasem mówiąc, Zbigniew Herbert jest autorem eseju, w którym dowodzi wyjątkowości takiego typu ikonograficznego zmartwychwstania u Piera – z jedną nogą Chrystusa opartą o krawędź grobu – a ja już widziałem z tuzin takich starszych obrazów bądź fresków, które mogły zainspirować Piera).

## WOLNE MIASTO

Przemieszkując na wsi w pobliżu Cori, zwykłem w dni powszednie o świcie przyjeżdżać na mszę do Franciszkanów, odprawianą przez bezzębnego starca, którego słów nie sposób zrozumieć. Cori miało być (to jedna z wersji) założone przez Trojanina Korusa, pochodzącego jeszcze z ekipy uciekającego Eneasza, a bez wątpienia jest jednym z najstarszych miast Italii, założonym przez Wolsków siedem wieków przed założeniem Rzymu. W IV w. p.n.e. liczne miasta Wolsków zniknęły z powierzchni ziemi, a ich ludność została wybita albo deportowana i zasymilowana z mieszkańcami Rzymu. Taki bieg zdarzeń miał być efektem pokoju małżeńskiego między Jowiszem i Junoną, która pod presją boskiego małżonka zrezygnowała z dalszego szczucia Latynów na Trojan w zamian za obietnicę, iż z obu tych nacji powstanie jeden wielki lud, który zawiąże światem (tak jakos to wygląda w końcówce Eneidy).

Tak czy owak, różne prace o Wolskach sugerują, że spośród wszystkich zniszczonych ich siedzib Cori ma być unikatem, gdyż dość wcześnie poszło na kolaborację z Rzymem, otrzymało więc jego protektorat, swobody, obywatelstwo rzymskie grubo przed wszystkimi Latynami, a nawet prawo posługiwania się (per analogię do Rzymu) znakami SPQC.

Tradycja autonomii i opieki ludu rzymskiego była tu tak mocno zakorzeniona, że Cori nigdy nie dostało się we władanie żadnego z wielkich rodów feudalnych, które pod formalnym zwierzchnictwem papieża toczyły tutaj przez wieki zawzięte walki o dominację. Cori jest więc

ewenementem: było zawsze wolnym miastem SPQC, najpierw pod opieką senatu i ludu rzymskiego, a potem pod osobistą protekcją papieża. Pewnie tylko dlatego na samym szczycie akropolu miejskiego przetrwał spory fragment świątyni Herkulesa (niektórzy twierdzą, że nie Herkulesa) w postaci wyniosłego perystylu z kolumn doryckich, przykrytych klasycznie zdobionym architravem. Perystyl ów od średniowiecza stał się transeptem wzniesionej tu katedry św. Piotra, ale oczywiście w tę wałnęli kilka bomb Amerykanie, tak że ślad z niej nie pozostał. Włosi wyjęli z gruzów tylko rozbite doryckie kolumny, pokleili je i ustawili na nowo na szczycie skały jako symbol pokoju, „który jest darem Boga dla ludzi”, jak napisano na przyklepionej tu tablicy, wspominającej nieistniejącą katedrę.

To jednak, co pozostało,  
z jeszcze większą siłą  
przypomina na każdym kroku,  
że ta dzika kraina paradoksalnie  
stanowiła przez wieki  
centrum cywilizacji naszego  
zachodniego świata

## ŚŁÓWKO „AMERYKANIE” NIE PADA

Amerykańskie bombardowania i przewlekła wojna pozycyjna 1944 r. sprawiły, że liczne tutejsze miasteczka, opisywane jeszcze z fascynacją przez Gregoroviusa czy Muratowa, jako średniowieczno-renańskie cuda, bezpowrotnie utraciły swoje piękno i charakter. Co rusz napotykałem tu taką ponurą niespodziankę jak ta z antycznej Palestriny, w pradawnych czasach równej potęgą Rzymowi, a potem słynącej z najbogatszej w całym imperium świątyni Fortuny, willi cesarów, no i z tego jeszcze, że u końca republiki stała się polityczną twierdzą ówczesnych „socjalistów”, którzy tu bronili się do upadłego przed Sullą aż do heroicznego samobójstwa pokonanego syna Mariusza. Miasto rozpościera się na

zboczu, w którego połowie stoją rozległe ruiny owej świątyni i wbudowany w nie barokowy pałac Barberinich. Ale za pałacem aż do lądowania Amerykanów rozciągała się renesansowa dzielnica mieszkalna, a na samym szczycie kościół Zwiastowania, gruntownie odnowiony staraniem jakiegoś kardynała (o, ironio historii!) w latach 1940–1941. Nie tylko tu odniosłem wrażenie, że świątynie położone na skalistych szczytach musiały jakoś szczególnie wkurzać owych wyzwolicieli-barbarzyńców, czyli młokosów z Kansas czy Idaho, którym pozwolono zrzucić bomby, gdzie im się tylko podoba. Więc zbudowana od zera w latach 50. Annunziata przypomina dzisiaj kościół na którymś z gomulkowskich osiedli na peryferiach polskich miast. I tak jest tu niemal wszędzie.

Ciekawe jest przyjrzeć się licznym, patetycznym i niestety z reguły brzydkim pomnikom, które w każdym miasteczku Kampanii Rzymskiej upamiętniają ofiary amerykańskich bombardowań. Obejrzałem ich co najmniej ze dwa tuziny, z wypisanymi pieczołowicie nazwiskami cywilnych ofiar, ale na żadnym nie napisano, że chodzi tu o bombardowania amerykańskie. Włosi wymyślali najróżniejsze formuły upamiętnienia: „ofiary wojny”, „złożyli życie za Italię”, „okrutne bombardowania” i Bóg wie co jeszcze. Ale słówko „Amerykanie” nie pada nigdy, pod żadnym pozorem. Nieznający historii przybyśz nie ma prawa domyślić się, kim mogli być owi bezmyślni niszczyciele Rzymskiej Kampanii. Mówiłem znajomym Włochom, że Polakowi kojarzy się to ze sposobem upamiętniania ofiar zbrodni katyńskiej w końcowych latach komunizmu: wolno już było czcić owe ofiary, pod warunkiem niewskazywania narodowości sprawców. Ale we Włoszech, gdy po wojnie wznoszono owe pomniki, musiała dominować swoista mieszanka wdzięczności i strachu wobec Ameryki, a lokalne elity, decydujące o kształcie pomników, nie chciały sobie robić żadnych kłopotów, tym bardziej że właśnie szerokim strumieniem płynęły do pokonanej w wojnie Italii amerykańskie pieniądze z planu Marshalla. W końcu nie tylko w Kampanii Rzymskiej pieniądze okazywały się warte kompromisów z prawdą o własnej historii.

# Jeden obraz, wiele smacznych historii

**Z**anim jednak rozpoczniemy opowieść o tym, co jadano, na czym jadano, i o historii tych obiektów, konieczne należy wspomnieć o sprawie zupełnie podstawowej – o pięknie tego dzieła. Claesz zgodnie z tradycją malarstwa niderlandzkiego, wywodzącą się od Jana van Eycka, do perfekcji opanował odwzorowywanie faktur przedmiotów. Perski dywan w geometryczne figury spoczywający na stole, po prawej stronie, jest welnisty, widać w nim sploty mechatych nici; błyszczący, srebrny dzban odbija w idealny sposób przestrzeń, której na obrazie nie widać, a która znajduje się z tyłu portretowanego pomieszczenia, w refleksie widać więc oświetlone okna i... samego malarza przy sztalugach. Po mistrzowsku jest namalowane szkło kielicha, przez które przenika słońce, zaprasowana tkanina obrusu, wilgotne oliwki i grudki soli.

## DROGI JAK MUSZKATOŁOWIEC

Nieopodal miski owoców, na cynowym talerzyku, tuż obok soli, leży mała, papierowa tutka zrobiona z zadrukowanego pismem gotyckim kawałek kartki. Z tutki wysypuje się bardzo cenny, grubo mielony pieprz. XVII w. to wciąż czasy, kiedy przyprawy były bardzo drogie. Co więcej, w tych kilku startych ziarnach jest zapisana bieżąca sytuacja – jak można to określić modnym obecnie słowem – geopolityczna. Choć w starożytnej i średniowiecznej Europie przyprawa ta była znana dzięki działalności kupców arabskich, łączących nasz kontynent z daleką Azją, to dopiero wyprawy Vasco da Gamy upowszechniły ją w Europie. Handel przyprawami, jak wiadomo, stał się źródłem wielkich fortun. Przyprawy nie tylko poprawiały smak jedzenia, lecz także dzięki obecnym w nich organicznym związkom

*Kto jeszcze nie ma pomysłu na śniadanie wielkanocne? Może by więc przygotować indyka w cieście? Taką wizję uczty stworzył w 1627 r. Pieter Claesz, urodzony pod Antwerpią malarz holenderskiego złotego wieku. **Niderlandzkie martwe natury to świat w świetle, to osobliwe, zawierające olbrzymią dawkę wiedzy dzieła sztuki, których rozkodowywanie jest niezwykle fascynujące.** W przypadku „Martwej natury z indykiem w cieście” tropy wiodą do Chin, na Moluki, do Nowego Świata, w przestwór Oceanu Indyjskiego i na nieodległą, wilgotną Zelandię*



**PRZEMYSŁAW BARSZCZ**

wanej korporacji z faktoriarnymi i pracownikami w najdalszych zakątkach globu i jednocześnie strukturę karnej armii z własną flotą i zbrojnymi oddziałami. Żeby uzyskać wyłączność na handel muszkatołowcem korzennym (*Myristica fragrans*), Holendrzy założyli jego intensywne uprawy na Molukach, a w innych miejscach go wytępiłi. Obowiązywała też tajemnica handlowa

chemicznym (np. piperynie) były dobrymi konserwantami produktów spożywczych, co miało wielkie znaczenie dla kwestii wyżywienia i ostatecznie przeżycia ludzi. W XVII w., kiedy powstawał obraz, kontrolę nad światowym handlem przyprawami przejmowały Niderlandy. Holendrom szczególnie zależało na pieprzu, ale też na galce muszkatołowej.

W zasadzie bez sensu jest wkładanie całej galki muszkatołowej do zapieczonego w cieście mięsnego nadzienia. A tak narysował tę potrawę Claesz. Nie zrobił tego omyłkowo. Nasiono muszkatołowca korzennego symbolizuje triumf Niderlandów w walce o hegemonię nad handlem przyprawami na Molukach – wyspach archipelagu malajskiego, będących przyprawowym macecznikiem (inna nazwa Moluków to właśnie Wyspy Korzenne).

## KOMPANIA

Założone w 1602 r. przedsiębiorstwo handlowe pod nazwą Holenderska Kompania Wschodnioindyjska zaczęło podbijać świat. Jednym z celów był monopol na sprzedaż galki muszkatołowej. Wyeliminowanie konkurencji do zysków z handlu tymi nasionami zapewniało niebotyczne bogactwo. W tym celu holenderscy kartografowie opracowywali nowe trasy wiodące na Malaje – szybsze niż portugalskie. Budowano szybsze i zwinniejsze galeony. Kompania miała strukturę świetnie zorganizowaną





i bezwzględny zakaz udostępniania siewek tej rośliny. Nie trzeba chyba dodawać, że realizacja tych celów wiązała się z nieprawdopodobnym wysiłkiem rdzennych mieszkańców wysp i eksterminacją całych grup ludności.

Holandia stała się potęgą handlową i najbogatszym państwem świata, dla którego import z basenu Morza Śródziemnego takich dóbr jak obecne na obrazie cytryny, oliwki i winogrona nie stanowił żadnego problemu. Ciekawe jest naczynie, w którym są położone winogrona. Jest to porcelanowa misa. Jak to możliwe, skoro w Europie technologię produkcji porcelany wynaleziono dopiero w XVIII w.? Porcelana jest również drogim zamorskim importem. Tym razem z Chin. W państwie cesarza Wanli wytwarzano specjalną porcelanę na rynki europejskie. Nie były to przedmioty – w przeciwieństwie do tych produkowanych na wewnętrzny rynek – najdelikatniejsze i kruche, były raczej solidne, by przetrwały transport morski. To pierwszy działający na masową skalę chiński produkt eksportowy na europejskim rynku. Niebiesko-białe talerze i misy to punkt obowiązkowy holenderskich martwych natur. Po upadku dynastii Ming, kiedy Chiny zaprzestały jej produkcji, chińska porcelana zaczęła być masowo kopiowana, głównie w Japonii i Persji. Na obrazie znajduje się chińska misa reprezentująca porcelanę kraak, której nazwa najprawdopodobniej pochodzi od karak, portugalskich żaglowców, którymi była przywożona.

## NAJSZLACHETNIEJSZA Z OSTRYG

Dziś w związku z globalizacją handlu i ułatwieniami w ruchu turystycznym widok ostryg nie budzi specjalnego zaciekawienia większości ludzi. Każdy też, jeżeli tylko miałby ochotę, może skosztować ostryg w restauracji albo kupując małże w jednym ze sklepików specjalizujących się w rybach morskich i mięczakach, jakie coraz częściej spotyka się w Polsce. Ostrygi nierzadko trafiają się na stoiskach rybnych supermarketów, z pewnością też ostrygę z lampką wina – stosunkowo niedrogo – może zjeść każdy, kto wybierze się na targ rybny w którymś ze śródziemnomorskich krajów.

Rzecz w tym, że od czasów kiedy powstała „Martwa natura z indykiem”, wiele się zmieniło. W tych dawnych czasach ostrygą jadalną (*Ostrea edulis*), najbardziej ceniony gatunek ostrygi, rodzimy dla naszego regionu, tworzyła wielką ławicę, która rozpoczynała się u wybrzeży norweskich, a kończyła dopiero tam, gdzie Atlantyk uderza o brzegi Hiszpanii. Ostrygi z obrazu to właśnie ostrygi jadalne, pochodzące najprawdopodobniej z wód holenderskiej Zelandii.

Z opisów i stanowisk archeologicznych wiadomo, że ostrygi jedzono od czasów najdawniejszych. Niewielka wówczas populacja ludzka, łowiąca metodami ekstensywnymi, nie była zagrożeniem dla morskich mięczaków. Jeszcze w początkach

drugiej połowy XIX w. ostrygą jadalną była bardzo liczna. Wraz z rewolucją przemysłową skokowo wzrosło zapotrzebowanie na żywność dla rzesz ludzi, którzy nie produkowali już żywności sami dla siebie. Łowiono coraz więcej ostryg i coraz bardziej rabunkowo, przy okazji niszcząc ławice ciągniętymi po dnie dragami. Dość powiedzieć, że np. w 1864 r. w Londynie sprzedano 500 mln sztuk ostryg. To musiało się źle skończyć. Rzeczywiście – minęło niewiele czasu i ostrygi jadalne stały się bardzo rzadkie. W niektórych rejonach zezwolono na połowy dragami tylko raz w roku, przez 45 minut. Załogi łodzi czekały na startowy wystrzał armatni, przez trzy kwadranse zwijały się jak w ukropie i wraz z kolejnym wystrzałem natychmiast przerywały połowy, pospiesznym wciągając dragi do łodzi, żeby nie zostać obciążonym surową karą.

Nic to jednak nie dało. Rozpoczęto więc badania nad hodowlą ostryg jadalnych wzdłuż wybrzeży, opracowując specjalne konstrukcje z drewna, połączone linami, na których osadzały się młode małże. Po ośmiu miesiącach ściągano je i przenoszono na ławice, gdzie dorastały.

Różne systemy hodowli ostrygi jadalnej są udoskonalane i funkcjonują do dziś. Z różnych przyczyn efekty nie są oszałamiające. W międzyczasie, próbując wsiedlać inne gatunki małży z różnych stron świata, przy okazji zawleczono choroby, drapieżne ślimaki i pasożyty, które dodatkowo zdziiesiątkowały rodzime populacje europejskie.

Zamiast ostrygi jadalnej obecnie częściej możemy trafić na inny gatunek: ostrygę *Crassostrea angulata* pochodzącą z azjatyckiej części Pacyfiku (myląc jest jej nazwa „ostryga portugalska”, wzięła się ona z faktu, że ostrygę tę sprowadzili na swoje wybrzeża żeglarze portugalscy już w XVI w.).

W każdym razie najczęściej hodowaną i poławaną ostrygą na

świecie, również w Europie, jest inny pacyficzny gatunek, pochodzący z wód koreańskich i japońskich małż *Magallana gigas* (synonim *Crassostrea gigas*), zdolny do dostosowania się do różnorodnych warunków, i to on wiedzie zdecydowany prym w handlu i kuchni.

Liczebności ostrygi jadalnej *Ostrea edulis*, namalowanej na obrazie Pietera Claesza, nie udało się odtworzyć nawet w przybliżeniu i na razie nic nie wskazuje na to, by mogło to nastąpić. Ostrygi tego gatunku są więc w handlu rzadsze od gatunków azjatyckich i są znacznie droższe.

## ORIENTALNY NUREK I AMERYKAŃSKI IMPERATOR

Kolejnym mięczakiem z holenderskiej uczty jest jeden z przedstawicieli rodzaju łodzik, czyli *Nautilus* sp.

Łodziki to nietypowe głowonogi, nazywane żywymi skamieniałościami, których kilka lub kilkanaście gatunków

Nieopodal miski owoców,  
na cynowym talerzyku,  
tuż obok soli, leży mała,  
papierowa tutka, wysypuje  
się z niej bardzo cenny, grubo  
mielony pieprz. W tych kilku  
startych ziarnach jest zapisana  
bieżąca sytuacja – jak można  
to określić modnym obecnie  
słowem – geopolityczna



(ich odrębność jest przedmiotem badań) zamieszkuje wody Indo-Pacyfiku. Najdawniejsza przeszłość łodziaków zawiera luki, które nie pozwalają prześledzić historii rodzaju, wiele wskazuje także na to, że mają cechy, które pojawiły się stosunkowo niedawno – co nie do końca pasuje do charakterystyki żywej skamieniałości, jednak rzeczywiście reprezentują linię, której początki sięgają dziesiątki milionów lat wstecz. Wrażenie takie nasuwa się już przy pierwszym kontakcie z łodziakiem: głowonóg poruszający się z wolna przy pomocy odrzutu wody wyrzucanej przez syfon, żyjący w pięknej, kolorowej muszli, z której wystaje 90 czulków, od razu kojarzy się z amonitami, belemnitami i innymi drapieżnymi głowonogami proceanu.

Łodziak nie jest na stole Pietera Claesza potrawą. Jego muszla jest czarą pięknego pucharu o złotej, misternie zdobionej nóżce.

Najbardziej imponującym elementem stołu jest indyk, a dokładnie mówiąc – jego szyja wraz z głową, rozpostarte skrzydła i rozłożone w wachlarz sterówki ogona. To dekoracja, mięso indyka zapewne trafiło do ciasta.

Indyk domowy wywodzi się od dzikiego indyka zwyczajnego *Meleagris gallopavo*, pochodzącego z Ameryki Północnej, a dokładnie od meksykańskiego podgatunku *Meleagris gallopavo gallopavo* – nominatywnego, czyli tego, na podstawie którego gatunek został opisany przez naukę (oprócz indyka zwyczajnego w Meksyku żyje również indyk pawi, to jednak osobny gatunek, niebędący przodkiem indyków domowych). Dzikie indyki, mimo że dorastają do 10 kg masy ciała, latają całkiem nieźle i szybko, chociaż raczej na krótsze odległości. Jeżeli chodzi o upierzenie, forma udomowiona zachowała piękne pióra dzikich przodków, co budziło zainteresowanie indykami nie tylko od strony kulinarnej, lecz także estetycznej. Zachowała także tzw. korale, widoczne u ptaka na obrazie, służące ptakom do wzajemnej identyfikacji i oznaczania hierarchii.

Autor: Pieter Claesz (ok. 1597–1661)  
Tytuł: Martwa natura z indykiem w cieście  
(Stilleven met kalkoenpastei)  
Data powstania: 1627  
Wymiary: 76,5 × 135 cm  
Technika: olej na desce  
Lokalizacja: Rijksmuseum, Amsterdam

Indyki były hodowane na Jukatanie już przed naszą erą. Do Europy przywieźli je Hiszpanie koło połowy XVI w. W czasach, kiedy powstał obraz, indyk był już hodowany w sporej części naszego kontynentu, trafiał jednak na stoły ludzi zamożnych.

Dzikie amerykańskie indyki jeszcze niedawno były gatunkiem zagrożonym, na szczęście populacje większości podgatunków udało się odbudować, przywracając im wysoką liczebność – wyjątkiem jest właśnie rzadki meksykański przodek indyków domowych.

W dziobie indyk trzyma gałązkę róży, prawdopodobnie róży francuskiej *Rosa gallica*, gatunku występującego w środkowej i południowej Europie, w Anatolii i na Kaukazie, lecz uprawianego w wielu krajach od czasów rzymskich. W Polsce róża francuska jest gatunkiem podlegającym na naturalnych stanowiskach ochronie prawnej, rzadkim i zagrożonym wyginięciem, wpisanym do Czerwonej księgi roślin.

Wszystkie zaprezentowane przez Claesza obiekty są luksusowe i świadczą o zamożności ich właściciela. Obraz ten to banket – martwa natura z wystawnym posiłkiem. Tu ma się wrażenie, że jest on w trakcie: pieczywo jest dopiero co pokrojone, z ciasta został wycięty jak na razie tylko jeden kawałek, kieliszek jest w połowie pełny, a z talerza ostrzyg są zjedzone zaledwie cztery – z boku stołu leżą pozostałe po nich puste muszle. Na ostrzu noża o kościanym, rzeźbionym trzonku znajduje się monogram autora, stylizowane litery „PC” oraz data 1627.





# Prawdziwy chleb na zupę

*Żeby przygotować się psychicznie do wyprawienia wielkanocnego śniadania dla naszej nielicznej, ale jednak czteropokoleniowej rodziny, czytałam ostatnio „Historię polskiego smaku” Mai i Jana Łozińskich. I aż mi się łezka w oku zakręciła, gdy dotarłam do rozdziału o kuchni ziemiańskiej, czyli narodowej. Dlaczego? Bo pani domu była w tamtych czasach królową w kuchni*

**W** każdym, nawet niezamożnym dworze zatrudniano wtedy kucharza, więc rola pani domu ograniczała się do zatwierdzenia listy dań, ewentualnie znalezienia pomocy dla mistrza, bo przed Wielkanocą sam nie dałby rady przygotować wszystkiego dla tabunu gości. W dobrym tonie był mężczyzna. „Zbankrutowany szlachcic, dopóki się dało, trzymał dobrego kucharza, a kucharz wychodził ze dworu dopiero wtedy, kiedy już fornalki, woły, a nawet i krowy zostały sprzedane” – tak to podobno wyglądało, prawie jak z orkiestrą na Titanicu.

Taki kucharz był personą, co się zowie, bo od jego talentów zależał prestiż państwa domu. A – jak to w życiu bywa – w naszym rodzimym garze mieszały się różne tradycje, największe wzięcie mieli mistrzowie francuscy albo tacy, którzy opanowali do perfekcji tajniki kuchni znad Sekwany.

Przykład szedł z góry. Król Stanisław August Poniatowski zabrał wszak z sobą po abdykacji Pawła Tremo, który stał za sukcesami słynnych obiadów czwartkowych. Król wypłacał mu rocznie ponad

10 tys. zł – wyższej pensji nie miał żaden inny kuchmistrz w Rzeczypospolitej.

Tremo zrobił w Petersburgu karierę, uważano, że lepiej zna się na gotowaniu niż carscy kucharze, mimo to po śmierci swojego pana wrócił do Polski i zamieszkał w dworku pod Warszawą. To m.in. jemu zawdzięczamy zmiany w ciężkim sarmackim menu, które odchudziło się i uszlachetniło pod wpływem francuskich smaków. Tremo w swoich przepisach doceniał zresztą naszą tradycyjną kuchnię: szczupaka i kapłona po polsku, flaki, duszoną baraninę, którą tak bardzo lubił król, barszcz klarowny z buraków, barszcz zabielały.

Jego uczeń – Jan Szyttler, autor XIX-wiecznych księzek kulinarnych – namawiał wiosną do polowania na... żabki, które wtedy właśnie, zanim zaczną się rozmnażać, są najsmaczniejsze, zwłaszcza ich udką posypane pietruszką i skropione cytryną. No cóż, ja raczej polować na nie nie będę, bo lubię żabki żywe i skaczące w trawie, a nie podane na talerzu.

Czas wrócić na ziemię, bo nie wyręczy mnie żaden mistrz patelni.

## ZUPA CHLEBOWA

Co roku staram się zaskoczyć czymś moich gości, lawirując między tradycją a światowymi, niekoniecznie francuskimi, nowinkami. W tym szyki popsuła mi zimna wiosna, przez którą raczej nie będzie na polu u zaprzyjaźnionego rolnika szparagów, na które rzucało się z radością całe towarzystwo. Odkryłam za to na lokalnym targowisku piekarza, który ma najlepszy chleb razowy pieczony na zakwasie. Taki właśnie bochen z formy wykorzystam na niespodziankę numer jeden i zrobię zupę chlebową z czosnkiem (moja mama dodaje chleb do pieczonego mięsa, a wtedy sos wychodzi przepyszny). Żurków, białych barszczyków i chrzanówek zjedliśmy już na święta tyle hektolitrow, że czas na coś nowego. A właściwie starego, bo według przepisu Lucyny Cwierzakiewiczowej – zupę chlebową.

Na dużej i głębokiej patelni trzeba zeszklić pokrojone w kostkę 2 białe cebule i 2–3 przeciśnięte przez praskę ząbki czosnku, a potem wrzucić pokrojony na





małe kawałki bochenek chleba i porządnie razem podsmażyć. Po przełożeniu do garnka zalewamy chleb bulionem warzywnym, dodajemy łyżkę oliwy i gotujemy, doprawiamy solą, pieprzem i kminkiem lub majerankiem, a potem blendujemy. Podajemy z kwaśną śmietaną albo zakwaszamy sokiem z kapusty kiszzonej. Można też dodać pokrojony i podsmażony na patelni chudy boczek albo kawałki kielbasy.

## KACZE NÓŻKI I MODRA KAPUSTA

Tuż przed świętami zakończył z hukiem – dosłownie, wywalając przy okazji korki w całym domu – żywot mój bardzo już pełnoletni piekarnik marki Amica. Podam nazwę, a co tam. Drugiego takiego mieć już raczej nie będę. Piekł dzielnie i się nie poddawał, chociaż zakład energetyczny na naszym terenie ciągle fundował nam czkawkę w dostarczaniu prądu, więc AGD u sąsiadów wysiadło znacznie wcześniej. Chciałam nawet dziadka – z szacunku – reanimować, ale elektryk szybko ostudził mój zapal, mówiąc, że nie ma już u nas kultury naprawiania takich urządzeń, a potem wyliczył, że jednak

bardziej się opłaca kupić następny, chociaż z góry uprzedza, że jak popracuje 5–6 lat, to będę miała szczęście. Jego zdaniem warto ubezpieczyć nowy piekarnik, jak padnie wcześniej, dostanę nowy.

Cóż było robić – szarpnęłam się więc i na ubezpieczenie, a z tej okazji następnego dnia upiekłam kaczkę, żeby spraw-

dzić bojem, jak działa mój nowy przyjaciel. Piecze równo, szybko, ptaszysko wyszło genialnie, więc przyrządzę je także dla wielkanocnych gości, tyle że nie całą, tylko same nóżki. Robota łatwa, a efekt zawsze zachwyca – nasmarowane oliwą, solą, czosnkiem i majerankiem poleżą sobie kilka godzin w lodówce, a potem







zostaną upieczone w towarzystwie jabłek, daktyli i pomarańczy, które rozplyną się w wysokiej temperaturze na pyszny sos.

Do kaczki zrobię oczywiście wielką miskę modrej kapusty. Trzeba ją poszat-kować, posolić i pozwolić, żeby puściła sok, a potem pogotować w osolonej i lekko posłodzonej wodzie z listkiem laurowym, zieleń angielskim i kilkoma goździkami, na koniec odcedzić i skropić oliwą z oc-tem jabłkowym – jest pyszna i pięknie wygląda na stole. Można do niej dodać podsmażoną cebulkę z garścią rodzynek.

Pasować też będą pieczone z rozmary-nem ziemniaki.

## BIAŁA KIEŁBASA Z MIODEM

Coraz więcej osób w mojej rodzinie defi-nitywnie odmawia jedzenia mięsa, ale raz do roku pozwalamy sobie na szaleństwo, czyli pieczoną białą kielbasę. Tym razem też będzie, ale nie z jabłkami czy piwem, lecz z miodem. Piekę ją na cebulce, którą najpierw podsmażam z czosnkiem i skra-piam białym winem lub octem winnym. Im więcej tej cebulki, tym lepiej. Na niej układam w żaroodpornym naczyniu pęta kielbasy, delikatnie je nacinam i smaruję sosem z francuskiej pełnoziarnistej musz-tardy i miodu. Po godzinie w piekarniku zwykła kielbasa zamienia się w danie godne królów. Warto ją raz czy dwa pod-łać wodą z miodem i imbirem.

Do kielbasek zrobię salatkę z białej ka-pusty z jabłkiem i mango – warto ją przy-gotować dzień czy dwa wcześniej, żeby się dobrze przegryzły smaki. Poszatkowaną

kapustę trzeba lekko posolić i ubić, żeby puściła sok. Dodatek owoców sprawia, że jest rześka i świeża. Ale też bardzo sycąca.

## ŚLIWKI ZAPIEKANE POD KRUSZONKĄ

Po obowiązkowym spacerze – mam na-dzieję, że w tym roku nie będzie zamieci śnieżnej ani gradobicia, bo prognozy są jakieś niewyraźne – zapraszam na deser. Nie paschę czy babę, ale śliwki zapiekane pod kruszonką. Schowane w spiżarni cze-kały kilka miesięcy na ten dzień. Co roku jesienią piekę węgierki przez kilka wiesz-ków i pakuję do słoików. Przerabiam kilka-dziesiąt kilogramów, doprawiam miodem, cynamonem, ucieram z kakao – wariantów jest sporo. Czasem trafiam na jakiś prze-pis, który koniecznie muszę wypróbować, więc zdarzają się też eksperymenty. Śliwki do kruszonki spędzają w piekarniku tylko

kilka godzin, są wciąż fioletowe i smakują kwaskowato, bo nie doprawiam ich ani cukrem, ani miodem.

Po wyjęciu ze słoików układam je w żaroodpornym naczyniu i dopiero teraz posypuję ciemnym cukrem trzci-nowym muscovado, który ma ciekawy, palony, głęboki smak. Zamiast śliwek można też tak zrobić mrożone wiśnie, trzeba tylko bardziej posłodzić, bo są kwaskowate. Kruszonkę robię z płatków owsianych zmiksowanych z masłem, miodem i odrobiną cynamonu. Nakrywam nią owoce i zapiekam przez pół godziny. Taki deser – lekki i rześki – jest przyjem-nym zakończeniem każdej uczyty, nie tylko wielkanocnej. Można go podać z gęstą śmietaną utartą z serkiem mascarpone, cukrem i sokiem z cytryny.

**Anna Monicka**

Korzystałam z [https://www.wilanow-palac.pl/kuchmistrz\\_krola\\_stasia.html](https://www.wilanow-palac.pl/kuchmistrz_krola_stasia.html)





# „Sen nocy letniej” epoki gier komputerowych

**T**o sensowny pomysł Teatru Telewizji, by Międzynarodowy Dzień Teatru uczcić „Snem nocy letniej” Williama Szekspira. Choć z powodu meczu zobaczymy to widowisko w kolejny poniedziałek, 3 kwietnia.

Ta napisana w ostatnich latach XVI w. komedia wciąż jest u nas grywana. W 2012 r. Artur Tyszkiewicz zrobił z niej święto w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie. W 2018 r. wystawił ją warszawski Teatr Dramatyczny. Rzecz cała opiera się na iluzjach, młodzi bohaterowie zastanawiają się blisko finału, czy nie śnili. Co więcej – ateńscy rzemieślnicy wystawiają w niej sztukę „Pyram i Tysbe”, mamy więc teatr w teatrze.

Reżyser Wojciech Adamczyk twierdzi, że to o miłości. Istotniej jej igraszki wspomagane magią króla elfów Oberona i duszka Puka prowadzą do kolejnych komplikacji. Pokazuje się to nam z użyciem sztafazu telewizyjnego, podobnie zrobił Adamczyk niedawno z „Balladyną” Juliusza Słowackiego. Są błyski, są znikające postacie, są więc czary. Skądinąd oglądając obie produkcje, widzimy, ile Słowacki wziął z Szekspira. Puk to protoplasta Skierki i Chochlika. Urzeczenie królowej elfów Tytanii grubiańskim rzemieślnikiem o osłej skórze to zapowiedź fascynacji Goplany Grabcem.

W inscenizacji Adamczyka mamy radość z robienia teatru efektownego, żywiołowego, można by rzec – bajkowego. Ten reżyser umie prowadzić aktorów. Wspomagały go fantastyczne dekoracje Katarzyny Adamczyk, dobrze wymyślone kostiumy Marii Balcererek i prawdziwie czarodziejska muzyka Piotra Salabera.

Mam jedną wątpliwość. Zgodnie z logiką telewizyjnego formatu Adamczyk zmieścił cały tekst w 1 godz. i 10 minutach. Zrobił to zrecznie, niby nic ważnego nie wypadło. Wypadły jednak smaczki, choćby groteskowa dyskusja o naturze teatru przed przedstawieniem na dworze księcia Aten Tezeusza. I trochę zniknęło poczucie goryczy, którym jest podsyta ta zabawa ludzkimi uczuciami. Tę gorycz wyczuwało się i u Tyszkiewicza, i u Gábora Máté w Teatrze

Dramatycznym. Tam miłość i seksualna żądza niosły cierpienie, choćby przy okazji wątku indyjskiego chłopca, niewolnika, ale także zmagani sercowych głównych bohaterów. Tu ledwie zauważamy, że sztuka zaczyna się od żądania ojca, by zabito jego córkę, bo jest nieposłuszna jego woli w sprawach sercowych.

Tempo jest zbyt zawrotne, żeby się zatrzymywać przy takich subtelnosciach. To ma być Szekspir na miarę epoki gier komputerowych. Czy to wystarczy, by pozyskać młodą widownię – nie wiem. Coś chyba jednak tracimy.

Co nie znaczy, że nie chyłę czoła przed techniczną sprawnością tego spektaklu. Spośród czwórki młodych bohaterów najlepiej wypadł Paweł Brzeszcz jako Lizander, żywiołowy i prawdziwy. Ale reszta: Maja Kowalska (Hermia), Natalia Gadowska (Helena) i Jan Kwapisiewicz (Demetriusz) radzą sobie nieźle. Może nie do końca korzystają z okazji, by się pobawić komicznie swoimi bohaterami (Brzeszcz to umie). Ale Adamczyk ma rację: oni muszą być młodzi i niedoświadczeni, żeby wydać się nam wiarygodnymi.



Inni mają swoje świetne momenty. Kapitalny jest Robert Jarociński jako demoniczny Oberon z elfimi uszami, niezła – Beata Fido jako Tytania. Puk jest tu kobietą, a właściwie bezpłciowym stworzonkiem, Lidia Sadowa funduje nam kilka minut niezłej rozrywki. Należałoby wymienić wszystkich ateńskich rzemieślników. Mariusz Ostrowski w roli Spodka, który tu według tłumaczenia Macieja Słomczyńskiego jest Dupkiem, bezbłędnie wyczuwa, na czym polega Szekspirowski, surrealistyczny komizm (autor z pewnością nie słyszał tego słowa). Wszystkich ich jest tylko trochę za mało. Przegrywają z formatem, ale przecież nie z sobą.

**Piotr Zaremba**





3 MIŁOŚCI

# Cicha apostazja celebrytów

**W** ciągu jednego pokolenia Polska przestanie być katolicka. Oczywiście nie ze względu na głośne marketingowe apostazje idoli, również nie ze względu na grzechy ludzi Kościoła, choć są potwornie bolesne. Nie, bo fundamentem Kościoła jest człowiek, który zdradził Chrystusa, mieniać się wcześniej Jego najgorliwszym wyznawcą, a największym apostołem pogan był facet, który chwilę wcześniej pilnował ubrań ludzi w pocie czoła kamienujących pierwszych chrześcijan.

Tak samo Kościół nie zostanie odebrany Polakom w wyniku niszczącej fali medialnej agresji ciężkiego kalibru, która została wywołana przez globalnych misjonarzy ateizmu różnych denominacji, ani przez nienawiść wobec wiary współczesnych areopagów, o których pisał Jan Paweł II, ani nawet w wyniku sprytnie głupich działań narcystycznych egotyków z miliardami na podorzędziu. Kościoła powszechnego nie zniszczy również ludzie opętani krzyczący w sieci: „Bestia z Wadowic” czy „Jan Diabeł II”, ani też jego wewnętrzni wrogowie (ojciec Jacek Prusak SJ: „Jak Jan Paweł II mógł być tak bezduszny wobec ofiar? To szok dla wielu ludzi”; sędzę, że akurat dyrektor Instytutu Psychologii Akademii Ignatianum wie, w którym roku zaczęto badać zjawisko pedofilii i czym jest anachronizm).

Nad dechrystianizacją Polski ciężko pracują również wrogowie zewnętrzni: środowiska lewicy obyczajowej, trzecia fala ruchu feministycznego czy neomarksistowskie środowiska gender oraz Ponton, Panoptykon, SLD, TVN, „Elle”, Feminoteka i „Wysokie Obcasy”.

Sądzę, że dla upadku polskiego katolicyzmu może być rozstrzygająca cicha apostazja znanych ludzi. Wyplukanie z ich serc i umysłów zdrowej wiary i idące za tym gło-

szenie poglądów absurdalnych z punktu widzenia i filozofii, i wiary, i nauki.

Dla wielu młodych ludzi słowo ulubionego piosenkarza, ukochanej influencerki czy tiktokerki jest święte. Gdy Bożenka z „Klanu” – Agnieszka Kaczorowska – mówi: „Nie chrzczę swoich dzieci, bo sakramenty zamykają czakry”, to naprawdę coś w głowach setek tysięcy ludzi się zmienia. Z Kościołem katolickim nie chce mieć nic wspólnego absolutna większość koleżanek i kolegów moich dzieci, bo ksiądz to pedofil. A jest to spektrum 14–27 lat, więc niby anegdotyczne, ale jednak jakoś reprezentatywne dla społeczności młodych mieszkańców dużych miast.

Tancerka Agnieszka Kaczorowska mówi o czakrach, Kasia Nast, „była dziewczyna Barona”, „nago medytuje na Bali” i opowiada o „drodze do przebudzenia duchowego, szczęścia i miłości”, ludzie z Ekipy Friza, najbardziej wpływowej grupy polskich influencerów, pytają: „Chodźcie do kościoła? Ja nie... zawsze się tam nudzę”, „Anja rapuje o jodze”, właśnie miał miejsce „yoga challenge z byłą Friza Kindzxa i Wersow”. „Poranna joga czy pilates?” – zastanawia się Martyna Wojciechowska, piąta najbardziej popularna osoba publiczna w kolejnym „top rankingu Influencer Roku”. Powyższych celebrytów obserwuje i naśladuje może i 10 mln ludzi.

Najsilniejszym nośnikiem antykatolicyzmu jest popkultura. Za parę dni, tygodni, miesięcy na ukraińskich stepach zdecyduje się, czy za trzy, najdalej cztery lata nasz naród zostanie poddany najtrudniejszej od ośmiu dekad próbie. Wiara zawsze była źródłem bezinteresownego męstwa. A ono może być nam potrzebne jak kobiecie i dziewczynkom z Irpienia i Buczy. Skuteczny atak na katolicyzm może zdecydować o naszym być czy nie być.



**ROBERT TEKIELI**

Trwa cicha apostazja celebrytów. Coraz szybciej i w konkretnym kierunku wiruje ważny element mechanizmu popkulturowej dystrybucji prestiżu. W końcu która z dziewczyn nie chciałaby być tak popularna jak była dziewczyna Barona? Opuszczających Kościół z okazji nowej płyty Dawid Podsiadło może już i nudzi. Idol znaczy bałwan, więc nie dziwi oburzenie jednej z celebrytek, że nie można wrócić do Kościoła i kolejny raz go porzucić z medialnym hukiem. Jednak wbrew pozorom sprawa jest poważna. Dziś już nie chodzi o to, by kontestować Kościół. Kościół przestaje być ważny, wiara staje się nieistotna. I zastępują ją wierzenia.

Cicha apostazja celebrytów odbywa się przez nieuświadomione najczęściej przejęcie jednej z wiązek światopoglądów obecnych na współczesnym targowisku duchowości. Najpopularniejszy jest konglomerat „energii, wibracje, czakry, czakramy”. Celebryci nawracają się głównie na hedonistyczny selfizm energetyczny.

Działaniem nieokreślonej „energii gwiazd” tłumaczy moc „gwiazdnej wody” wykształconym z dużych miast miła wróżka Ania w paśmie śniadaniowym TVN. „Można zostawić na parapecie, na balkonie otwartą butelkę z wodą. Do niej łyżkę soli i srebrną monetę. Niech te gwiazdy, niech ta energia tam nawpada. Zakorkować i mieć do wszelkiego rodzaju białych rytuałów” – radzi wróżka. Filmik o tytule „Jak chronić swoje pole i blokować negatywną energię innych? Naukowe do-

wody voodoo i medytacja róży” obejrzało już 1,2 mln widzów. To Klaudia Pingot przekonuje na swoim subskrybowanym przez prawie 390 tys. osób kanale na YouTube do energetycznych idei. „Zacznij od energii w sobie. Moc czakr – poczuć przepływ”, „Jak korzystać z energii reiki w rozwoju biznesowym”, „Wewnętrzna energia Bogini – obudź w sobie żeńską energię” – gdzie nie zajrzysz, jesteś energetyzowany. Działaniem „energii” tłumaczą swoją skuteczność zarówno tak popularne dziś i absurdalne, lajtowe wierzenia/ideologie, jak i „prawo przyciągania” czy „pozytywne myślenie”, a także duchowości skrajnie toksyczne – jak spirytystyczno-okultystyczna metoda Silvy i demoniczne wróżbiarstwo kartami tarota. Właściwie wszystkie obecne dziś na rynku formy psychomanipulacji, „wiedzy tajemnej” czy zamaskowanego okultyzmu swoje działanie tłumaczą istnieniem jakiejś enigmatycznej „subtelnej energii”, której istnienia nie potwierdza nauka. Nie rejestrują tej „energii” bowiem najwrażliwsze i najbardziej skomplikowane detektory.

O odkryciu rzeczy tak fundamentalnej jak kolejna forma oddziaływania w świecie przyrody poza grawitacją i elektromagnetyzmem oraz tzw. silnym (na poziomie jądra atomowego) i słabym oddziaływaniem na poziomie nukleonów słyszełibyśmy w każdym medium naszej globalnej mieściny. Następnego dnia po odkryciu piątej siły natury geniusz, który by tego dokonał, otrzymałby Nagrodę Nobla przez aklamację. Werze zderzaczy hadronów i penetracji materii na poziomie kwantowym opowieści o owej energii jako obiektywnym elemencie struktury wszechświata są śmiesznymi, ale użytecznymi bajkami.

Skąd zatem wziął się „energetyczny selfizm”, selfizm czakralny? Duchowy i kulturowy desant duchowości i filozofii wschodnich na cywilizację zachodnią na skalę społeczną ma miejsce od lat 60. XX w. Duchowe wojska ruszyły z Kalifornii, ale ta historia jest o wiele dłuższa.

Zachodnie elity zafascynowały się Orientem pod koniec XVIII w.,

tę fascynację podtrzymywały przez XIX w. i promowały różnego typu tajne i radykalnie antychrześcijańskie nuryty, wolnomularskie, różokrzyżowe i teozoficzne.

Do rozpowszechnienia się błędnego przekonania o nieosobowej, energetycznej naturze świata duchowego najmocniej przyczynił się ruch zainicjowany przez Towarzystwo Teozoficzne założone w Nowym Jorku w 1875 r. przez Jelenę Pietronę Bławatską, rosyjską okultystkę i medium spirytystyczne. Wydawała magazyn teozoficzny „Lucifer”, kontynuatorzy tej działalności – jej uczennica Alice Bailey i mąż tejże, Foster Bailey – założyli w 1920 r. Lucifer Publishing Company, przemianowaną po kilku latach na Lucis Trust. Teozofowie głosili, że człowiek jest istotą zawierającą w sobie siedem form istnienia, a jedną z nich jest energia życiowa z hinduska: prana. Idee teozoficzne przeniknęły w uproszczonej formie do masowej świadomości w połowie XX w., dając początek ruchom New Age oraz niezwyklej karierze jogi na Zachodzie. Dla rozpowszechniania się zwulgaryzowanej wersji hinduizmu przełomowa była działalność w USA Swami Vivekanandy,

ucznia Paramahansy Ramakryszny z Kaluty na początku XX w. Niewiele później w Polsce rozpoczęły działania zorganizowane środowiska wszczepiające modę na Orient. Orient specyficznym pojmowany, a właściwie – teozoficznie.

W Polsce pionierem jogi był profesor chemii i filozofii Wincenty Lutosławski, stryj Witolda, a najskuteczniejszą propagatorką pisarka i tłumaczka, wyznawczyni hinduskiego teologa Krishnamurtiego, karma jogini Wanda Dynowska, założycielka polskiego „Przeglądu Teozoficznego”. Była ona autorką tezy o niesprzeczności idei reinkarnacji z chrześcijaństwem lub innymi religiami abrahamicznymi. Warunkiem dla katolików miało być tu być „odrzućcie części dogmatów”, w tym, „odrzućcie bezpośredniego stwierdzenia boskości Jezusa”, co komentarza nie wymaga.

Wyznawcy hedonistycznego selfizmu energetycznego nie mają o tej lucyferycznej historii pojęcia. Wibracje po prostu są modne. A bycie trendy najważniejsze.

W czwartek 13 kwietnia o 18.44 w Warszawie w kawiarni Agere Contra przy ul. Chłodnej 18 będą mówił o dechrystianizacji nadchodzącej na łapkach kota.

Spotkanie będzie nosić tytuł: **„Zagrożenia duchowe. Joga, czakry, energie, wróżki albo cicha apostazja celebrytów”.**

Współczesna szkoła w mieście socjalizacji aplikuje dzieciom egotyzację. Selfizm we wszystkich swoich odmianach stał się duchowością naszej cywilizacji. W Polsce wyznawcy hedonizmu energetycznego przestali chrzczyć dzieci, ponieważ sakramenty „zamykają czakry”. Odrzucają chrześcijaństwo i wybierają energetyczną herezję. Za tydzień wykażę, jakiego w istocie dokonują wyboru i jakie są tego konsekwencje.

Wielki Tydzień przed nami. Bądź zimny lub gorący. Wiary nie zniszczyły prześladowania, męczennicy są zasiewem Kościoła. Wiarę zabija obojętność, a w powstała pustkę wślizgują się obrażające rozum wierzenia. Identyfikacja było w pierwszych wiekach po Chrystusie: religie widzisz. Selfizm czakralny jest jak gnoza. Ale o tym za tydzień.

# Zagrożenia duchowe

## — joga, czakry, energie, wróżki

### CICHA APOSTAZJA CELEBRYTÓW

W ciągu jednego pokolenia Polska przestanie być katolicka



### Robert Tekieli w Agere Contra

---

**BOŻENKA Z „KLANU”:**  
„nie chrzczę swoich dzieci, bo sakramenty zamykają czakry”...

**13 IV 2023**  
**GODZ. 18.44**

×

**Warszawa**  
**Chłodna 18/2**

44 | 44

PARTNERZY









# Wszystko pod kluczem

*Kradzieże sklepowe stają się coraz większym problemem w Stanach Zjednoczonych. Odpowiada za nie jednak nie tyle inflacja, ile „postępowe” podejście demokratycznych prokuratorów do zwalczania przestępczości*

**S**tyczeń. Carlsbad, malownicze miasteczko położone nad wybrzeżem słonecznej Kalifornii. Do miejscowej drogerii sieci Rite Aid wchodzi kobieta z dużym plastikowym workiem w rękach. Spokojnie podchodzi do półek i zaczyna wrzucać do niego leki i kosmetyki. Na protesty pracowników sklepu nie zwraca uwagi. Gdy podchodzą do niej, odpycha ich. Gdy worek jest pełny, równie spokojnie, jak weszła, wychodzi. Policji udało się schwycić złodziejkę dzięki nagraniu z kamery przemysłowej. Ukradła towar wart 9,4 tys. dol. W jej samochodzie znaleziono kolejny towar skradziony w innych sklepach Rite Aid w Los Angeles i Riverside. Kobieta była częścią zorganizo-



**ALEKSANDRA RYBIŃSKA**

wanej sieci przestępczej, jednej z tych, które sięją według mediów za oceanem spustoszenie w amerykańskim handlu.

Kradzieże zwane „smash and grab” (rozbić i chwycić) to nowa zmara amerykańskich miast. Szczególnie tych rządzonych przez demokratów, gdzie postępowi prokuratorzy uparczywie lobbują za łagodzeniem kar i zastępowaniem ich prewencją oraz sprawiedliwością rasową i społeczną. Tak jak w Kalifornii, gdzie w 2014 r.

przegłosowano w referendum zmiany w kodeksie karnym. Od tego czasu kradzieże towaru o wartości poniżej 950 dol. są traktowane jako wykroczenie. Podobnie jak fałszowanie czeków czy handel narkotykami i wiele innych przestępstw. Dwa lata później

uchwalono także prawo umożliwiające warunkowe zwolnienie z więzień tych, którzy nie popełnili przestępstw z użyciem przemocy. Obie ustawy znacznie zredukowały populację więzienną i odciążąły stanowy budżet. Tyle że doprowadziły do wzrostu przestępczości. Problem przeniósł się m.in. na właścicieli sklepów. W 2021 r. aż 11 miast z tego stanu trafiło na listę 100 najmniej bezpiecznych miast w USA.

## MILIARDOWE STRATY

Kradzieże sklepowe generują według Narodowej Federacji Handlu ponad 100 mld dol. strat rocznie. Niektóre duże sieci handlowe, by ograniczyć szkody, zaczęły zamykać towary na klucz, inne wycofywać się z trapiących przestępczością miast. Sieć Walgreens pod koniec 2021 r. zamknęła pięć drogerii w San Francisco. Dla mieszkańców był to bolesny cios. Drogerie Walgreens to często jedyne dobrze zaopatrzone sklepy w zubożałych okolicach, zamieszkałych przez mniejszości etniczne. Firma wydała oficjalny komunikat, w którym mówiła o bezprecedensowym wzroście kradzieży detalicznej mimo inwestycji w ochronę i dodatkowe zabezpieczenia towarów. W sieci krążyło nagranie pokazujące mężczyznę obrabiającego półki w sklepie Walgreens i wyjeżdżającego z niego na rowerze z workiem wypełnionym kradzionymi lekami.

Za Walgreens poszły inne sieci. Michael Fiddelke, dyrektor finansowy dyskontów Target, piątej pod względem wielkości przychodów sieci handlowej w USA, twierdzi, że kradzieże uszczupliły zysk firmy o 600 mln dol. w 2022 r. W najbliższych miesiącach firma zamknie cztery sklepy – w Waszyngtonie, Portland i Minneapolis. Aż 15 sklepów w 2023 r. zamierza zlikwidować najpopularniejsza sieć dyskontów w USA – Walmart. Prezes spółki Doug McMillon powiedział CNBC News w grudniu 2022 r., że w pozostałych sklepach z powodu kradzieży ceny zapewne wzrosną. Sieć Rite Aid, jak donosi „New York Post”, zamierza trzymać wszystkie towary pod kluczem. Obie drogerie firmy na Manhattanie zostały zlikwidowane w ub.r. po tym, jak zuchwała kradzież została nagrana przez znajdującego się w drogerii aktora Michaela Rapaporta. Po tym incydencie nagranie wstawiono do sieci. Jak twierdził oburzony aktor, złodziej wszedł do sklepu, wypełnił dwie torby kosmetykami i wyszedł spokojnym krokiem, śmiejąc się ochroniarzowi w twarz. W Nowym Jorku odnotowano w 2020 r. ponad 32,3 tys. kradzieży detalicznych, w 2021 r. było ich już 43,8 tys.

Firma Nike poprosiła urzędników miejskich – według lokalnego dziennika „The Oregonian” – o pozwolenie na wysłanie do sklepów w Portland funkcjonariuszy policji po służbie, którzy mieliby prawo aresztować złodziei sklepowych. Popularna sieć sklepów wielobranżowych Wawa zaś na stałe zamyka niektóre placówki w Filadelfii i skracza godziny pracy w tych podmiejskich z powodu przestępczości. A według Stowarzyszenia Handlowców Kalifornii na każdy duży sklep, który zamyka swoje drzwi, zwijają się trzy male. Nie stać ich na zatrudnienie dodatkowej ochrony ani nie są w stanie wyrównać strat. W konsekwencji w niektórych regionach dużych miast może w przyszłości nie być żadnej infrastruktury handlowej. Apple po trzech strzelaninach z rzędu zamknął na początku marca swój sklep w centrum Charlotte w Karolinie Północnej.

Otworzy go ponownie – w spokojniejszej i bardziej zamożnej dzielnicy.

## POSTĘPOWA AGENDA

Liberalne amerykańskie media, jak „The New York Times”, zarzucają sieciom handlowym, że usiłują wywołać panikę, że rzekoma fala przestępczości to histeria, a wzrost kradzieży to przejściowe zjawisko wynikające z pandemii, recesji i inflacji. Może i liczba kradzieży wzrosła z roku na rok o 26,5 proc., za to współczynnik morderstw w dużych miastach zmalał o 5 proc. Republikańscy politycy z kolei zarzucają demokratom, że ich agenda sprawiedliwości społecznej poszła za daleko. Ich zdaniem głównej przyczyny wzrostu przestępczości należy szukać w tzw. efekcie z Minneapolis, czyli fali protestów skierowanych przeciwko policji, które przetoczyły się przez kraj zeszłego lata po zabiciu George’a Floyda, agitacji na rzecz „odebrania funduszy policji” oraz działalności gorliwych, postępowych prokuratorów. Wskazują na Waszyngton czy San Francisco, ich zdaniem upadłe miasta, pełne narkomanów, bezdomnych i wszelkiego rodzaju przestępczej działalności, za którą rzadko kto jest karany.

Fala przestępczości, której według „The New York Times” nie ma, jest jednak mocno odczuwana przez obywateli. Demokratyczna burmistrz Chicago Lori Lightfoot przegrała w lutym wyścig o reelekcję z prokurator okręgową Kimberly Foxx, tzw. prokurator postępową (progressive prosecutor), która ściganie

REKLAMA



**Radio 106.2  
Warszawa**  
*dobrze słuchać*

**Transmisje liturgii Triduum  
Paschalnego**

**Msza Krzyżma świętego  
Wielki Czwartek, godz. 10.00**

**Msza Wieczerzy Pańskiej  
Wielki Czwartek, godz. 18.00**

**Liturgia Męki Pańskiej  
Wielki Piątek, godz. 18.00**

**Wigilia Paschalna  
Wielka Sobota, godz. 20.00**

65/0239/F





przestępców uznala za drugorzędne. Skupiała się zamiast tego na wyeliminowaniu niesprawiedliwości społecznych, klasowych, rasowych i seksualnych w sprawach karnych. W konsekwencji przestępczość znacznie wzrosła.

W ub.r. mieszkańcy San Francisco odwołali prokuratora okręgowego Chesę Boudina, którego rodzice należeli w latach 70. i 80. do marksistowskiej organizacji terrorystycznej The Weatherman. Boudin miał według Heritage Foundation bardzo osobliwe pojęcie sprawiedliwości. A polegało ono na systematycznym nieściganiu niektórych przestępstw, jak przestępstwa narkotykowe czy przeciwko mieniu, by skończyć z „niesprawiedliwym i rasistowskim systemem masowego więzienia ludzi”. 55 proc. wyborców w San Francisco najwyraźniej wołało tradycyjne podejście od przestępczości.

## POLITYCZNY KLINCZ

Pozostaje jednak – według Heritage Foundation – jeszcze 50 do 60 prokuratorów uważanych za część ruchu na rzecz reformy systemu sprawiedliwości. Doprowadziło to do ostrych napięć w przypadkach, gdy władze stanu są republikańskie. W 2019 r. kontrolowany przez republikańców parlament Pensylwanii uchwalił ustawę, która odebrała liberalnemu prokuratorowi Filadelfii Larry’emu Krasnerowi prawo do ścigania niektórych przestępstw dotyczących posiadania broni. Będą one teraz

**Kradzieże sklepowe generują w USA ponad 100 mld dol. strat rocznie. Niektóre duże sieci handlowe, by ograniczyć straty, zaczęły zamykać towary na klucz, inne wycofywać się z trapiących przestępczością miast**

ścigane przez prokuraturę stanową. W latach 2021–2022 parlamenty stanów Iowa, Tennessee i Utah również przegłosowały ustawy ograniczające kompetencje lokalnych prokuratorów lub ułatwiające ich usunięcie z urzędu. Floryda, Georgia, Teksas i Missouri zaś uchwaliły przepisy uniemożliwiające lokalnym jurysdykcjom zmniejszanie budżetów policyjnych. W Missouri stanowa Izba Reprezentantów zatwierdziła ustawę, która nakazuje przeniesienie uprawnień do ścigania przestępstw z użyciem przemocy z wybieralnych lokalnych prokuratorów na specjalnego prokuratora wyznaczonego przez gubernatora, jeśli wskaźnik

przestępczości w danym hrabstwie przekroczy określony poziom. Ta sama ustawa pozwala władzom stanowym kontrolować departament policji rządzonego przez demokratów Saint Louis. Ponadto amerykański Senat wykorzystał swoje prerogatywy, by zablokować ustawę uchwaloną przez radę miasta Waszyngton, której celem była liberalizacja kodeksu karnego. O dziwo, do republikanów w Senacie dołączyło 33 demokratów. Tym samym po raz pierwszy od 30 lat Kongres unieważnił prawo uchwalone przez władze miejskie stolicy.

Polityczny klincz, który przeciwstawia demokratów i republikanów odnośnie do zwalczania przestępczości, będzie zapewne trwał dalej. W Missisipi stanowy parlament zdominowany przez Partię Republikańską właśnie szykuje się do przejęcia kontroli nad policją i sądami w Jackson, stolicy stanu zamieszkałej głównie przez Afroamerykanów.

# Trzy debaty o cyfrowym świecie

- CYBERBEZPIECZEŃSTWO TO ZADANIE KAŻDEGO UŻYTKOWNIKA SIECI
- DEZINFORMACJA, FAKE NEWSY I KRADZIEŻ DANYCH TO ELEMENT CYFROWEJ WOJNY
- DIGITALIZACJA TO WYZWANIE CAŁEJ GOSPODARKI
- TRZEBA WYKORZYSTAĆ POZYTYWNE SKUTKI TECHNOLOGICZNEJ ZMIANY W CZASIE PANDEMII
- CYFROWE ZNACZY ZIELONE

RELACJE I ZAPISY WIDEO Z DEBAT DOSTĘPNE SĄ NA PORTALU **wGOSPODARCE.PL**



PARTNERZY:





# W sieci jak w samochodzie – zgodnie z przepisami i z zapiętymi pasami



*Pierwsza z trzech debat Cyfrowego Forum wGospodarce.pl była poświęcona cyberbezpieczeństwu. Atak Rosji na Ukrainę w lutym ub.r. udowodnił, że wojna rozgrywana w wirtualnym świecie, wojna opinii, dezinformacji, fake newsów jest faktem. Wielokrotnie przekonaliśmy się, że od bezpieczeństwa w sieci zależy nie tylko nasze bezpieczeństwo i niezagrożone działanie firm i instytucji, lecz także bezpieczeństwo państwa. Dziś nikt już nie kwestionuje znaczenia cyberbezpieczeństwa – staje się ono tak samo ważne jak bezpieczeństwo finansowe, energetyczne czy militarne*

**D**o sieci dostęp mają jednak każdy z nas, zatem warto zadać pytanie: czy wszyscy mamy świadomość znaczenia naszych działań w sieci? Czy i dlaczego wciąż bagatelizujemy za-

grożenie cyfrowe? Czy możemy czuć się bezpiecznie w cyfrowym świecie? Czy regulacje nadążają za cyfrową rewolucją? Jak z problemem cyberbezpieczeństwa radzą sobie różne podmioty na rynku – te

większe i te mniejsze? W jaki sposób dokonywać skutecznego transferu dobrych praktyk w obszarze cyberbezpieczeństwa z dużych firm do małych i na cały rynek? Na te pytania odpowiadali minister Janusz Cieszyński, sekretarz stanu ds. cyfryzacji, minister Michał Wiśniewski, wiceminister obrony narodowej, płk Mariusz Chmielewski, zastępca dowódcy Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni, Adam Marczyński, dyrektor ds. cyberbezpieczeństwa i innowacji NASK, oraz Antares Gryczan, prezes zarządu PFR Operacje, dyrektor ds. informacji Grupy PFR.

Oczywiście tematem obecnym niemal w każdym pytaniu, w każdej odpowiedzi była tocząca się za naszą wschodnią granicą wojna. Czy atak Rosji na Ukrainę zmienił w zasadniczy sposób kwestie dotyczące regulacji zwłaszcza w obszarze cyfrowego bezpieczeństwa? Czy wojna i wspomniane przepisy mogą zatem wyhamować spontaniczny rozwój innowacji cyfrowych?

– Wojna okazała się testem naszej dojrzałości, jeśli chodzi o szybkość podejmowania strategicznych decyzji. W mojej ocenie nawet przyspieszyła proces cyfryzacji w niektórych obszarach. Pokazała, że jeżeli państwo nie jest cyfrowe, to ma znacznie więcej punktów podatnych na uderzenie, co oznacza drugoczący dla funkcjonowania tego państwa efekt – mówił minister Cieszyński. – Polska znalazła się w niełatwym położeniu. Raporty na temat bezpieczeństwa praktycznie zrównują Polskę i Ukrainę, jeśli chodzi o potencjalne zagrożenie cyberatakami. To dziś szczególnie wrażliwe zagadnienie, ponieważ mamy w br. wybory parlamentarne, a to gorący czas dla adwersarzy z Rosji, którzy chcieliby na nie wpływać. To też spore wyzwanie dla nas, osób zajmujących się cyfrowym bezpieczeństwem państwa. Musimy na bezpieczeństwo informacyjne patrzeć w sposób interdyscyplinarny, budować zdolności defensywne i ofensywne. Pol-

ska to hub, wokół którego jest zogniskowanych wiele elementów kluczowych dla funkcjonowania Ukrainy. Skoro praktyka pokazała Rosjanom, że uderzenia na Ukrainie mają ograniczoną siłę rażenia, to jest naturalne, że nasiliły się działania, których celem będzie wywołanie napięć i podziałów społecznych wśród obywateli Polski, najbliższego sojusznika Ukrainy – przestrzegali ministrowie Cieszyński.

## CYFROWE WOJSKO

A kwestia przygotowania odpowiednich struktur MON do działań w wirtualnym świecie? Czy wojsko, MON stały się instytucjami zdigitalizowanymi? – wyjaśniał minister Michał Wiśniewski.

– Nie tak dawno, bo w 2016 r. odbył się w Warszawie szczyt NATO i została określona piąta nowa domena prowadzenia wojny, czyli cyberprzestrzeń, obok lądu, powietrza, morza i kosmosu. Tak mamy już nową cyberdomenę. I pamiętam pewien klimat niedowierzania, uśmiechy, że to jest pieśń przyszłości. Aż nagle nadszedł luty ub.r., mamy wojnę za naszymi granicami i zmianę realnego zagrożenia w cyberprzestrzeni. Wojsko bez łączności, informatyki, informacji nie funkcjonuje i to pokazuje nam, jak dzisiaj jest prowadzona wojna u naszych sąsiadów – mówił wiceminister obrony narodowej. – Wiele zmieniła ustawa o obronie ojczyzny, a Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni zostało przeformowane w Dowództwo Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni, które skupia wszystkie działania w jednym miejscu. Każdego dnia widzimy, jak bardzo reżim rosyjski gra na emocjach choćby przez dezinformację, odnotowujemy ataki cyfrowe, próby destabilizacji świata cyfrowego. Zobaczmy też, jak rząd ukraiński stara się zadbać w tej sytuacji o obywateli, którzy nie mogą wyjść z domu, muszą ukrywać się w schronach – przenosi się całą administrację, usługi publiczne do świata cyfrowego. Zachwilę, jak obserwuję, Ukraina będzie na poziomie Estonii w zdigitalizowaniu urzędów.

Jak zatem powinniśmy korzystać z narzędzi, sieci i dostępnego oprogramowania, by mimo tych zagrożeń być bezpieczni? W czasie dyskusji usłyszeliśmy, że trwają prace nad uruchomieniem cyfrowego RCB.

– Nie o to chodzi, by zwykłym obywatelom przekazywać informacje na temat pojawiających się zagrożeń w sposób surowy. Zakres komunikacji musi być klarowny i jeżeli jest rekomendacja powołanych do tego instytucji, żeby coś zrobić, to świadomy obywatel powinien wiedzieć, jak działać, nie panikować – wyjaśniał płk Mariusz Chmielewski. – Czy wojna na Ukrainie zmieniła strukturę incydentów w sieci? Oczywiście! Zmieniło się postrzeganie ataków DDoS, ale teraz zmiana polega na ukrywaniu prawdziwych intencji idących za atakiem. Ataki w pierwszych dniach wojny miały sparaliżować cały system finansowy i to miało efekty psychologiczne, dlatego technologiczni hegemoni tak szybko zadziałali i wsparli Ukrainę. Kolejnym aspektem są działania oprogramowania typu wiper, które deaktualizują całe systemy. Proszę zauważyć, co się działo też z ransomware’em! W Polsce nie było tego wiele, ale były kraje, które się nie obroniły. Jeśli 65 proc. firm w Europie padło ofiarą ataku ransomware, a połowa z nich zapłaciła okup i jeśli wiemy, że były to duże koncerny przemysłowe, które mają ogromny wpływ technologiczny na wiele aspektów naszych systemów infrastruktury krytycznej, to nagle czerwone światło się świeci. Mamy to szczęście, że od wielu lat budowaliśmy struktury informatyczne, a podstawą naszego działania jest suwerenność technologiczna.

## CYFROWA TOŻSAMOŚĆ

Znaczenie niezależności technologicznej i samodzielności podkreślał też Adam Marczyński z NASK, akcentując rolę i wagę cyfrowej tożsamości i naszych danych.

– Tożsamość cyfrowa z czasem staje się głównym obiektem ataku – dziś nikt nie uderza w banki, nie przełamuje się przez firewalle, tylko kradnie profile ludzi! Ciężar, który spoczywa na użytkowniku, przesuwany jest na ciężar ochrony swojej tożsamości. I tutaj jest m.in. pole do tego, żeby instytucje wspierały obywatela w ochronie tożsamości cyfrowej – musimy wzmacniać według mnie świadomość i docierać z informacjami o zagrożeniach, bo zmiany technologiczne powodują, że stajemy się bardzo wrażliwi na wszelkiego rodzaju

ataki cybernetyczne – mówił dyrektor Marczyński. – Dziś platformy streamingowe próbują zagospodarować nasz czas wolny, a ja proponuję, byśmy nie zapominali o cyberhigienie i w wolnym czasie zajrzeli na strony z informacjami o bezpieczeństwie, poczytali komunikaty, od których może zależeć, czy zostaniemy okradzeni, czy nie.

Zatem kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa mają jasne, zrozumiałe komunikaty, dostęp do informacji i edukacja. Czy nowe pokolenie, wchodzące właśnie na rynek pracy, to ludzie, od których starsi będą się uczyć bezpieczeństwa?

– Niestety, mam dość smutne doświadczenia w tej dziedzinie – mówił Antares Gryczan, reprezentujący PFR. – Nowi, młodzi pracownicy bardzo często w cyberhigienie są daleko, daleko w tyle za doświadczonymi, starszymi kolegami i koleżankami, używając bezrefleksyjnie wielu narzędzi dostarczanych w sieci. Zatem edukacja jest wyzwaniem. Jako instytucja prorozwojowa uważamy też, że suwerenność technologiczna w starannie dobranych obszarach jest bardzo istotna. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że bez inwestycji w twardą infrastrukturę – sieci szkieletowe, przyłącza, centra danych – zostaniemy w tyle, bo nawet sztuczna inteligencja potrzebuje danych do uczenia się, pochodzących właśnie z chmury.

## ZAPNIJCIE PASY

W czasie debaty kilkakrotnie przywołano też ciekawą motoryzacyjną analogię związaną właśnie z bezpieczeństwem. Każdy praktycznie może prowadzić samochód, ale z jakiegoś powodu wymagamy, by najpierw poznał przepisy, nauczył się zasad bezpieczeństwa. Dopiero wtedy może otrzymać prawo jazdy. A i mając odpowiednią wiedzę, gdy wsiadamy do samochodu, zapinamy pasy bezpieczeństwa i stosujemy się do przepisów. Czy w sieci możemy pozwolić sobie na jazdę bez pasów? Czy nasze urządzenia umożliwiają szybką, nieograniczoną błędnymi zasadami jazdę? Czy nasz samochód może jechać szybciej – pewnie tak, ale jest to po prostu niebezpieczne. Dla nas i innych użytkowników drogi. I sieci.

**(mac)**



# Do informacji z internetu trzeba mieć zdrowie

**J**ak podkreślił przedstawiciel NASK, do budowania cyfrowej odporności jest przede wszystkim potrzebna edukacja użytkowników internetu, ponieważ to oni, nie technologiczne zabezpieczenia, są najczęstszym źródłem naruszeń systemów, a także ofiarami i niechcący współautorami szerzenia się kampanii dezinformacyjnych. Zaznaczył też, że to jeszcze nie czas, by spoczywać na laurach.

– Kluczowe wyzwanie, które rysuje się w najbliższej przyszłości, dotyczy budowy efektywnych mechanizmów wymiany informacji na poziomie międzynarodowym. Dzisiaj moim zdaniem to funkcjonuje trochę w ujęciu wyspowym, co negatywnie wpływa na bezpieczeństwo w ujęciu procesowym. Czas wojny na Ukrainie unaoczniał, że te kanały błyskawicznej i bezpiecznej komunikacji musimy stale rozwijać, by adresować pojawiające się problemy i wyzwania. Wyzwanie to jest szczególnie istotne w kontekście podmiotów tworzących system infrastruktury krytycznej. Czekają nas bardzo mocny wysiłek związany z przygotowaniem się do standardów unijnych definiowanych m.in. w dyrektywie NIS2 i DORA – powiedział Kamil Mroczyński, członek zarządu w NASK S.A.

Internet to już podstawowe medium, z którego ludzie czerpią wiedzę o świecie. Dawno zdetronizował gazety, a lata temu już zdetronizował nawet w Polsce pod tym względem telewizję. Kiedy wszyscy są przynajmniej przez kilka godzin dziennie podłączeni, łatwo do wszystkich dotrzeć z fałszywą informacją, manipulacją i kłamstwami. Tym bardziej staje się to wyzwaniem nie tylko w czasie wojny z Rosją, lecz także roku wyborczego w Polsce. Jak chronić się przed fake newsami i propagandą rosyjską w polskim internecie?

– Dezinformacja to szerokie spektrum, które tak naprawdę w jakiś spo-

*Druga z trzech debat  
Cyfrowego Forum  
wGospodarce.pl na  
temat digitalizacji rynku  
cyfrowego, cyfrowych  
wyzwań i bezpieczeństwa  
była poświęcona  
zjawiskom, w których  
wszyscy jako konsumenci  
i klienci uczestniczymy.  
To dlatego, że w ciągu  
ostatnich lat miała  
miejsce duża cyfrowa  
zmiana w polskim  
sektorze usług oraz  
nowych technologii  
w bankowości,  
administracji i ochronie  
zdrowia*

sób można wypalić jedynie edukacją o podstaw. Uzupełnianą komponentami, które będą wzmacniały nasze działanie w zwalczaniu dezinformacji, czyli nawyk czytania ze zrozumieniem i krytycznego myślenia. To jest taka podstawa podstaw – powiedział Mateusz Mrozek, kierownik Działu Przeciwdziałania Dezinformacji NASK. – I ktoś by powiedział, że to niby mało, ale to tak naprawdę odfiltrowuje zasadniczą większość tych szkodliwych treści – dodał.

Zdrowie jest podobno najważniejsze i do internetu też trzeba je mieć. Tu

mamy kolosalny postęp, jeśli chodzi o Polskę. Ostatnio cyfryzacja w służbie zdrowia nastąpiła niemal skokowo.

– Telemedycyna to narzędzia, urządzenia, platformy, które spowodowały, że pacjent zaczął bardziej kontrolować swój stan zdrowia. Oczywiście jest to jeden z głównych obszarów naszych działań, priorytetów, które chcemy jeszcze rozszerzyć – ocenił Piotr Węclawik, dyrektor Departamentu Innowacji Ministerstwa Zdrowia.

To, że cyfryzacja w służbie zdrowia nastąpiła skokowo, nie ulega wątpliwości. Ale dlaczego nadal między placówkami medycznymi, także prywatnymi, trzeba fizycznie zanieść „płytkę” z wynikami badania? Przedstawiciel resortu zdrowia stwierdza jasno: prawo nie jest tu przeszkodą i zostało w tej kwestii znowlizowane.

– My jako Ministerstwo Zdrowia chcemy uświadomić pacjentów, że mogą wymagać cyfryzacji od podmiotów leczniczych. Pamiętajmy, że obszar zdrowia jest bardzo rozczłonkowany i duży. Mamy setki tysięcy podmiotów. Problem wymiany danych o pacjentach między placówkami nadal jest aktualny, ale nie dotyczy to wymiany w ramach jednego podmiotu, bo tutaj jest bardzo duży postęp. Wyzwaniem jest to, żeby podmiot leczniczy np. z Bydgoszczy widział to, co podmiot z Warszawy. Legislacyjnie i organizacyjnie podmioty są gotowe. Teraz faktycznie tylko rozszerzamy katalogi dokumentów, które powinny, a raczej muszą być w wersji elektronicznej. Tego pacjent musi wymagać od podmiotu leczniczego – dodał.

Cyfryzacja służby zdrowia to nie tylko roboty używane w podmiotach leczniczych, lecz także sztuczna inteligencja. Pytanie, czy podmioty medyczne już nabyły takie umiejętności techniczne, by z tych nowych narzędzi korzystać choćby dla przyspieszenia i bardziej dokładnego diagnozowania, zwiększenia przepustowości i zmniejszenia kolejek



do specjalistów. Jak wskazał przedstawiciel resortu zdrowia – zapewne nie.

Najsłabszym ogniwem w cyberbezpieczeństwie już od dekad jest sam użytkownik końcowy. To na niego jest ostatnio nakierowanych coraz więcej fałszywych kampanii internetowych, jak „Daniel Obajtek dzieli się bogactwem”, „KGHM otwiera zapisy na nową pewną inwestycję” oraz wiele innych. W tym sensie taki fake news jest narzędziem do tego, by ukraść nam nasze pieniądze, a największym wyzwaniem dla banków jest to, by to sami klienci nie wpuścili złodziei do cyfrowego banku.

– W przypadku fake newsów zgadzam się, że trzeba uczyć ich skutecznego rozpoznawania – nawet metodą prób i błędów, a nie walczyć z nimi zakazami, jednak w bankowości na błędy nie ma miejsca – nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nasz klient dał się nabrać. Musimy go nauczyć, by był świadom i mimo wszystko unikał kontaktu z podejrzanymi treściami w internecie. Mimo pokusy i naganiaczy zapraszających np. do świata kryptowalut – powiedział Radosław Janusz, dyrektor Biura Rozwoju Usług Dodanych i E-commerce w PKO Banku Polskim.

Ostatnie lata to duże i ważne wzmocnienie technologiczne polskich szkół. Laptopy dla uczniów czy doposażenie szkół w nowoczesne pracownie cyfrowe w programie Laboratoria Przyszłości, wartym ponad 1 mld zł, dzięki czemu praktycznie każda placówka zyskała nowoczesny sprzęt, to w ocenie przedstawiciela MEiN emanacja tego, w jak przedsiębiorczy sposób państwo się zachowało.

– Program odpowiedział na te potrzeby, które wielokrotnie powtarzały się w szkołach. W moim przekonaniu taka rewolucja na tak wielką skalę dokonała się z programem Laboratoria Przyszłości. Dlatego że teraz symbolem tej rewolucji jest drukarka 3D, która jest absolutnie wytrychem do kreatywności i daje wszędzie, nawet w najmniejszych miejscowościach, możliwość ekspresji twórczej młodych ludzi – powiedział Mateusz Rafał, dyrektor Centrum Transformacji Cyfrowej Ministerstwa Edukacji i Nauki. – Ale ta cyfryzacja zostanie z nami nie tylko przez programy sprzętowe, takie jak program Laboratoria Przyszłości, zostanie z nami na dłużej przez fakt, że działania cyfrowe, podjęte przez ministra Czarnka i mi-

nister Orlowską, są duże i wymagają działań holistycznych. W tym celu powstaje polityka cyfryzacji edukacji i jako strategiczny dokument zachowa ten dorobek – dodał.

Przedstawicielka Poczty Polskiej podkreślała z kolei, że usługa e-doręczeń rewolucjonizuje dotychczasowy system przez ucyfrowienie, a jednocześnie jest zabezpieczona przed cyberatakami dzięki autoryzacji przekazywanego pisma przez Pocztę Polską. Ale to nie koniec planów przedsiębiorstwa.

– Bardzo szeroko rozwijamy nasze systemy wspierające inwestycje logistyczne, do zarządzania przesyłkami kurierskimi czy przesyłkami logistycznymi. Jest to rynek, który dynamicznie się rozwija, dlatego chcemy tutaj zapewnić naszym klientom bezpieczne, nowoczesne technologie i rozwiązania, które nie będą narażały ich i ich biznesów na jakiekolwiek zagrożenia płynące z sieci – zapowiedziała Kinga Dobrzyń, zastępca dyrektora Biura Oferty Produktowej i Marketingu ds. Rozwoju Usług Tradycyjnych i Cyfrowych Poczty Polskiej.

**Maksymilian Wysocki**





# Cyfrowy pociąg pędzi coraz szybciej

*Pandemia COVID-19, lockdowny i zerwanie bezpośrednich kontaktów między firmami, instytucjami i administracją publiczną zmusiły uczestników życia gospodarczego do zbudowania cyfrowych kanałów komunikacji i zdigitalizowania usług. Cyfryzacja przyspieszyła. Jak rozwiązania cyfrowe pomagają pokonać wyzwania postpandemicznego kryzysu gospodarczego? To temat kolejnego, trzeciego panelu Cyfrowego Forum wGospodarce.pl 2023*

**W** czasie pandemii digitalizacja nabrała masowego charakteru również w obszarze administracji publicznej. – Jak utrzymać ten kierunek i tak wysokie tempo cyfrowej rewolucji? Czy narzędzia cyfrowe administracji publicznej – e-PIT, mObywatel, e-faktury – zostaną z nami na stałe, czy będą rozwijane? – pytał prowadzący debatę Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”.

## SZYBKO, ALE BEZPIECZNIE

W czasie pandemii okazało się, że świat cyfrowy jest światem przyjaznym i wygodnym. – Takie usługi jak e-PIT czy e-Urząd Skarbowy, a za chwilę elektroniczne faktury będą dalej rozwijane. Sądzę, że w bar-

dzo krótkim czasie 100 proc. kontaktów z urzędem będzie można załatwić zdalnie – mówiła Agnieszka Kister, pełnomocnik ministra finansów ds. informatyzacji. Zwróciła uwagę na konieczność szukania równowagi między tym, co wygodne, a tym, co bezpieczne i gwarantuje nam prywatność. – Zawsze jest to dylemat, czy proces, patrząc od strony biznesowej, może być tak zaprojektowany, żeby był szybki i prosty, czy jednak należy wprowadzić dodatkowe rozwiązania, które spowodują, że będzie on być może nieco dłużej trwał, ale gwarantował użytkownikom prywatność i bezpieczeństwo – dodała.

Marcin Gochnio, kierownik projektu e-Urząd Skarbowy, uhonorowanego w tym roku prestiżową nagrodą Digital Excellence Award w kategorii strate-

giczna transformacja, powiedział, że e-Urząd Skarbowy jest dla Krajowej Administracji Skarbowej tym, czym bankowość elektroniczna dla banku tradycyjnego – dla wielu klientów staje się jedynym kanałem załatwiania swoich spraw. Podkreślając wartość cyfryzacji, podał przykład automatycznego wydawania zaświadczeń, które do tej pory wymagały zazwyczaj dwóch wizyt w urzędzie. Dzisiaj trwa to przeważnie kilkanaście sekund, a doręczenie jest realizowane on-line. W ciągu roku resort finansów spodziewa się wydania ponad 0,5 mln zaświadczeń. Szacując ostrożnie koszty pracy urzędnika, czas klienta i koszty korespondencji na 100 zł, projekt generuje tylko na tej jednej usłudze ponad 50 mln zł oszczędności w skali roku. Jedna usługa bilansuje

zatem roczne koszty projektu. Pokazuje to, że tego typu projekty silnie wspierają wyjście z postpandemicznego kryzysu, poprawiając odporność infrastruktury państwa, jej elastyczność, stawiając w centrum uwagi klienta.

– Projekt e-Urząd Skarbowy jest ogromnym przedsięwzięciem transformacyjnym Krajowej Administracji Skarbowej, którego powodzenie zależy od dobrej współpracy, dostosowania legislacji i zastosowania skalowalnych i innowacyjnych technologii. Wszystkie te czynniki muszą zagrać razem – dodał Marcin Gochnio.

W dzisiejszym świecie nie ma już klasycznego podziału między on-line a off-line. – Te światy bardzo sprawnie się przenikają – mówił Tomasz Chróstny, prezes UOKiK. – Ten pociąg pędzi niebywale szybko i nieraz narzędzia, którymi dysponujemy, czy to na poziomie regulacyjnej, czy rozpoznawania algorytmów bądź analizy dużych zbiorów danych, nie odzwierciedlają tego tempa, w którym przekształca się biznes. Musimy analizować sprawniej praktyki, które coraz częściej przenikają zarówno świat realny, jak i cyfrowy – powiedział Tomasz Chróstny. Według niego jednym ze znakomitych futurologów okazał się Stanisław Lem, który wskazał, że każda nowa technologia z jednej strony przynosi korzyści, a z drugiej – nieznane dotychczas biedy. – Mechanizmy, np. zdobywania wiedzy czy komunikowania się, mogą bardzo sprawnie ewoluować pod wpływem sztucznej inteligencji, nie zawsze jednak zgodnie z naszym indywidualnym interesem czy z oczekiwaniami rynku i gospodarki – mówił.

– Czy wchodzić w nowoczesne technologie? Tak, nie ma innego wyjścia. Czy zachować ostrożność? Tak, daleko idącą. Będziemy poruszali się między tym, co jest efektywne, dobre i przyjazne dla odbiorcy końcowego, a tym, co jest bezpieczne – mówił prof. Konrad Raczkowski, prorektor UKSW, Centrum Gospodarki Światowej UKSW. Rewolucja cyfrowa jest często utożsamiana z ekologią. – Czy cyfryzacja jest w 100 proc. eko? Oczywiście nie jest, jeżeli absorbuje duże agregaty danych. Musi przecież skądś pozyskiwać energię i nawet jeżeli ta energia jest zielona, to i tak jest emisyjna – powiedział. Prof. Konrad Raczkowski podał przykłady już wprowadzonych regulacji w Wielkiej Bry-

tanii, które w imię ekologii ograniczają mobilność obywateli. Według niego cyfryzacja będzie nam pomagać, ale ważne, żeby na kanwie regulacji nie przybrała Orwellowskiej wizji świata.

Jeszcze kilka lat temu rozwiązania chmurowe należały do rzadkości, teraz stają się bardziej powszechne. Jak dokonuje się w Polsce proces osvajania biznesu z chmurą?

– Olbrzymia liczba Polaków korzysta mniej bądź bardziej świadomie z usług chmurowych. Jednak nasz poziom „uchmurowienia” w porównaniu z liderami, czyli krajami nordyckimi plus Holandią, jest według McKinseya 14 razy niższy. Ale tempo wzrostu jest w miarę podobne – mówił Łukasz Buczek, finansial services industry lead Google Cloud. Wyzwaniem są regulacje dotyczące sektora bankowego, zwłaszcza krajowe, które dają dość duże pole do interpretacji, co skutkuje tym, że banki mające ciekawe pomysły innowacyjne nawet na skalę regionalną nie mogą ich przetestować, wykorzystując technologie dostępne u dostawców chmurowych.

– Na szczęście to się zmienia, niedługo wejdą regulacje unijne, do których Polska też będzie się jakoś dostosowywać. Mam nadzieję, że dzięki temu współczynnik innowacyjności w polskiej gospodarce wzrośnie – mówił Łukasz Buczek.

## DZIELIĆ SIĘ DANYMI

Usługi cyfrowe stają się trwałym elementem naszej rzeczywistości. W jakim kierunku będzie zmierzała rewolucja cyfrowa i jakie są jej ograniczenia?

– Technologia ma ogromny potencjał, ale może też służyć do tego, żeby konsumować czas, nie tworząc żadnej wartości społecznie, ekonomicznie czy rynkowo dodanej. Musimy zadbać o to, by człowiek był w środku tych zmian, by nie był pozbawiony praw. Tempo zmian jest dzisiaj dyktowane przez biznes, który mimo wszystko jest społecznie niewystarczająco odpowiedzialny. Jeżeli nie będziemy monitorować biznesu, który co do zasady jest skoncentrowany na zysku i wcale nie jest skupiony na tym, żeby konkurencja się rozwijała, to możemy pójść w kierunku, który będzie rodził kolejne kryzysy. Istnieje ryzyko, że dane czy mechanizmy będą wykorzystane przeciwko

gospodarce i przeciwko konsumentom – mówił Tomasz Chróstny.

Według Agnieszki Kister trzy trendy w rewolucji cyfrowej są szczególnie ważne: pierwszy to bezpieczeństwo, drugi – automatyzacja i rozwiązania bazujące na sztucznej inteligencji. – Trzeci element to dzielenie się danymi, ich wtórne wykorzystanie. Jeżeli już zdecydowaliśmy się wydawać mnóstwo pieniędzy publicznych na wielkie systemy, skoro gromadzimy ogromne ilości danych, to powinniśmy zrobić z nimi wszystko, co się da dobrego. Nie powinniśmy ich wykorzystywać jedynie w ramach naszych ministerstw i urzędów. Możemy budować polską gospodarkę czy polską naukę również w taki sposób – mówiła Agnieszka Kister.

– Szybka cyfryzacja sprzyja tworzeniu monopolu, konsument jest wobec dużej korporacji słabszą stroną. Powinniśmy bardzo dbać o równe szanse na rynku. Rola państwa jest w obecnej sytuacji bardzo duża – mówił Marcin Gochnio.

Cyfryzacja tworzy przewagę konkurencyjną, ułatwia osiąganie sukcesów biznesowych. Czy podobne znaczenie ma wykorzystanie usług chmurowych?

– Czas stworzenia produktu, innowacji w obecnych czasach jest kluczowy. Chmura udostępnia prawie każdą usługę w ciągu kilku minut. Daje to niezwykłą przewagę konkurencyjną. Jeżeli spojrzymy na wielkie globalne firmy powstałe w ciągu ostatnich kilku lat, to okaże się, że wyrosły one na usługach chmurowych – mówił Łukasz Buczek. Podkreślił, że poziom „uchmurowienia” jest skorelowany z poziomem innowacji, z rozwojem danego rynku czy z PKB.

Według prof. Konrada Raczkowskiego technologia cyfrowa może być dla nas zbawienna, ale wcale nie musi tak być. – W jaką stronę pójdą regulacje, jaką mamy ideę i wizję rozwoju? Czy przyjmujemy wizję Unii Europejskiej? Czy idziemy w kierunku celów rozwojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych? Jeżeli tak, to też powinniśmy dobrać strategię własną – mówił. Według niego pozwoliłaby ona określić, jakiego systemu edukacji potrzebujemy, jaki system gospodarczy byłby optymalny. – Brakuje mi w Polsce, a także na poziomie Unii Europejskiej debaty systemowej na ten temat – stwierdził.

**Oprac. SK**





# Kto nie chce portu w Elblągu?

*Czy ktokolwiek jadący po równej, szerokiej drodze zastanawia się nad tym, czy to droga w zarządzie krajowym, czy samorządowym? Czy korzystając z nowego terminala lotniczego, czy odremontowanego dworca kolejowego, ktokolwiek zawraca sobie głowę, z jakiej puli – ogólnokrajowej czy może gminnej – pochodzą środki na ich odnowienie? Każdy cieszy się raczej z możliwości korzystania ze skutków tych inwestycji. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy ktoś nie chce wykonać projektu, do którego realizacji sam się zobowiązał. Ba... Nie chce nawet przyjąć prorozwojowej oferty – a to wszystko z czysto politycznych pobudek*

**W**e wrześniu ub.r. z wielką pompą (i słusznie!) otwarto kanał żeglugowy przez Mierzę Wiślaną. W zamyśle całej koncepcji Elbląg ma stać się czwartym portem morskim Rzeczypospolitej i zostać wpisany do ustawy o portach i przystaniach morskich obok Gdańska, Gdyni i Szczecina jako port o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej. Żeby koncepcja ta weszła w życie, są jeszcze potrzebne dwie rzeczy: poszerzenie i pogłębienie toru wodnego od przekopu do portu w Elblągu oraz sama modernizacja i rozbudowa portu, w szczególności budowa obrotnicy dla statków. I tu zaczynają się schody.

Niestety, w Polsce, w której opozycja określiła się mianem „totalnej”, wszystko jest robione totalnie na przekór planom obecnej władzy. Jeśli zatem rząd Zjednoczonej Prawicy postanowił podnieść rangę Elbląga i udrożyć drogę morską daleko w głąb Żuław, a tym samym utworzyć region Warmii i Mazur na nowy korytarz logistyczny, to nawet samorządowcy z tych terenów, jeśli akurat wywodzą się z partii opozycyjnych, muszą być przeciw. I tak PSL-owski prezydent Elbląga Witold Wróblewski nie wydaje się entuzjastą rozbudowy portu w mieście, którym zarządza. Do dokończenia zostały pogłębienie ok. 900-metrowej drogi wodnej oraz budowa obrotnicy dla

statków. Ciekawe, do przeprowadzenia tych inwestycji kandydat Witold Wróblewski zobowiązał się w swoim programie wyborczym w 2018 r. I słusznie, gdyż to w gestii Zarządu Portu Morskiego w Elblągu leży wykonanie tego zadania, ten zaś podlega prezydentowi miasta. Choć inwestycja będzie potężna i jasne jest, że jej realizacja przekroczy możliwości budżetowe 117-tys. miasta, to prezydent nie uważa, by dobrym pomysłem było przyjęcie rządowej propozycji dokapitalizowania spółki kwotą 100 mln zł (w pierwszym etapie) i wzięcie przez skarb państwa odpowiedzialności za dalsze inwestowanie w rozwój portu. Kwota ta jest równoważna samorządowym inwestycjom

w porcie przez ostatnich ponad 30 lat! A ile miasto zaplanowało na jego rozwój w latach kolejnych? Okrągłe 0 zł w wieloletniej perspektywie do 2035 r. Czy naprawdę nie ma znaczenia, ile nowych miejsc pracy i ile nowych możliwości otworzyłyby się przed Elblągiem po budowie portu morskiego?

## KAMIENI KUPA...

W ostatnich dniach teren obecnego portu w Elblągu pojechał obejrzeć wice-minister aktywów państwowych Andrzej Śliwka. To, co zastał na miejscu, wpawiło go w przynębie.

„Dla tirów parking, na dziurze dziura i kamieni kupa... Tak, niestety, wygląda elbląski miejski port zarządzany przez prezydenta z PSL. Od lat rzeczywisty obrót przeładunków spada, miasto nie przeznaczając żadnych pieniędzy na inwestycje – nawet remont podstawowej, dziś będącej w fatalnym stanie drogi – a jedyne, co widać, to postój dla ciężarówek... Ten nie tylko zastój, ale postępujący upadek trwa nieprzerwanie od lat, a władze Elbląga nie zrobiły z tym zupełnie nic. Ich brak wiary w realizację inwestycji przekopu Mierzei Wiślanej naraził Elbląg na zupełnie nieprzygotowanie do czerpania korzyści, jakie narodziły się dla całego regionu. A to wszystko mimo wyborczych obietnic pana Wróblewskiego. Ale to wszystko da się jeszcze nadrobić! Skoro miasto nie domaga, państwo weźmie odpowiedzialność i uczynimy z Portu Morskiego Elbląg czwarty port RP o strategicznym znaczeniu dla gospodarki. Wtedy port będzie wykorzystywał 100 proc. swoich zdolności, a nie jak obecnie 10 proc. Co więcej, z każdym rokiem te zdolności mogą być zwiększane! A co za tym pójdzie? Pieniądze na inwestycje, nowe miejsca pracy, napływ przedsiębiorców i dodatkowe dochody dla budżetu Elbląga. To wszystko jest możliwe, to wszystko jest dla dobra mieszkańców! Już czas zakończyć upór władz miasta!” – napisał Andrzej Śliwka po tym, co zobaczył w Elblągu.

Podejście miejskich władz do tematu portu naprawdę niełatwo zrozumieć, choć wiele osób komentuje je w ten sposób, że po prostu PSL i oczywiście PO nie chcą, by PiS miało kolejny – po realizacji przekopu – sukces w tamtym rejonie. Słowem – ma być dalej szaro, brudno i bied-

nie, bo inaczej ludzie zorientują się, że obecny rząd ma jednak siłę do realizacji planu podnoszenia pozycji Polski i inwestowania w narzędzia służące rozwojowi gospodarczemu. Tymczasem tak uwielbiany w szeregach koalicji PO-PSL imposybilizm, który stanowił podstawowy *modus operandi* jej rządów, całkowicie przeczy realizacji nowych inwestycji. Takie można jedynie obiecywać jak obecny prezydent Elbląga w kampanii wyborczej, ale potem zwali się brak możliwości dotrzymania obietnic na procedury, sprzeciw Unii Europejskiej czy... odwróci się kota ogonem.

## JAK PIES OGRODNIKA

Dzisiaj sprawa wygląda tak, że po dziewięciu miesiącach zwłoki, podczas których prezydent Elbląga prowadził pozorowane rozmowy z przedstawicielem rządu – wiceministrem Andrzejem Śliwką – pan prezydent odmawia podjęcia decyzji. Scedował tę sprawę na radę miasta (w której większość ma koalicja PSL-PO-Lewica), a ta zdecydowała się przeprowadzić w tej sprawie parsonadę wśród mieszkańców. Najciekawszy jest fakt, że nie wymyślono jeszcze pytania do tej „ankiety”, a miasto już forsuje narrację o kradzieży elbląskiego portu przez rząd i potrzebie przeciwstawienia się temu. Dodatkowo władze miasta uznały, że to projekt rządowy, więc to państwo powinno niejako obdarować samorząd pieniędzmi na inwestycje w porcie bez partycypowania w odpowiedzialności za dalsze losy spółki i całej inwestycji. Choć ostatnie lata zarządzania portem przez ww. koalicję przyniosły spółce blisko 1 mln zł skumulowanej straty.

Dziś miasto stoi na stanowisku, że samo nie robi nic i nie przyjmie rządowej oferty, byleby tylko nie dać Zjednoczonej Prawicy możliwości do realizacji kolejnej z wyborczych obietnic. Klasyczny pies ogrodnika.

Tymczasem wizyta Andrzeja Śliwki była ostatnim dzwonkiem dla władz miasta do tego, by „przejsz na jasną stronę mocy”, czyli podjąć konstruktywną współpracę z rządem przy realizacji projektu budowy czwartego portu morskiego RP. Minister Śliwka zapewniał, że celem rządu wcale nie jest walka o ojcostwo sukcesu w budowie portu. Rząd

chce zainwestować pieniądze z budżetu krajowego w stworzenie w Elblągu portu dającego impuls rozwojowy całemu regionowi ze szczególnym uwzględnieniem Elbląga i jego mieszkańców. Ta inwestycja to szansa na nowe miejsca pracy, ściąganie do miasta przedsiębiorców, rozwój infrastruktury i turystyki na całych Żuławach i w regionie nadzalewowym. Sprawa wydaje się zatem jasna i prosta – nic, tylko się dogadać, ale w roku wyborów do parlamentu nawet tak proste pozornie sprawy nie dają się łatwo rozwiązać.

## MOŻE PODPISY PRZEKONAJĄ...

25 marca w Elblągu rozpoczęła się akcja zbierania podpisów za ideą utworzenia czwartego portu morskiego w Elblągu. Zainicjowali ją mieszkańcy, którzy powołali do życia komitet społeczny na rzecz rozwoju Portu Morskiego Elbląg. Koordynatorem akcji został radny Prawa i Sprawiedliwości Marek Pruszek, który bardzo szybko pokazał jej pierwsze spektakularne wyniki.

– Dzisiaj rano na targowisku miejskim zbierałem z pomocą jednej osoby 80 podpisów w ciągu zaledwie pół godziny, więc elblążanie doskonale rozumieją, jak ważny jest rozwój portu i że jego przyszłość jest tylko we współpracy z rządem. Apeluję do mieszkańców, żeby nie dali się zmanipulować, że rząd chce zabrać ten port, bo to jest nieprawda, on nadal będzie elbląski – powiedział Marek Pruszek.

Podpisy będą zbierane do połowy kwietnia w różnych miejscach miasta, a także w siedzibie PiS przy ul. 1 Maja 2. Tam można złożyć podpis od poniedziałku do piątku w godz. 9–15 i 16–18, a w niedzielę w godz. 18–20.

Wygląda na to, że budowy portu morskiego w Elblągu chcą mieszkańcy miasta, chce rząd, chce – zapewne – większość Polaków, a prezydent miasta obiecywał to w swojej kampanii wyborczej. Trochę więc dziwne jest to, że jeszcze, by uświadomić władzom samorządowym skalę tych oczekiwań, trzeba zbierać podpisy. Ale patrząc na sprawczość obecnej ekipy rządzącej w Polsce i listę inwestycji, które zostały i są realizowane, mimo otwartej wrogości przeciwników politycznych, możemy być pewni, że czwarty port morski RP w Elblągu powstanie.

**(BZ)**



*Robert Kubica to jeden z najbardziej rozpoznawalnych Polaków na świecie. Starty w Formule 1, a zwłaszcza zwycięstwo w wyścigu Grand Prix i sposób jazdy krakowianina sprawiły, że zapewnił on sobie dożywotnią sławę w świecie motorsportu. Potworny wypadek, liczne zwroty akcji, wzloty i upadki – nic nie było ani nie jest w stanie złamać woli rywalizacji Roberta. Widać, że jest on napędzany prawdziwą pasją, której nic ani nikt nie może mu odebrać. W tym sezonie znów już zdążył pokazać, jak niesamowitym jest sportowcem*



## Robert Kubica od pierwszego startu w WEC pokazał swoją klasę

# Niezniszczalny znów na torze

**N**iezniszczalny – ten przymiotnik jak ułną pasuje do opisanego charakteru Roberta Kubicy i taki właśnie tytuł nadali biografii kierowcy jej autorzy – Cezary Gutowski i Aldona Marciniak, dziennikarze sportowi, specjalizujący się w motorsporcie.

6 lutego 2011 r. był dniem, w którym – jak się później okazało – Robert stracił szansę na tytuł mistrza świata w Formule 1. Zimowa przerwa w sezonie najbardziej prestiżowej serii wyścigowej świata dla ambitnego i kochającego się ścigać Polaka trwała już zbyt długo i dlatego postanowił zamienić na chwilę bolid na rajdówkę i wystartować w małym lokalnym rajdzie we Włoszech. Ta

decyzja była brzemienna w skutki. Prowadzona przez Kubicę – oczywiście na granicy praw fizyki – rajdowa skoda fabia pokonałaby pewnie kolejny wiraż, ewentualnie prześlizgując się po przydrożnej barierze ochronnej, gdyby nie kilkumetrowa w niej wyrwa. Auto wpadło przodem w sterzący element bariery, który wbił się do środka między fotele kierowcy i pilota i niestety roztrząsał prawy łokieć Roberta. W czasie wielogodzinnych operacji lekarze w szpitalu z włoskiego Pietra Ligure odbudowywali łokieć kierowcy z blisko 1 tys. kostnych kawałków! Następnie Robert rozpoczął żmudną i długą rehabilitację – walkę o odzyskanie pełnej sprawności.

Dziś pewnie mało kto pamięta, ale powrót Roberta nie tylko do Formuły 1, lecz także za kierownicę jakiegokolwiek wyścigowego wehikułu czy nawet zwykłego cywilnego auta wydawał się mało prawdopodobny. Spekulowano, że Kubicę czeka już tylko rola eksperta, doradcy, członka zespołu, który przed monitorem śledzi parametry wyścigowe samochodu. Mijały miesiące i zaczęły pojawiać się nieco odważniejsze prognozy, że może jednak Kubica będzie mógł podzielić się swoją wiedzą choćby w symulatorze. Paparazzi kilka razy zdołali zrobić zdjęcie Robertowi poruszającemu się o kulach. Tymczasem już we wrześniu 2012 r. Robert ponownie zaczął startować w rajdach, i to z tym samym pilotem – Jakubem Gerberem, z którym miał wypadek we Włoszech. Kubica nie tylko wracał do sprawności dzięki startom w mniejszych imprezach, lecz także seryjnie je wygrywał. Pokazał tym samym, że nawet pokiereszowany przez los i jeszcze nie w pełni sprawny nie jest zwykłym kierowcą, ale fenomenem, gigantycznym talentem. Robert zdradził, że jeszcze przed wypadkiem, kiedy był członkiem zespołu Renault, był już praktycznie dogadany co do swojego przejścia do ekipy Ferrari, dysponującej wówczas bolidem, który z powodzeniem umożliwiał rywali-

zając o mistrzostwo świata. Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że Kubica w barwach Ferrari mógłby z powodzeniem walczyć o tytuł mistrzowski. Znaczący i fani Formuły 1 zazwyczaj zachwycali się jazdą po torze Polaka, który potrafił jechać w sposób po prostu... nieludzki, jak maszyna!

„Sprawdzam czasy Kubicy na poszczególnych fragmentach toru i... to jest niesamowite. On jedzie w sposób powtarzalny na każdym okrążeniu do setnej części sekundy. Nikt tak nie jeździ, on jest niesamowity” – tego typu wpisy bardzo często pojawiały się podczas czatów prowadzonych w czasie wyścigów wśród największych fanów Formuły 1, którzy zwracali uwagę na detale umykające kibicom mniej obeznanym z niuansami tego sportu. Tymczasem Polak

muli 1 czy rajdówki? Czy większość nie zadowoliliby się rolą eksperta, telewizyjnego fachowca, sówicie opłacanego doradcy, odcinającego kupony ze swojej legendy stworzonej w tak krótkim czasie? A Robert? On po prostu jak zawsze miał swój plan i go spokojnie i z żelazną konsekwencją zrealizował. Nie tylko wrócił do Formuły 1, nie tylko brał udział w innych seriach wyścigowych, startując po powrocie do ścigania w zespołach ROKiT Williams Racing i Alfa Romeo Racing Orlen, lecz także zaangażował się w promocję motorsportu w Polsce. Związał się z PKN Orlen i uczestniczył w takich wydarzeniach jak choćby spektakularne Werva Street Racing, które pozwala obcoować również polskim kibicom z maszynami startującymi w najważniejszych wyścigach



od pierwszych dni w świecie Formuły 1 najbardziej imponował właśnie największym znawcom i profesjonalistom. Jego wskazówki i współpraca z mechanikami przygotowującymi bolid nie miały sobie równych. Jego profesjonalizm, polegający choćby na tym, by utrzymywać się w ścisłym reżimie diety, bo przecież każdy dodatkowy kilogram kierowcy to większa masa, którą musi transportować bolid, imponowały tak bardzo, że każda stajnia wyścigowa chciałaby mieć Roberta w swoich szeregach.

Wypadek na trasie Ronde di Andora, który tak wiele odebrał Robertowi, bo przydarzył się w najbardziej obiecującym momencie jego kariery w Formule 1, pokazał jeszcze jedną prawdę o kierowcy z Krakowa – że nie ma rzeczy, która by go złamała. Jak wielu ludzi na świecie znalazłoby siłę na walkę o powrót za kierownicę bolidu For-

świata. Dodatkowo trzeba pamiętać, że nim wrócił do F1, to startował w rajdach. W latach 2013–2016 startował w rajdowych mistrzostwach świata, a w debiutanckim sezonie za kierownicą citroëna DS3 RRC wraz z pilotem Maciejem Baranem został mistrzem świata klasy WRC 2.

W br. Robert startuje w trzecim dla siebie sezonie WEC, czyli w World Endurance Championship. 17 marca na torze w Sebring na Florydzie odbyły się pierwsze wyścigi cyklu, w których w klasie prototypów LMP2 zobaczyliśmy właśnie naszego najsłynniejszego kierowcę w barwach belgijskiej stajni WRT. Już pierwszy weekend WEC pokazał, kto w teamie WRT jest szefem, bowiem zasady tej rywalizacji, odbywającej się na długim dystansie, są takie, że liczy się wynik całego trzyosobowego zespołu i jego łączny czas. Jako pierwszy za

kierownicą bolidu LMP2 w swoim zespole zasiadł Robert, który już na starcie awansował z szóstej na drugą lokatę i utrzymał ją aż do zmiany. Partnerzy Polaka z teamu – Szwajcar Louis Delétraz i Portugalczyk Rui Andrade – nie zdołali jednak utrzymać się w ścisłej czołówce i ostatecznie WRT zajęło piąte miejsce. Następna eliminacja serii WEC odbędzie się 14 kwietnia na torze w portugalskim Portimão, a po pierwszej eliminacji w Sebring można już wyciągnąć kolejne wnioski co do formy Roberta.

Polak po prostu nie zwalnia tempa i cały czas podchodzi do swoich zadań z maksymalnym zaangażowaniem i profesjonalizmem. Jednocześnie jego wyniki i technika jazdy dowodzą, że w wieku 38 lat wciąż jest kierowcą wybijającym się zdecydowanie ponad średnią w swoim otoczeniu bez względu na serię czy kategorię wyścigów, w których akurat startuje. Motorsport ma jednak to do siebie, że przecież nie tylko rajdowic i jego umiejętności decydują o sukcesie bądź porażce, lecz także ogromne znaczenie ma sprzęt, który kierowca ma do dyspozycji, i jego przygotowanie.

Patrząc jednak na karierę Roberta Kubicy z szerszej perspektywy, możemy być dumni, że jest on naszym rodakiem. Choć nie został mistrzem świata Formuły 1 i nie odniósł tylu zwycięstw, co powinien, gdyby nie prześladowało go czasem pech, a decydowały jedynie talent i umiejętności, to jest on niespotykanym przykładem hartu ducha i profesjonalizmu. Jego współpraca z PKN Orlen także powinna nas napawać dumą, bo z pewnością na nazwisko Kubicy, podziwianego i szanowanego na całym świecie, miało i ma chrapkę wiele światowych marek i firm, chcących prezentować imponujące cechy Roberta w swojej strategii wizerunkowej. Jednak dzięki wsparciu marki Orlen na całym świecie utrwała się przekaz, że ten niezniszczalny, fenomenalny kierowca jest ambasadorem biało-czerwonej.

Dzięki wsparciu PKN Orlen i obecności w F1 Robert miał znów szansę na bycie uczestnikiem F1, kilkakrotnie pokazywał kunszt, wykręcając bardzo dobre czasy. ➤

PARTNER DODATKU







ICH SMAKI

RODZINA WINNYCH

## W skorupkach, na słodko i z chrzanem

**S**wiąteczny czas nieodmiennie kojarzy się z rodziną i ze spotkaniami przy stole. Z przywoływaniem zdarzeń i wspominaniem bliskich, którzy odeszli, zostawiając ślad w życiu następnych pokoleń.

W serialowej rodzinie Winnych, do której z sentymentem wraca niejeden telewidz, wielkanocny czas ściągął do domu w podwarszawskim Brwinowie coraz bardziej rozproszoną rodzinę. W kuchni pachniały potrawy, bez których trudno byłoby się w te dni obejść.

Królował barszcz biały, koniecznie z dodatkiem pasieczków chrupiącego boczku i talarków swojskiej kielbasy, wzmocniony ostrością posiekanego czosnku, znakomicie współgrającego z zakwasem, doprawiony śmietaną, solą, pieprzem i majerankiem oraz udekorowany na każdym talerzu połówką jajka.

Białym barszczem rozpoczynało się w Brwinowie świąteczne śniadanie. Zupą chrzanową – wielkanocny obiad. Nie mogło zabraknąć na stole smażonych jajek faszerowanych. Sprawnie przepołowione skorupki były wypełniane farшем z posiekanego, ugotowanego żółtka i białka, połączonego z zarumienioną na maśle cebulą, poszatkowanymi drobno:

koperkiem, szczypiorkiem i natką pietruszki. To wszystko wymieszane z surowym jajkiem i śmietaną, a na koniec doprawione solą i pieprzem, wypełniało skorupki, które od strony nadzienia były obtaczane bułką tartą, a następnie smażone na rozgrzonym maśle.

Wielkanocnym specjałem, który sprawdzał się również podczas pozaświątecznych rodzinnych wyjazdów, była kielbasa ze słoika. Zmielone mięso z łopatki wieprzowej oraz surowego boczku – doprawione czosnkiem, majerankiem, solą, pieprzem i ostrą papryką, oczywiście dokładnie wyrobione – wypełniało wyparzone słoiki, w których było jeszcze porządnie ugniatane. Po zakręceniu, słoje trafiały do szerokiego garnka, gdzie zalane do połowy wysokości pasteryzowały się we wrzącej wodzie przez dwie godziny. Po takiej obróbce ich zawartość mogła być przechowywana nawet przez trzy tygodnie.

Wśród słodkości królowała drożdżowa wielkanocna baba, obficie polana lukrem. Cytrusowy mazurek kusił masą powstałą ze zmiksowanych pomarańczy (w tym jednej ze skórki) oraz cytryn zagotowanych z cukrem. Swoich fanów miało też najprostsze z możliwych ciasto czekolad-

dowe. Co było potrzebne do jego zrobienia? Odpowiedź znajduje się w książce Albeny Grabowskiej i Magdaleny Chorębały „Stulecie Winnych. Notes kulinarny” (wyd. Zwierciadło). Stamtąd również pochodzi przepis, który znakomicie sprawdzi się i poza świątami, gdy pogoda ciągle przeplata zimę z latem. Bo – jak mówiła babcia Bronia – chrzan to najlepszy sposób na przeziębienia i grypy.

**Jolanta Gajda-Zadworna**

### Zupa chrzanowa

**Składniki:** 200 g wędzonego boczku, 6 jajek, 2 pory, 2 pietruszki, 2 ziemniaki, 2 cebule, pół selera, 2 l wody, 200 ml śmietany 36-proc., 4 łyżki tartego chrzanu, 4 ziarna czarnego pieprzu, 2 ziarna ziela angielskiego, 1 łyżeczka majeranku, 1 ząbek czosnku, 1 liść laurowy, sól, pieprz.

**Wykonanie:** Boczek pokrój w paseczki, wrzuc na rozgrzaną patelnię i smaż przez kilka minut, aż wytopi się część tłuszczu, a boczek stanie się chrupiący. Zdejmij go z patelni. Warzywa umyj, obierz, pokrój, przysmaż na tłuszczu, który został na patelni. Po kilku minutach przełóż warzywa do garnka, zalej wodą, dodaj majeranek, liść laurowy, ziele angielskie i pieprz. Gotuj ok. 40 min, aż warzywa zmiękną. Wyjmij ziele angielskie i liście laurowe, dodaj obrane i pokrojone w kostkę ziemniaki. Gotuj ok. 20 min, po czym zmiksuj zupę blenderem. Dodaj śmietanę i chrzan, zmiksuj, zagotuj i dopraw do smaku. Zupę podawaj z kawałkami boczku i ugotowanymi, przekrojonymi na pół jajkami.



Fot. Damian Horvat, Shutterstock





SŁODKO-SŁONY



WILCZYM OKIEM

# Jajko to cud

ANNA MONICKA

**I**nie chodzi tylko o kształt czy twardość skorupki, która jest na tyle odporna, że chroni pisklę, a jednocześnie na tyle delikatna, że mały ptaszek jest w stanie ją od środka przebić, żeby wyjść na zewnątrz.

O tym, że jest pokarmem doskonałym, wiedzieli nasi przodkowie, zanim nauczyli się chodzić. Podkradali jajka i je wypijali, wykorzystując w ten sposób wszystkie składniki odżywcze. My wiele z nich tracimy, zagniatając jaja z mąką na makaron, ciasto drożdżowe, smażąc jajecznicę, omlety czy gotując jaja na twardo.

Jeśli dziś zadajemy pytanie, co było pierwsze – jajo czy kura, odpowiedź może być tylko jedna: JAJO. Z jaj wykluwały się przecież dinozaury, a kury czy strusie to ich najbliżsi krewniacy. Potwierdzają to badania kolagenu, który jakimś cudem zachował się w liczącej prawie 70 mln lat kości udowej takiej bestii jak T. Rex, znalezionej w Montanie! Niektóre drapieżne teropody miały nawet pióra, nie wiadomo tylko, jakiego koloru. Dzięki badaniom molekularnym udowodniono także, że najbliższym krewniakiem misia pandy wcale nie są niedźwiedzie, tylko szopy, a kuzynami olbrzymich słoni są małeńkie góraliki, czyli gryzonie.

Nie powinno więc nikogo dziwić, że kuraki należą do zwierząt wykorzystywanych najwcześniej – jeszcze w czasach kamienia łupanego, jakieś 6 tys. lat p.n.e. na terenie dzisiejszych Chin, Tajlandii, Indii. Kiedy na naszych ziemiach pojawiły się pierwsze kury, Chińczycy zajmowali się już sztucznym wylęganiem.

Naukowcy piszą o jeszcze jednej ciekawostce – że owszem, jaja wykorzystywano, ale kur długo nie udało się udomowić. Jest bardzo prawdopodobne, że same wprosiły się do ludzkich siedzib, bo smakowało im proso uprawiane na przydomowych poletkach. Gierojem, który zbliżył się do człowieka, był najpewniej tajski kur bankiwa. Ptak był mniejszy, bardziej agresywny, znosił więcej jaj, ale ich zawartość ceniono nie mniej niż my teraz.

Jak zatem podawać jajko, żeby zachowało jak najwięcej witamin, mikroelementów i aminokwasów? Tak żeby białko się ścięło, a żółtko pozostało płynne. Można w skorupce, można w koszulce, czyli włożone na wrzącą, osoloną wodę z odrobiną octu lub soku z cytryny. Na święta można przygotować tak jajka przepiórek i podać na małych grzaneckach. 

Fot. Shutterstock

# Polskie sery

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

**W** pewnym zagranicznym portalu zaprezentowano ranking serów. Na 68. miejscu na 100 uplasował się oscypek. Na miejscu 53. redykolka. W najnowszym rankingu z lutego tego roku polskie sery są jeszcze wyżej. Redykolka jest na miejscu 45., gołka na 25., bundz, zajmujący najwyższe miejsce, na 11.

Często występują w wersji wędzonej, pochodzą z rejonów górskich i podgórskich naszego kraju. Wszystkie za wyjątkiem gołki, produkowanej z mleka krowiego, są robione z mleka owczego, z ewentualnym dodatkiem mleka krów górskiej rasy czerwone polskie.

Nie znaczy to, że inne rejony Polski nie mają serów godnych uwagi, że wspomnę tu chociażby pochodzący z nad Biebrzy ser koryciński. Przyczyn nieobecności ich w rankingu można upatrywać w kwestiach promocji.

Na świecie istnieją setki, a może tysiące rodzajów serów. Sery są obecne w niemal wszystkich kulturach, często bywając jednym z głównych składników diety. Co więcej, sery robi się od tysięcy lat – zakłada się, że mniej więcej od 10 tys., czyli od udomowienia owiec.

W jaki więc sposób polskie sery przy tak dużej konkurencji mogą zajmować tak wysokie miejsca?

Cofnijmy się jeden akapit wcześniej. O ile 10 tys. lat wstecz przyjmuje się jako orientacyjny moment, odkąd ludzie zaczęli produkować sery, o tyle niezaprzeczalnie najstarsze znaleziska świadczące o produkcji serów pochodzą z Polski. Bez wątplenia sery były produkowane na terenie Kujaw już 7,5 tys. lat temu – i nie są to przypuszczenia jak w przypadku orientacyjnego momentu powstania serowarstwa w ogóle, ale konkretne informacje potwierdzone archeologicznie.

Dlaczego w takim razie przy tak długich tradycjach serowarstwa i tak cenionych smakach Polska nie jest wymieniana jednym tchem wśród światowych potentatów produkcji sera? To zapewne kwestia umiejętności kreowania wizerunku. W rzeczywistości bowiem jesteśmy w światowej czołówce producentów serów. Wyprzedzają nas tylko Stany Zjednoczone, Niemcy, Francja, Włochy i nieznacznie Holandia.

Może więc, doceniając oczywiście smaki i walory serów z różnych stron świata, powinniśmy postawić na polskie sery – i w spożyciu, i w dziedzinie marketingu, tworząc obraz Polski jako światowej ojczyzny serów i serowarstwa. 



# Alleluja!

**C**zęsto z małymi dziećmi chodziłam na spacer na warszawską starówkę, mieszkaliśmy niedaleko i zawsze wstępowaliśmy do akademickiego kościoła św. Anny, z którym byłam związana jeszcze na studiach. Tam zaraz przy wejściu jest duży, przejmujący krucyfiks. Pewnego razu mój trzyletni synek, stojący pod krzyżem obok mnie, podniósł głowę i wpatrując się w Jezusa, zaczął głośno płakać. „Dlaczego płaczesz?” – zapytałam cicho. Odpowiedział: „Bo Jezus tak cierpi”. Od tej pory klękam pod tym krzyżem i staram się zobaczyć cierpiącego Jezusa z takiej perspektywy jak wówczas to małe dziecko. Za każdym razem trudno mi powstrzymać łzy. Dzisiaj córka i syn są już dorośli, ale na zawsze pozostali wierni temu cierpiącemu Jezusowi, zapamiętanemu z dzieciństwa. Jesteśmy tacy, jakie są nasze domy rodzinne.

W czasie Wielkiego Postu my, chrześcijanie, uczestniczymy w drodze krzyżowej, gorzkich żalach, śpiewamy, modlimy się i myślami wracamy do Ewangelii. Niektórzy zapewne mają przed oczami wstrząsający film „Pasja” Mela Gibsona. Staramy się być z Jezusem niewinnie skazanym, upokorzonym, zbitym, wyśmianym, szukamy analogii w naszym ludzkim życiu. Skąd wziąć siłę, by odnaleźć sens cierpienia? Zawsze wtedy powracam do Jana Pawła II, bo przecież on z człowieka silnego, pełnego radości, wielkiej pracy i wszechstronnego działania (był określany jako atleta Boży) stał się schorowanym, upadającym na oczach całego świata, z trudem mówiącym i poruszającym się, a mimo to nie zdezerterował, nie wycofał się, trwał do końca przytulony do krzyża w Wielki Piątek, tuż przed swoją śmiercią.

Dziś, gdy toczy się walka ze złem przybierającym różne postacie, nasz wielki rodak, miłujący Polskę i Polaków na wzór swojego mistrza Jezusa Chrystusa („do końca ich umiłowal”), wraca do nas ze zdwojoną siłą. „Jest tylko jeden sposób na powstrzymanie przemocy na świecie – szacunek dla osoby ludzkiej. Począwszy od najsłabszych, w łonie matki, tych, którzy sami nie mogą się bronić” (Jan Paweł II, encyklika „Vita”).

Gdy tuż obok nas toczy się okrutna, niepotrzebna wojna na Ukrainie, przerażeni ludzie często pytają: gdzie jest Bóg? Niech odpowiedzią będzie fragment z książki „Noc” Elie Wiesela, pisarza, więźnia obozów koncentracyjnych (m.in. Auschwitz) i laureata Pokojowej Nagrody Nobla: „Więźniowie zostają zaprowadzeni na plac, na którym wzniesiono trzy szubienice. Mają być świadkami powieszenia trzech skazanych. U dwóch znaleziono broń, trzecim jest chłopiec, którym się opiekował jeden ze skazanych. Chłopak mimo tortur nie zdradził swego opiekuna. Esemani (tym razem nie kat) zakładają skazańcom pętle, wybijają spod nóg oparcie. Dwaj dorośli umierają natych-



**Alina  
Czerniakowska**

miast, chłopiec kona w męczarniach ponad pół godziny. Więźniowie na to patrzą. Słyszę za sobą czyjeś westchnienie: »Gdzie jest Bóg?«. I w tym momencie wewnętrzny głos mi odpowiada: »Oto gdzie jest, wisi na tej szubienicy«. Gdy stajemy jako chrześcijanie w obliczu cierpienia, możemy powtórzyć za Jezusem: „Ojciec mój, jeśli to możliwe, niech Mnie ominie ten kielich. Wszakże nie jak Ja chcę, ale jak Ty niech się stanie!”.

Jan Paweł II mówi, że człowiek nigdy nie staje sam wobec tajemnicy cierpienia, staje z Chrystusem, który nadaje sens całemu życiu – chwilom radości i pokoju, a także chwilom cierpienia i utrapienia. „Ta tajemnica znajduje wyjaśnienie tylko w Jezusie Chrystusie. Tylko dzięki Niemu możemy odnaleźć wszystko, co ludzkie. Wielkość i godność człowieka polegają na tym, że jesteśmy dziećmi Bożymi i zostaliśmy powołani, by żyć w głębokim zjednoczeniu z Chrystusem. Ten udział w Jego życiu wiąże się z uczestnictwem w Jego cierpieniu. Najbardziej niewinny z ludzi, który wziął na siebie ciężar naszych win i grzechów”.

Papież Polak, który doświadczył wielu cierpień (zmachach na życie, operacje i inne ciężkie choroby), konkluduje swoje rozważania o cierpieniu ważną dla nas myślą: „Cierpienie trzeba przyjąć jako tajemnicę, której człowiek nie jest zdolny przeniknąć swoim rozumem. [...] Cierpienie innych jest przejmującą lekcją dla ludzi zdrowych. W oczach sprawiedliwego Boga uczestnicy cierpienia Chrystusa stają się godni Królestwa Bożego”.

Przeczytałam wiele książek Jana Pawła II, wcześniej profesora uniwersyteckiego Karola Wojtyły, i z tej poruszającej, głębokiej intelektualnie literatury nasuwa się jedna główna myśl – z Chrystusem wszystko ma sens, nawet cierpienie i śmierć. Bez Niego niczego nie można do końca wyjaśnić, bo według Jana Pawła II człowiek w swoim cierpieniu pozostaje nietykalną tajemnicą.

Ludzie ciągle zadają sobie to samo pytanie: po co jest cierpienie? Trzeba jednak pamiętać, że po Wielkim Piątku jest Wielka Noc, Chrystus prawdziwie zmartwychwstał! „Zwycięzca śmierci, piekła i szatana / wychodzi z grobu dnia trzeciego z rana / Alleluja!” – śpiewamy w świąteczny poranek na procesji rezurekcyjnej, której nie opuszczam od dzieciństwa. „O, wzniosła tajemnico tej świętej nocy! Nocy, w której przeżywamy na nowo to przedziwne wydarzenie zmartwychwstania! Gdyby Chrystus pozostał więźniem grobu, istnienie ludzkości i całego stworzenia niejako straciłoby swój sens. Lecz Ty, Chryste, naprawdę zmartwychwstałeś!” – mówił Jan Paweł II w homilii na wigilię paschalną w 2003 r. „Panie, do kogoś pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego” (J 6,68).

*Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką*



# Wielkanocnych

Z okazji Świąt

życzę, aby ten szczególny czas upłynął  
w spokoju, dostatku i ciepłe rodzinnego domu.  
Niech Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa,  
da siłę i odwagę do pokonywania trudności,  
a także pozwoli z nadzieją patrzeć  
w przyszłość.



dr Artur Kosicki  
Marszałek Województwa Podlaskiego



## Turlanie jaj

**C**o było pierwsze: jajo czy kura? – trudno orzec, ale jedno jest pewne: jaja są w kulturach świata ważnym symbolem. Chrześcijanie łączą je ze zmartwychwstaniem Jezusa, Żydzi serwują jaja na stypach, co oznacza koniec doczesnego żywota i przejście w stan istnienia wiecznego, muzułmanie wypisywali na jajkach nauki Mahometa, Egipcjanie malowali na nich podobizny władców, Chińczycy – kwiaty i ptaki, australijscy Aborygeni rzeźbili jaja strusie... – jednym zdaniem, bez jaj ani rusz. W polityce także, choć w innym, raczej nieświętym kontekście.

W polityce mamy jajcarzy, którzy podrzucają osobiście lub za pośrednictwem akolickich mediów swoje osobliwe pisanki. W tym przypadku nie żadnego *sacrum*. Niekiedy są to lewackie próby ośmieszenia pielgrzyma w bieli albo wręcz frontalne ataki na Kościół i wyznawców „do opilowania”, czego ostatnio doświadczyliśmy. Była lata temu dyskredytująca kampania przeciw „der polnische Papst”, jak nazywano w Niemczech papieża Jana Pawła II – za Odrą zdawano sobie sprawę, że polski papież walnie przyczynił się do rozbiórki berlińskiego muru, ale gdy już zrobił swoje, stał się dla deweloperów lewicowo-liberalnych idei zawalidrogą przy tworzeniu nowoczesnego społeczeństwa na ich modłę. Jeszcze podczas pontyfikatu JP2 był obiektem kabaretowych skeczów, w kioskach sprzedawano karykaturalne „widokówki” z wizerunkiem Karola Wojtyły z przerzutywami na oczach, pamiętam te niemieckie

kawały, jak to niby rozpoznawał kraje po smaku ziemi...

Aliści, choć Niemcy mają raczej luźne podejście do Kościoła, jednego nikt nie podważał: zmiany oblicza tej i tamtej ziemi, dokonanej przez polskiego papieża z przywołaniem Ducha Świętego. Na wikłanie Jana Pawła II w skandal seksualnego wykorzystywania dzieci nikt w Niemczech się nie zdobył, dopiero w... jego własnej ojczyźnie.

„Papież stał się obiektem politycznej rozgrywki” – zatytułowała swoje relacje znad Wisły telewizja publiczna ZDF, co należy zaznaczyć, formułowane w trybie przypuszczającym Konjunktiv II, że jakoby Jan Paweł II..., z wyszczególnieniem, skąd wyszły te obrazoburcze oskarżenia, i informacją o rządowej skardze przekazanej ambasadorowi USA na amerykańskiego nadawcę TVN.

Jest za oceanem tradycja zapoczątkowana 150 lat temu przez prezydenta Rutherforda Hayesa, nazywana The White House Easter Eggs Roll. Corocznie ze schodów Białego Domu turlają się jaja, znajdujące przez dzieci w ogrodzie tej rezydencji. I życzenia też są składane. Więc i ja mam jedno – życzę wszystkim większej przytomności, byśmy jajami dzielili się tylko przy wielkanocnym stole. W końcu Triduum Paschalne to weekend chwały na wysokości i nadziei.



**Piotr  
Cywiński**



PRZEZ ŚWIETLIK

## Zdrajcy wpływu



**Wiktor  
Świetlik**

**P**roblem z agenturami jest taki, że nie wystawiają często rachunków, nie zgłaszają PIT-37 do systemu e-PIT na stronie podatki.gov.pl, nie prowadzą naboru przez serwis LinkedIn. Dlatego dowiadujemy się o nich często po wielu latach. Co nie oznacza, że ich nie ma.

Kiedy – nie da się ukryć, że kilka już lat temu – byłem na studiach dziennikarskich, uczono nas o aferze „Der Spiegel” z 1962 r., bo w ogóle czasy były takie, że wszyscy byli zapatrzeni na to, co płynie z RFN. Otóż w 1962 r. tygodnik ten opublikował tajne plany wojskowe NATO, zarzucając sojusznici dezorganizację, nieprzygotowanie, przekonując niemieckiego czytelnika, że żadna Ameryka go nie obroni. Publikacja powstała – zupełnie przypadkowo oczywiście – niemal dokładnie w czasie kryzysu kubańskiego, czyli największego napięcia między ZSRS a USA, kiedy świat był o krok od wojny.

„Der Spiegel” uderzał szczególnie w ministra uzbrojenia, bawarskiego konserwatystę i antykomunistę Franza Josefa Straussa. Strauss zgłosił do prokuratury podejrzenie o zdradę stanu. Poparł go kończący wówczas kadencję kanclerz Adenauer. Warto dodać, że ten pierwszy wydawał się wówczas murem następcą tego drugiego. Prokuratura przeszukała redakcję i zatrzymała autora tekstu oraz kilka innych osób. Zrobił się z tego dym na cały świat i lewicowe media stanęły na wysokości zadania. Redakcję krótko później uwolniono od zarzutów. Kariera Straussa została pogrzebana, kanclerzem zamiast niego zo-

stał mdły i wygodniejszy dla Sowietów były nazista Ludwig Erhard, a sprawa przeszła do historii jako ważne studium przypadku z dziedziny wolności słowa, o którym uczono studentów jeszcze na Uniwersytecie Warszawskim w 1997 r.

Brytyjski publicysta i naukowiec Thomas Rid w książce „Wojna informacyjna” opisał dokładnie, jak wyglądał epilog do tej sprawy. Wyglądał on tak, że 15 lat później jeden z czechosłowackich generałów wywiadu wysypał się na temat całej operacji. Potem pojawiły się kolejne informacje, włącznie z doniesieniami Olega Gordiewskiego, że na cześć operacji, która doprowadziła do publikacji „Der Spiegel”, urządzano na Kremlu bankiety. Okazało się, że przeprowadzały ją wywiady trzech komunistycznych krajów, a Chruszczow rozdawał za nią medale i awanse. Oto krótka historia ikony wolności prasy.

Historię tę chciałbym zadedykować tym wszystkim, ze szczególnym uwzględnieniem jednego publicystycznego frustrata, którzy dziś uderzają w polską rację stanu, podważając sens pomocy Ukrainie i *de facto* swoimi publikacjami sprzyjają Rosji. Nawet jak nie stoi za tym rubel, lecz zwykła podłość i głupota, to warto pamiętać, że kiedyś jacyś Rosjanie znowu mogą coś przypadkowo ujawnić. Choćby to, gdzie rodziły się te narracje i jak działały wspierające je fabryki trolli. A więc, ciesząc się lajkami na Twitterze, warto też pamiętać, że zdrada się nie przedawnia. 

## Sam przeciw wszystkim

**M**ikołaj Kopernik. Najbardziej rozpoznawalny w świecie Polak. Certyfikat polskości wystawił mu sam Marcin Luter, nazywając naszego uczzonego pogardliwie „sarmackim astrologiem”. „Ów Kopernik, w swojej głupocie, chce zburzyć wszystkie zasady astronomii!” – grzmiał niemiecki reformator, oburzony wizją Ziemi wirującej we wszechświecie.

Geniusz nauki – stawiany na równi z Leonardem da Vinci, Isaakiem Newtonem czy Albertem Einsteinem – zawdzięczał swój sukces nie tylko wszechstronnemu wykształceniu, zadziwiającej intuicji i nadzwyczajnym zdolnościom. Lista jego profesji jest imponująca: doktor prawa, medyk, bakalarz, kartograf, ekonomista, reformator kalendarza juliańskiego, dyplomata, tłumacz, matematyk, filozof, historyk, poeta, koneser muzyki i malarstwa. Współczesnym absolwentom marketingu i zarządzania trudno pojąć to, że Kopernik – nie mając nawet stosownego licencjatu – skutecznie administrował 119 osadami, pisał traktaty o zagrożeniach



**Lech  
Makowiecki**

Rzeczypospolitej i naprawie finansów publicznych. A podczas najazdu Krzyżaków osobiście dowodził obroną zamków w Olsztynie i Melzaku! I tylko w nielicznych wolnych chwilach był tym astronomem, który wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię...

Mikołaj Kopernik miał dwie nierozłączne cechy uczzonego: upór w dążeniu do prawdy i odwagę w trwaniu przy niej wbrew wszystkim autorytetom tego świata. W dobie tzw. poprawności politycznej i owczego pędu już zwykły ostracyzm środowiska potrafi zmusić inteligentnych, zdawałoby się, ludzi do idiotycznych zachowań. Dotyczy to dziś wszystkich:

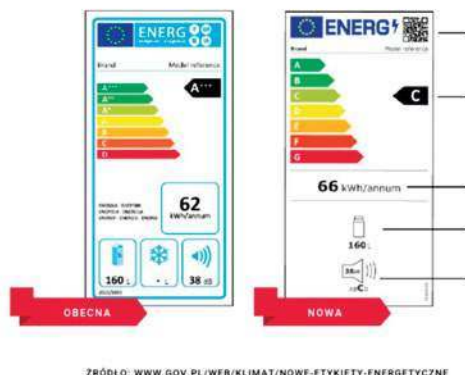
polityków, lekarzy, artystów, inżynierów, uczonych, nauczycieli akademickich... Zapewne prof. Jan Hartman (z tej samej co Kopernik Alma Mater) miałby bekę z żarliwej religijności astronoma.

PS „Zdaję sobie sprawę, że idee filozofa nie podlegają ocenie zwykłych ludzi, ponieważ jego celem jest dążenie we wszystkim do prawdy – w stopniu ludzkich możliwości wyznaczonych przez Boga” – Mikołaj Kopernik. 

# Czytaj etykiety! A rachunki będą mniejsze...

*Świat zmierza w stronę poszanowania energii. To mądry kierunek zmian, który od nas, konsumentów, wymaga coraz większej świadomości. Wojna i związane z nią zawirowania w dostępności i cenach źródeł energii pokazały, że warto być obeznanym z tematem. Dzięki naszemu zaangażowaniu i poszerzaniu wiedzy, a także dzięki rządowym programom osłonowym wyjdziemy z tej lekcji historii jeszcze silniejsi i mądrzejsi*

## JAK ROZPOZNAĆ ETYKIETĘ ZE ZMIENIONĄ SKALĄ?



kod QR umożliwia dostęp do dodatkowych informacji na temat danego modelu lodówki

**klasa efektywności energetycznej**

zgodnie z nową skalą, w poprzedniej skali A+++

**roczne zużycie energii**, obliczane za pomocą dopracowanych metod

**pojemność lodówki**, wyrażana w litrach (L)

**poziom hałasu**, wyrażony w decybelach (dB) oraz w skali czterostopniowej

**O**statnio przypomnieliśmy sobie, w jaki sposób zarządzać energią, codziennie użytkując sprzęty gospodarstwa domowego. Jak się okazuje, wyrobienie dobrych nawyków przynosi efekty w postaci sporo niższych rachunków za energię elektryczną. Jednak nawet najlepiej zaopatrzone AGD w końcu się zużywa. Zakup nowych urządzeń to kolejna okazja do mądrej inwestycji na przyszłość, liczy się przecież nie tylko cena zakupu, lecz także codziennej eksploatacji.

Dobre planowanie to początek sukcesu. Każdy z nas ma inne potrzeby i to je powinniśmy zdefiniować w pierwszym kroku. Nasze życie zmienia się szybko, ale warto określić naszą obecną sytuację bez nadmiernego wybiegania w przyszłość. Młody singiel myślący o założeniu rodziny nie musi inwestować w lodówkę side-by-side i pralkę o pojemności 8 kg, bez których ciężko z kolei wielodzietnej rodzinie... Liczy się to, czego potrzebujesz dziś dla siebie. Ważna jest nie tylko wielkość domu, liczba członków rodziny, lecz także ich tryb życia. Zdalna praca ciągle w domu czy przeciwnie: do późna w biurze i dużo wyjazdów służbowych? Uwielbiasz gotowanie czy jadasz na mieście? Podrzucaś pranie mamie czy jesteś mamą, której podrzucają? Kiedy ostatnio miałeś żelazko w ręku? Jak często włą-

czasz swój 50-calowy telewizor? Takich pytań jest wiele... Zastanów się, jak często i intensywnie będziesz korzystał z urządzenia. Uczciwie przemysłane potrzeby mogą uchronić przez niepotrzebnym zakupem sprzętu, który będzie tylko zbierał kurz, tracąc na wartości.

Kiedy już wiesz, że bez odkurzacza ani rusz, pralka koniecznie z suszarką, ale za to obejdziesz się bez żelazka, a dotychczas używana lodówka jeszcze działa dobrze – czas na analizę rynku AGD. To, co się podoba, warto porównać także pod kątem parametrów technicznych i dodatkowych funkcji, które pomogą oszczędzać energię: programy eko, możliwość pracy urządzenia z połową załadunku, krótkie programy o niskim poborze prądu, wody. I tutaj następuje obowiązkowy punkt programu: wnikliwe czytanie etykiet dotyczących klasy energetycznej urządzenia. Dzięki nim możemy w szybki sposób sprawdzić, który model będzie przyjazny dla środowiska, a i pomoże w uzyskaniu mniejszych rachunków. Od dwóch lat obowiązują nowe klasy energetyczne. Obecnie używane etykiety wielkości 192 x 96 mm zawierają piktogramy, które mają nawiązywać do rozmaitych cech urządzeń z poszczególnych grup produktowych. Na oznaczeniach znajdziemy też tzw. klasy hałasu, które

informują nas o poziomach natężenia dźwięku.

Inwestycja w dobry sprzęt adekwatny do potrzeb i jak najbardziej energooszczędny przyniesie ci dużo zysku w przyszłości, na każdym kolejnym rachunku.

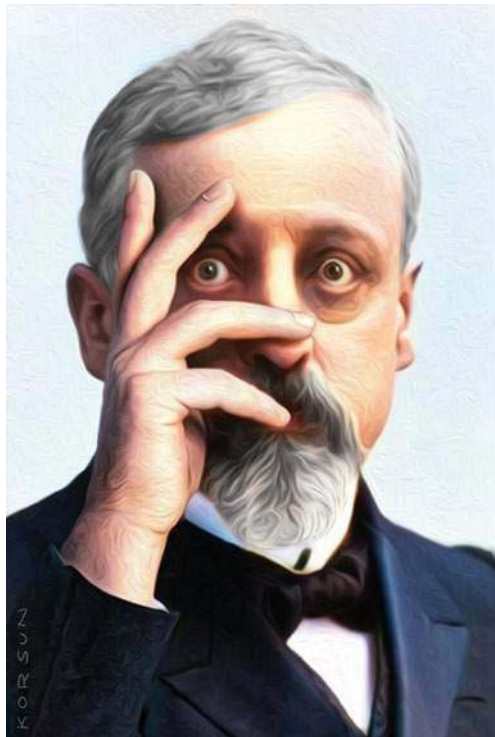
Pamiętaj także, by ciągle trzymać się dobrych praktyk podczas codziennego użytkowania sprzętu.

**(AR)**

**UWAGA!** Ważna data: 30 czerwca, czyli za niecałe trzy miesiące, upływa termin składania oświadczeń w sprawie gwarantowanej w 2023 r. ceny energii elektrycznej, zgodnie z limitami przyjętymi w programie Rządowej Tarczy Solidarnościowej. Przypomnijmy, ustawowo limit 2000 kWh w cenie obowiązującej w 2022 r. otrzymał każdy z nas. Do swoich sprzedawców energii powinni się jednak zgłosić gospodarstwa domowe, w których zamieszkują osoby z niepełnosprawnościami i które mają limit zużycia podwyższony do 2600 kWh, oraz domy z Kartami Dużej Rodziny i rolnicy, którzy wnioskują o limit do 3000 kWh rocznie. Dzięki Rządowej Tarczy Solidarnościowej każda rodzina zyska ok. 2 tys. zł, których nie będzie musiała wydać na rachunki za prąd.



**Michał Korsun prezentuje:  
Henryk Sienkiewicz patrzy  
na swojego prawnuka Bartłomieja**

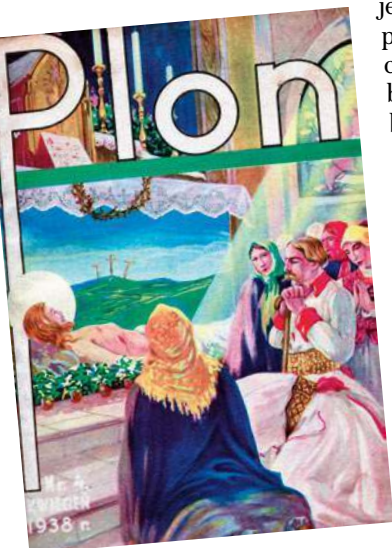


### Wycinki z przeszłości

**W**ielkanocne wydanie pisma „Plon” z 1938 r. oprócz tej pięknej ilustracji okładowej zawierało również artykuł „Wielkanoc w chacie wiejskiej”. Oto opis stołu świątecznego: „Pośrodku stołu, nakrytego czystym, w miarę możliwości haftowanym w domu obrusem, ustawiamy baranka wielkanocnego z cukru lub masła wśród zielonego młodego owsa albo rzeżuchy. Piękne są również baranki wyrobu garncarzy ludowych, polewane i wypalane. Obok baranka – miejsce dla pisanek i święconych jajek. Przy spożywaniu jajek składamy sobie życzenia. Dalej półmisek z szynką. Kielbasy, boczek wędzony i schab przyozdobione jak szynka bukszpanem, barwinkiem i chrzanem. Do mięs osobno chrzan utarty z octem, a kto chce, może przyrządzić ostry sos musztardowy lub tartarski. Sałata z kartofli z młodą rzeżuchą, ćwikła z buraków. Z pieczywa – baby, babki albo słodkie bułki posypane cukrem lub makiem, kołacz, placki serowe i mazurki”.

Na szczęście, wiele się nie zmieniło. Smacznego i wesołego Alleluja!

(mk)



**Leszek Długosz**

## Wielkanoc z czasów...

**Z** czasów, gdy niemeliorowane jeszcze łąki zaczynały tętnić życiem, od świeżej trawy poczynając, a na wszelakich nad nią owadach kończąc, gdy rozmaitej maści wierzbowate lasy się do wiatru swoimi baziami, gdy śmigus-dyngus nie był jeszcze przywoływanym folklorem, a stół uginał się od obfitości pieczystego, domowych wędzonek, kielbas, pasztetów, ach i jeszcze by wymienić tu rewję bab, mazurków i innych wypieków. I kiedy pisało się i posyłało pocztówki i takie wiersze, jaki właśnie do redakcji „Sieci” (za moim pośrednictwem) nadesłała pani Maryja Konopnicka. Poczytajcie państwo sobie. A poza tym „Alleluja!” niech rozlega się na globie!

### Maria Konopnicka (1842–1910) „Niedziela Palmowa”

*W wiejskim kościółku organ gra,  
Rozgłośnie dzwony biją...  
Srebrzystych dymów lekkie mgły  
W blaskach się słońca wiją.*

*Nie! To nie boru słycać szum,  
Gdy wiatr się po nim śłania,  
Ale modlitwy cichej szmer  
I szept i wzdychania.*

*A przed ołtarzem – czy to las,  
Las świeży i zielony,  
Przyszł i klęknął pośród nas  
I schylił swe korony?*

*I rzuca słońce złoty blask  
Na czarne drzewa krzyża,  
A Chrystus z niego smętną twarz  
Ku ziemi słodko zniża.*

*A przed ołtarzem – czy to szum,  
Szum cichy a radosny,  
Kiedy „Hosanna!” śpiewa bór,  
A wiatr w nim rusza sosny?*

*I patrzy, patrzy na nas tak  
Żałośnie a łaskawie,  
Jak gdyby mówił: „Ludu mój,  
Ja ciebie błogosławię!”*

*Nie! Nie zielony to jest las,  
Co swe gałązki ściele,  
Ale z palmami przyszedł lud  
W kwietniową tę niedzielę.*

*I wyszedł naród w szumach palm,  
Poważny a radosny,  
I poniósł do swych niskich chat  
Tę błogą zielen wiosny. [...]*

### Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

| CENNIK                         | OKRES PRENUMERATY |                                          |                                        |
|--------------------------------|-------------------|------------------------------------------|----------------------------------------|
| PRENUMERAT*                    | 3 miesiące        | 6 miesięcy                               | 12 miesięcy                            |
| SIECI                          | 82 zł             | 149 zł                                   | 265 zł                                 |
| wSIECI HISTORII                | –                 | 34 zł (3 wydania)                        | 59 zł (6 wydań)                        |
| pakiet SIECI i wSIECI HISTORII | –                 | 169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII) | 295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII) |

\*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

# Zawsze w trendzie wzrostowym

Najstarszy *magazyn ekonomiczny* w Polsce



Portal pełen informacji i opinii *ogospodarce*

Pobierz aplikację na:



eprasa.pl 31a529f314





OD A DO ZYBERTOWICZ

# Zjednoczony naród

*Pewnego wieczoru – może pod wpływem tego spaceru – poczułam potrzebę przypomnienia sobie, jacy są Polacy, gdy w społeczeństwie wygasają wzajemne niechęci*

krajach. A potem na ulicy, w sklepach, kinach nierzadko nawet nie oczekujemy życzliwości od nieznajomych.

## KILKA DNI PRAWDY

Pewnego wieczoru – może pod wpływem tego spaceru – poczułam potrzebę przypomnienia sobie, jacy są Polacy, gdy w społeczeństwie wygasają wzajemne niechęci.

Trochę nieoczekiwanie dla siebie (przypadkiem?) sięgnęłam po liczący już ponad 10 lat dokument Anny Ferens „Zobaczyłem zjednoczony naród”. Film jest zapisem wypowiedzi zagranicznych dziennikarzy, którzy dla swoich stacji relacjonowali, co działo się w naszej stolicy po tragedii smoleńskiej.

W filmie padają słowa chińskiego korespondenta, który z przejęciem mówi, że na ulicach Warszawy widzi „coś niewyobrażalnego”. Niemiecki dziennikarz wyznał, że nigdy czegoś takiego nie przeżył. Skala narodowej żałoby przerażała wyobraźnię tych, którzy niejedno wiedzieli. Na Krakowskim Przedmieściu paliły się tysiące zniczy. Zaskoczony włoski dziennikarz zauważył, że znicze ustawione obok siebie w większej ilości dają dobre ciepło.

Byłam w tamte dni w Warszawie. Kolejka Polaków pragnących pożegnać parę prezydencką zdawała się wic kilometrami. Sama żałoba nie miałaby takiej siły, gdyby nie tysiąc lat wspólnej historii. Patrząc na tę kolejkę, nie mogłam uwierzyć, że ona jest przekrojem przez wszystkie chyba warstwy i grupy naszego społeczeństwa. Reprezentanci światów, którym nie było po drodze, nie tylko bez niechęci stali obok siebie. Byli dla siebie bliscy i serdeczni. Zagraniczni reporterzy czujnie zauważali, że pod

Pałacem Prezydenckim w Warszawie stali także ci, którzy nie lubili śp. Lecha Kaczyńskiego, a nawet na niego nie głosowali. A mimo to czuli potrzebę przybycia na to ostatnie pożegnanie.

## JEDNOŚĆ

Rosyjska dziennikarka podkreślała, że zobaczyła „prawdziwe zjednoczenie nacji”. Pamiętam, że naprawdę to czułam. Jednoczył nas ból, ten sam, który się czuje po stracie sióstr albo braci. Razem z Marią i Lechem Kaczyńskimi zginęło 96 naszych rodaków. Braterstwo po prostu budziło się na ulicach niczym zew krwi.

Ciepło i zjednoczenie trwały niestety krótko. Dziś wojenka polsko-polska tak podtruła nasze serca, że mało kto wraca do tamtych dni.

## ZADZIWMY SIEBIE

Wiele miesięcy po tragedii smoleńskiej na jednej z projekcji filmu Anna Ferens powiedziała, że wierzy, że w gruncie rzeczy „jesteśmy ludźmi, którzy potrafia utworzyć serca”. We wszystkich relacjach zagranicznych korespondentów, uwiecznionych kamerą, da się odczuć uznanie dla Polaków: jak bardzo potrafia się zjednoczyć.

Reżyserka miała rację. Po kilkunastu latach od tamtych dni, już w innej rzeczywistości, Polacy po raz kolejny zadziwili świat. Wspólnie przyjeśliśmy do swoich domów miliony uchodźców z Ukrainy.

W tym roku poniedziałek wielkanocny przypada 10 kwietnia. Wielkanoc to bardzo dobry moment na wypatrywanie Polski zjednoczonej.

**Katarzyna Zybortowicz**

**P**odczas spaceru w słoneczny dzień w Łazienkach Królewskich energiczna pani trenująca nordic walking zagadnęła mojego męża mniej więcej takimi słowami: „O, pan profesor z telewizji. Ciekawie pan się wypowiada. Z wieloma pana poglądami się nie zgadzam, ale lubię posłuchać”. Nastąpiła krótka, miła wymiana zdań i uśmiechów, po czym poszliśmy w swoje strony. Spacerowiczce raczej bliżej było do opozycji politycznej, a jednak to nie wykluczyło serdeczności i wzajemnego szacunku podczas przypadkowego spotkania.

## ZAPROGRAMOWANI NA WŚCIEKŁOŚĆ

Parę chwil w internecie i już widać, jak nieludzkie, brutalne są kontakty między światem opozycji a środowiskami kojarzonymi z PiS. Miejsce szacunku zajęła pogarda. Już nieraz podkreślano, że komunikacja wirtualna strasznie często przypomina walkę dzikich plemion.

Czy osób takich jak pani spotkana w Łazienkach jest dużo? Nie tylko my, Polacy, daliśmy się zaprogramować na wrogość i wściekłość. Media społecznościowe silnie polaryzują ideologicznie ludzi w wielu demokratycznych

# Nowe wydanie w kioskach!



## **Niemiecka zbrodnia**

– jak zginęła rodzina Ulmów  
w 1944 r.?

## **Rozstrzelać polskość**

– antypolska operacja  
NKWD w latach 1937–1938

## **Geniusz Kopernik**

– 550. rocznica urodzin  
wielkiego astronoma

Zamów e-prenumeratę **wSIECI** i **HISTORII**  
**50% taniej!**

Wejdź na [www.SiecPrzyjaciol.pl](http://www.SiecPrzyjaciol.pl)





# NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE



**Tygodnik „Sieci” inne media  
cytowały aż 5620 razy  
– to dało nam 1. miejsce  
w rankingu najbardziej  
opiniotwórczych tygodników**

